LATAJĄCE SPODKI CZY WIELKA MISTYFIKACJA

pojedynek prezydentów

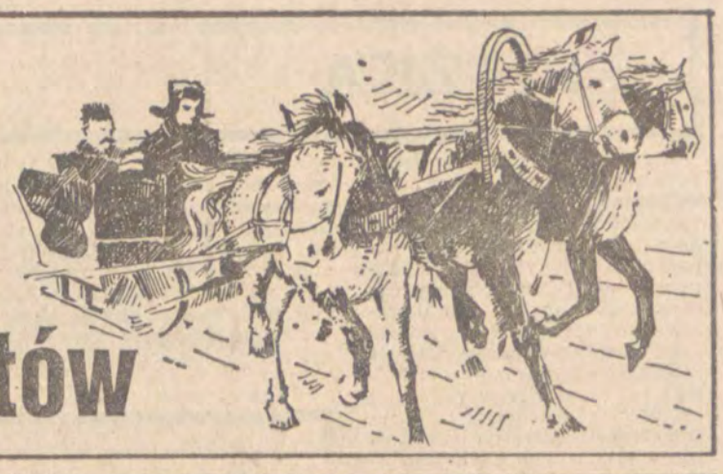

ODGŁOSY

ROK XIX NR 45 (987) 4 LISTOPADA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„WIDZISZ ASAF HAN"

Na środku jezdni, na asfalcie, leży piękny, oryginalny perski dywan.

— Patrz Ali — mówię do kierowcy — ktoś zgubił dywan.

— **Nie zgubił** — odpowiada Ali. — **Zostawił.**

Zostawił? Zapomniał. Na jedno wychodzi. Ale nie. Dywan położono na jezdni celowo. Aby jak najwięcej samochodów po nim przejechało. Dywany kładzie się też na chodnikach, aby ludzie po nich deptali i ubijali puszystą wełnę. Dywanowi to pomaga, staje się bardziej zwarty. Rośnie jego cena. A perskie dywany, ręcznie tkane nadal są wysoko cenione i poszukiwane.

1.

Jedziemy ulicami Isfahanu. Chahar Bagh — e Bala Avenue prowadzi z południa, obok isfahańskiego uniwersytetu do rzeki Zayandeh Rud i za rzeką przechodzi w Chahar Bagh — e Abbasi Avenue. Obie te ulice niczym prostopadła oś przecinają miasto z południa na północ. Chahar Bagh znaczy cztery ogrody. W tym miejscu, gdzie w okolicy rzeki Zayandeh Rud, teraz biegnie szeroka, wysadzana w środku drzewami aleja, kiedyś były ogrody i letnie pałace. Było to za czasów Abbasa I Wielkiego.

Jadąc Chahar Bagh — e Abbasi Avenue przy Darvazeh — e Dowlat trzeba skręcić w Sepah Avenue i dojechać do słynnego Maidan — e Shah, królewskiego placu, który jest siedem razy większy od równie słynnego Piazza san Marco w Wenecji. Nie można być w Isfahanie i nie zatrzymać się na Maidan — e Shah, nie połazić po sklepach irańskich rzemieślników i nie zobaczyć pałacu Kakh — e Ali Qapu. Bez tego wszystkiego pobyt w Isfahanie byłby nieważny.

Dalszy ciąg na str. 5

ZSRR

KOZACY, TRAKTORY i PYŁOWE BURZE

CZYTAJ NA STRONIE 9

JULIAN SIEMIONOW

WIECZNY PŁOMIEŃ

Julian Siemionow napisał książkę „Gorenje" poświęconą Feliksowi Dzierżyńskiemu i jego walce w latach 1902—1905. Poniżej przedstawiamy fragment tej bardzo interesującej i z talentem napisanej powieści.

Nikołajew był tym samym hałaśliwym, grubym, zwinnym jak wówczas, w ekspresie transsyberyjskim, jakby wcale nie było tych dwóch lat, jakie minęły od ucieczki Dzierżyńskiego z zesłania.

— Ho, ho! — powiedział, wchodząc do pokoju Górowskiej. — Niczego sobie żyją rewolucjoniści na wygnaniu! Wasze legowisko?

Dzierżyński odwrócił się do Heleny Kazimirowny:

— Moja przyjaciółka wynajęła ten pokój specjalnie na nasze spotkanie.

— Po co na próżno tracić pieniądze? trzeba było przyjechać do mnie i kwita.

— Was mogą śledzić; śledzą każdego Rosjanina godnego uwagi.

— Przejdę do biblioteki — powiedziała Górowska. — Czujcie się jak u siebie w domu.

Dzierżyński zdziwił się:

— Krępujecie się nas?

Dalszy ciąg na str. 6

KSIĄŻKA

JERZY WAWRZAK

ZAMIAST RECENZJI

Autora tej książki, **Władimira Popowa,** spotkałem w czerwcu w Dreźnie, na międzynarodowym sympozjum zorganizowanym przez centrale związkowe państw socjalistycznych. Na stateczku białej floty płynącym w górę Łaby mówiliśmy o literaturze, o karierze jego książki „Stal i szlaka" przełożonej na kilkanaście języków świata, która i mnie utkwiła w pamięci z czasów młodzieńczych lektur. Szkoda, że dopiero po tym spotkaniu zapoznałem się z jego ostatnią powieścią **„Zdobędziesz w walce",** którą niedawno opublikowało Wydawnictwo Łódzkie. Szkoda, bo chciałbym o tej książce wiele autorowi powiedzieć. Nie komplementów, bo ich Popow, pisarz znany i uznany, laureat Nagrody Państwowej ZSRR, nie potrzebuje.

Teraz pozostaje mi tylko zwrócić się do czytelników tej książki z pewną rekomendacją. Tym bardziej, że jak zauważyłem, a jestem z obowiązku pilnym czytelnikiem recenzji w prasie kulturalnej, książka Popowa nie zaabsorbowała większej uwagi naszych krytyków, którzy wolą chadzać utartymi koleinami. A książka Popowa zasługuje na to by trafić do szerokiego odbioru, jako że mamy do czynienia z ciekawym dziełem literackim i — co może bardziej znaczące — z utworem który wprowadza nas w gąszcz problemów, z którymi każdy z nas boryka się na co dzień, niezależnie od swego miejsca w życiu.

Książka Władimira Popowa traktuje o życiu hutników z Zagłębia Donieckiego. Autor, z zawodu inżynier metalurg, zna świetnie opisywane środowisko i jego problemy. Ale nieważne jest w tym wypadku środowisko, bo mimo iż ma ono niewątpliwie swą specyfikę (pracę w tym zawodzie charakteryzuje najwyższy stopień odpowiedzialności, nierzadki dramatyzm, trudne warunki i zwielokrotniony częstokroć trud) — to problemy z jakimi muszą sobie radzić (lub nie) bohaterowie książki Popowa mają charakter uniwersalny, można je z pełną ufnością uogólnić na wszystkie obszary działania człowieka współczesnego. Człowieka pracy, który jest nie tylko producentem, wytwórcą, ale twórcą nowej rzeczywistości materialnej i duchowej .

Mamy tu więc do czynienia z materią spraw, które w naszej literaturze współczesnej ani krytyce literackiej (poza niestrudzonym Witoldem Nawrockim) nie znalazły jeszcze ostatecznego zrozumienia. Dotyczy to także po części odbioru czytelniczego, bo schematy myślenia i uprzedzenia mają długi żywot. A przecież książka Popowa, jak i niektóre książki naszych autorów podejmujących temat pracy, nie mają nic wspólnego z „produkcyjniakami" lat pięćdziesiątych. Łatwo to sprawdzić na przykładzie omawianej powieści. „Zdobędziesz w walce" to utwór o skomplikowanych problemach psychologicznych, etycznych i zawodowych (podkreślam tę kolejność) związanych z dniem codziennym i dramaturgią pracy w ciężkim przemyśle. Inżynier Radujew, jego ojciec, stary hutnik będący podwładnym syna, cała plejada przełożonych i podwładnych, ciekawa i zróżnicowana psychologicznie galeria postaci, ci wszyscy bohaterowie z krwi i kości, nie są przedmiotami do manipulacji, ale stanowią podmiot zdarzeń, a ich postawy tworzą fundament międzyludzkich więzi, decydujących o takim a nie innym kształcie rzeczywistości. Oni pracują, produkują, ale praca ma dla nich głębszy sens, bo stojąc przed koniecznościami nieustającego wyboru, muszą w swych decyzjach określać się jakimi są ludźmi. Radujew, świetny specjalista i dobry organizator, mógłby robić łatwą karierę, żyć spokojnie i wygodnie. Wystarczyłoby tylko zgadzać się z przełożonymi, przytakiwać, godzić się na decyzje niesłuszne, które są często podejmowane na zasadzie mniejszego zła. Radujew jest jednak bezkompromisowy. Podejmuje walkę, w której ma tak wiele do stracenia i chociaż ostatecznie wygrywa, płaci osobiście wysokie koszty przyznania mu racji. Wygrywa, dodajmy, w sytuacji nie prostej i jednoznacznej. Jego niezgoda wobec ustalonego porządku rzeczy, subiektywnie, w danym momencie, obraca się przeciwko jego towarzyszom pracy. Oni także muszą zapłacić swoją cenę za ów porządek, nieżyciowe decyzje, ale w konsekwencji rozumieją, że jeśli się chce ostatecznie wygrać trzeba odrzucić wszelkie kompromisy. I taki jest Radujew, do końca bezkompromisowy, gdyż wierzy w siebie, w ludzi sprawiedliwych i w tych, którzy nawet błądzą, mylących się, niesprawiedliwych, że ci niedawni wrogowie mogą stać się w ostatecznym rozrachunku sojusznikami wspólnej przecież sprawy.

Wydawcę trzeba więc pochwalić za opublikowanie tej książki, podobnie jak za wcześniejsze utwory pisarzy radzieckich jakie otrzymaliśmy dzięki łódzkiej oficynie: opowiadania **Janki Brylа** „Patrzeć na trawę", „Łonwe" **Iwana Ptasznikau, Jurija Skopa** „Tej zimy zapłakało jezioro", opowiadania białoruskie „Moje niedźwiedzie" w wyborze i tłumaczeniu **Jana Huszczy,** a także wiersze **Tanka, Bohadanowicza, Nikołajewa.** Książka, w dobrym przekładzie **Jerzego Jędrzejwicza,** który nawet poradził sobie z komplikacjami specjalistycznego słownictwa, jest jednak edytorskim niewypałem. Trudowi tłumacza i redaktora książki **Tadeusza Chróścielewskiego,** nie poszedł w sukurs grafik **Stefan Drobner.** Odnoszę wrażenie, że przystępując do wykonania okładki książki nawet nie przejrzał, albo oddał wydawcy okładkę innej książki. Do tego dochodzi jeszcze fatalny kolor buraczkowo-czarny, co w sumie odstrasza od kupienia książki. Mam jednak nadzieję, że czytelnik, któremu zależy na zawartości, sięgnie po tę książkę i nie będzie żałował.

P.S.

Wg książki W. Popowa „Zdobędziesz w walce" telewizja radziecka zrealizowała wieloodcinkowy serial, emitowany również w naszej TV. Wybrano jednak, niestety, przedwieczorną porę i przeszedł on bez większego echa. Znowu szkoda...

(JW)

W. Popow „Zdobędziesz w walce", WŁ 1976, str. 425, nakład 5.000 egz., cena 40 zł.

ŁÓDŹ

DOM PRZYJAŹNI

Przed rokiem łódzka organizacja Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej otrzymała nowy piękny budynek przy ulicy Narutowicza 48. Od razu zapadła decyzja: urządzimy w nim Dom Przyjaźni. Prace adaptacyjne trwały krótko, zaledwie siedem miesięcy. Spora to zasługa aktywistów TPPR z łódzkich zakładów. Na przykład, członkowie TPPR z „Dywilanu" przekazali dla Domu wyprodukowane przez siebie dywany. Są teraz nie tylko ozdobą łódzkiego Domu Przyjaźni, ale także najlepszą reklamą zakładu. Również darem członków TPPR z fabryk włókienniczych są wszystkie znajdujące się w Domu tkaniny. Pochodzą z ponadplanowej produkcji aktywistów TPPR.

Na zewnątrz już dawno zostały zdjęte rusztowania. Wewnątrz trwają jeszcze w niektórych salach prace wykończeniowe.

Sekretarz Zarządu Łódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej — mgr **Bolesław Miguła,** z dumą oprowadza mnie po wszystkich pomieszczeniach.

— Już dawno odczuwaliśmy brak tego rodzaju placówki — mówi. **— W obecnych warunkach możemy rozszerzać działalność kulturalno-oświatową o nowe formy. Propozycji nie brakuje. Toteż staraliśmy się wykorzystać do maksimum wszystkie sale Domu. Przysposobiliśmy nawet dla potrzeb naszej działalności niewielkie salki w piwnicy. Już odbywają się tam próby teatru studenckiego, którym kieruje Ryszard Bigosiński. Teraz czekamy na pierwsze przedstawienie tego teatru.**

Chciałbym także pochwalić się pierwszą w Polsce salą tradycji. Zgromadziliśmy w niej pamiątki obrazujące nasze wspólne polsko-radzieckie dokonania od roku 1905 aż po dzień dzisiejszy. Sala ta służy nam także do uroczystych spotkań z aktywem TPPR.

Na piętrze zorganizowaliśmy klub pod samowarem. Można tu posiedzieć, poczytać prasę radziecką, wypić kawę, a nawet koniak. Tu spotykamy się z obywatelami radzieckimi, którzy coraz liczniej odwiedzają nasze miasto. W ciągu tygodnia przyjeżdża do Łodzi prawie stu obywateli ZSRR. Ostatnio w związku z otwarciem hotelu Centrum ta liczba wyraźnie wzrosła. Poza tym Łódź staje się coraz ciekawszym terenem turystycznym. Mamy przecież czym się pochwalić i co pokazywać.

— Może jeszcze kilka słów o samym Domu Przyjaźni. Czy zamierzacie rozszerzyć jego działalność o placówkę biblioteczną?

— Tak, choć nie chcemy by była to typowa biblioteka, jakich nie brakuje w naszym mieście. Oczywiście, nastawimy się przede wszystkim na kompletowanie wydawnictw radzieckich. Mamy w tym względzie zapewnioną pomoc Biblioteki Miejskiej. Jednak chcemy zgromadzić także sporą ilość najnowszych płyt radzieckich, taśm z nagraniami muzyki, wierszy itp.

— Czy popularyzując sztukę i kulturę radziecką szukacie nowych form działania?

— Oczywiście, choć nie rezygnujemy z tych najprostszych: spotkania, odczytu, prelekcji. Uważam, że dobrze przygotowane spotkanie z interesującym prelegentem jest równie potrzebne jak bardziej skomplikowane formy działania kulturalno-oświatowego. Staramy się jednak naszym odbiorcom proponować program urozmaicony. Ostatnio rozszerzyliśmy działalność Domu Przyjaźni na inne dzielnice. Na przykład, na Widzewie i Bałutach otworzyliśmy kluby przyjaźni. Jeden z nich działa przy Zakładach Remontowo-Montażowych Przemysłu Lekkiego. Pracownicy Łódzkiego Domu Przyjaźni będą pomagali społecznym działaczom tych klubów. Postaramy się nawet o to, aby niektóre imprezy przenosić z Domu do tych przyzakładowych placówek. Zresztą program działania klubów przyjaźni jest bardzo bogaty i, sądzę, że zainteresuje wszystkich pracowników.

— Mówimy o pracy Łódzkiego Domu Przyjaźni, ale przecież jest to tylko jeden z elementów działania Zarządu Łódzkiego TPPR?

— Popularyzacji kultury i sztuki radzieckiej poświęcamy szczególnie dużo uwagi. Utrzymujemy stały kontakt z Domem Kultury Radzieckiej i Ambasadą Radziecką w Warszawie. Popieramy wszystkich twórców, którzy do tej współpracy wnoszą nowe oryginalne wartości. Natomiast kategorycznie odcinamy się od wszelkich chałtur i chałturszczyków, którzy próbują działać pod szyldem naszej organizacji. To dotyczy przede wszystkim najróżniejszych grup estradowych. Każdy program, który firmujemy jest także przez nas oglądany i akceptowany.

Powiedziałem, że popularyzacji kultury i sztuki radzieckiej nadajemy duże znaczenie. To prawda, ale jako Zarząd Łódzki TPPR nie ograniczamy naszej działalności jedynie do tej dziedziny. Spośród 183 tysięcy członków naszej organizacji prawie 83 tysiące to pracownicy łódzkich fabryk. Dlatego za najważniejszą uważamy pracę w środowisku robotniczym. I tu mamy już spore osiągnięcia. Na przykład, w zakładach „Wizamet" zrodziła się ostatnio bardzo interesująca inicjatywa. Zakładowe Koła TPPR objęły tam patronat nad produkcją eksportową. Ta akcja rozszerzyła się na inne łódzkie fabryki. Przyniosła, jak oceniamy, sporo wartości ekonomicznych i politycznych. Ci członkowie TPPR, którzy najbardziej aktywnie uczestniczyli w tej akcji wyjechali w nagrodę do ZSRR pociągiem przyjaźni.

— O właśnie. Na zakończenie naszej rozmowy chciałem zapytać o pociągi przyjaźni. Ta akcja cieszy się ogromnym powodzeniem, chętnych zapewne nie brakuje?

— Tak, choć zawsze traktujemy te wyjazdy jako nagrodę za aktywną pracę w naszej organizacji. Wielu ludzi, którzy przychodzą do nas w tej sprawie, nie rozumie, że nie jesteśmy biurem turystycznym. Pociągi przyjaźni są na pewno atrakcyjną formą. Zresztą jadą one coraz atrakcyjniejszymi trasami. Ale podstawowym warunkiem uczestnictwa w takiej wycieczce jest aktywność w pracy naszej organizacji. W tym roku do ZSRR wyjechało pociągami przyjaźni prawie 4.000 łodzian. To dużo. Uważamy, że jest to bardzo pożyteczna forma poznawania ZSRR. Po powrocie z ZSRR wielu uczestników pociągów przyjaźni dzieli się swoimi wrażeniami z bywalcami klubów zakładowych, domów kultury. I to też jest jedna z form popularyzacji osiągnięć Związku Radzieckiego.

Rozmawiał:

MIROSŁAW KUŹNIAK

LISTY

OLIMPIADA W FILATELISTYCE

Z wielką przyjemnością przeczytaliśmy notatkę zamieszczoną w 38 numerze Waszego poczytnego tygodnika pt. „Olimpiada w Filatelistyce". Określenie pozycji „Polska kronika olimpijska" „rarytasem zarówno graficznym, autorskim jak i poligraficznym" wymaga dodania kilku informacji, których zwykle nie zamieszcza się w stopkach redakcyjnych. Otóż perfekcja poligraficzna „Kroniki" jest w głównej mierze wynikiem zastosowania importowanych materiałów — zarówno farby jak i papieru. Stwierdzenie to nie umniejsza oczywiście umiejętności naszych drukarzy. Wręcz odwrotnie — z całą odpowiedzialnością możemy stwierdzić, że jeżeli drukarze polscy w codziennej pracy mieliby materiały odpowiedniej jakości wysoki poziom poligraficzny druków polskich byłby codziennością. Nie możemy natomiast sobie wyobrazić jaki byłby poziom jakościowy wyrobów poligraficznych, gdyby drukarze z państw uznawanych za wiodące w drukarstwie znaleźli się w specyficznych warunkach naszego drukarstwa.

„Polska Kronika Olimpijska" nie jest wyjątkiem. Zakłady Offsetowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" przy ul. Ludnej w Warszawie mają na koncie wiele podobnych pozycji. Codzienna działalność tej drukarni oparta jest na produkcji pocztówek barwnych, których jakość nie budzi również zastrzeżeń. Ponadto drukarnia ta wykonuje reprodukcje offsetowe i unikalne, wysokojakościowe reprodukcje światłodrukowe. Również i inne drukarnie RSW „Prasa — Książka — Ruch" wykonują pozycje charakteryzujące się wysoką jakością. Przykładem z ostatnich miesięcy może być duża 2-tomowa pozycja książkowa, również wydawana przez Krajową Agencję Wydawniczą, pt. „Europa", którą drukowały Prasowe Zakłady Graficzne RSW we Wrocławiu.

Kończąc powyższe refleksje, pragniemy dopełnić i skorygować informacje zawarte w trzecim akapicie notatki. Otóż teksty „Polskiej Kroniki Olimpijskiej" zostały wykonane w Łódzkich Zakładach Graficznych, reprodukcje i druk wykonały Zakłady Offsetowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" — natomiast Zakłady Fotopoligraficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" w Rudzie Śląskiej wykonały oprawę „Kroniki".

Pragniemy również dodać, że Zakłady Fotopoligraficzne w Rudzie Śląskiej specjalizują się w wykonywaniu wysokojakościowych prac introligatorskich, takich jak oprawy książek, produkcja klaserów filatelistycznych jak również wykonują pocztówki fotograficzne barwne i czarno-białe. Zakład ten ma na swoim koncie wiele szybkich wydań okolicznościowych pocztówek. Tak np. pocztówki z podobiznami tegorocznych medalistów olimpijskich znalazły się w rękach kibiców w 3 dni po wręczeniu medali.

Dziękując za pozytywną ocenę naszej pracy mamy nadzieję, że jakość materiałów, które ma do dyspozycji drukarz polski ulegnie zasadniczej poprawie i w przyszłości każda pozycja drukowana w kraju nie będzie budziła wątpliwości co do swego pochodzenia.

Pozostając z wyrazami szacunku
mgr JACEK GORECKI
Dyrektor
Działu Poligrafii Prasowej

INFORMACJE

PO KONGRESIE MIĘDZYNARODOWEGO STOWARZYSZENIA KRYTYKÓW SZTUKI

Prof. W. Jaworska przewodnicząca odbytego niedawno w Lizbonie Kongresu Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki, poinformowała dziennikarza PAP o tematyce i przebiegu toczących się obrad.

Temat brzmiał: „Sztuka negroafrykańska, a europejska sztuka nowoczesna". Był on rozpatrywany w trzech płaszczyznach: historycznej etnologicznej i antropologicznej, a ilustrowała go wystawa w muzeum etnologicznym będąc próbą wizualnej konfrontacji afrykańskich masek i fetyszy z oryginalnymi dziełami takich twórców jak Modigliani, Nolde, Picasso.

REZERWAT DOMKÓW TKACKICH

W Zgierzu koło Łodzi powstaje z inicjatywy łódzkiego Ośrodka Badań i Dokumentacji Zabytków REZERWAT STARYCH DOMKÓW TKACKICH. W mieście tym zachowało się sporo takich domków. Domki te różnią się od podobnych powstałych w tym samym czasie w Łodzi solidnym wykonaniem i wystrojem zewnętrznym. Są to drewniane parterowe budynki. Część z nich ozdobiona jest drewnianymi pilastrami z pomysłowymi głowicami.

W tym tak oryginalnie pomyślanym skansenie znajdą się sale wykładowe, muzeum i kawiarnia.

TYDZIEŃ POSZUKIWANEJ KSIĄŻKI

2 listopada o godz. 10 rozpoczął się w Księgarni Współczesnej w Bydgoszczy TYDZIEŃ POSZUKIWANEJ KSIĄŻKI. Na imprezę tę przygotowano 500 tytułów książek chętnie ostatnio kupowanych. M. in. są to pisma Wańkowicza, Dekameron, Kuchnia Polska, oraz wiele wydawnictw słownikowych.

IX MUZEALNY PRZEGLĄD FILMÓW

W połowie października zakończył się w Kielcach IX Muzealny Przegląd Filmów. Jego zadaniem jest zapoznanie muzeologów, konserwatorów i historyków sztuki z filmami z zakresu szeroko rozumianego muzealnictwa.

Hasło tegorocznego przeglądu brzmiało: „Monografia artysty, monografia jego dzieła". W ten sposób po raz pierwszy impreza kielecka zazębiła się tematycznie z filmami prezentowanymi na Przeglądzie Filmów o Sztuce w Zakopanem. Jednakże profil obu tych imprez jest inny. O ile przegląd zakopiański zajmuje się prezentacją nowości ze wszystkich dziedzin sztuki, to na kielecki dobierane były filmy pod kątem ich przydatności do edukacji plastycznej.

Do tegorocznego Przeglądu zakwalifikowano po 10 filmów z Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi i zrealizowanych przez telewizję oraz kilkanaście pozycji zagranicznych.

Pierwszą nagrodę zdobył film Kazimierza Muchy — „Świat Memlinga w trzech odsłonach", prezentujący jedno z najsłynniejszych arcydzieł malarstwa niderlandzkiego tryptyku Hansa Memlinga „Sąd Ostateczny". Drugą nagrodę przyznano Stanisławowi Grabowskiemu za monografię dzieła Aleksandra Gierymskiego „W altanie". Trzecią nagrodę otrzymał film telewizyjny zrealizowany przez Marię Mrozek o młodym łódzkim robotniku — malarzu „Światy Grzegorza Stańczaka".

30-LECIE ZESPOŁU Z KRZEPIELOWA

Amatorski Zespół Pieśni i Tańca ludowego we wsi Krzepielów w woj. zielonogórskim działa już 30 lat. Zespół został założony w 1946 r. przez Michała Krechowca, który mimo sędziwego wieku patronuje zespołowi do dziś.

Zespół koncertował w wielu miastach Polski a także prezentował kilka razy nasz folklor w NRD.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

OD STRONY KULIS

IRENEUSZ DOMIENIK

WOLNE TYLKO w PONIEDZIAŁKI

Światło ogólne raptownie przygasa. Obrzeża kulis rozpalają się girlandami maleńkich żaróweczek. Myślę o Sabbatinim i że właściwie nic się nie zmieniło, chociaż nic, to na pewno przesada. Myślę też o atmosferze domu, o moim dziadku, z którego opowiadań usiłowałem na papierze odtworzyć wygląd wewnętrzny jednego z warszawskich teatrów, gdzie przed wojną pracował. Miałem wtedy trzynaście, może czternaście lat. Te żenująco nieudolne próbki roztapiały się w mgiełce anegdot. Później wciąż nie zaspokojona ciekawość hamowana niewytłumaczalnym „tabu" wzbraniała mi wejść na zaplecze teatru — innego teatru w innym mieście — do chwili, aż wszedłem tam wreszcie z gromadką maszynistów ubrany w niekompletne robocze ciuchy, już jako maszynista. A formalności związane z przyjęciem do pracy trwały wtedy trochę długo.

TRZECI DZWONEK

Cały ansambl od kilku minut w skupionej gotowości. W bufecie, w garderobach szklanki z nie dopitą kawą, pośpiesznie odgaszone papierosy. Jeszcze przytłumione strzępki rozmów. Książę Himalaj (M. Voit) podryguje rytmicznie wysuniętą nieco do przodu prawą nogą, szuka oparcia dla książęcej laski. Mięśnie mimiczne w ruchu. Twarz Księżnej przybiera pełen himalajskiego dostojeństwa, pusto-głupawy kamienny wyraz. W kącikach ust pojawia się żołądkowa boleść. Motyli pióropusz z pawich piór drży lekko na głowie. Jesień... Tych dwoje stoi teraz na wysokościach naprzeciw opuszczonej kurtyny, zza której, z kanału orkiestry dolatują swawolne takty muzyki Tomasza Kiessewettera. Znam ją już na pamięć, tak jak wszyscy. Szum wiatru. Przeciągi w zamku Himalaj. Zaczął się drugi akt. Okna...

Chowam się z prawej strony za ostatnią kulisę i cierpliwie czekam do chwili, gdy hrabia Szarm (A. Żarnecki), rozpustnik i birbant, wprowadzi niemiłosiernie ubraną Albertynkę (J. Borońska) na specjalnie do tego celu przysposobiony podeścik, gdzie ta „wciąż zasypia... i o nagości śni... nagość sennie przyzywa..." — w trakcie całego drugiego aktu. Wystać tyle na powierzchni około połowy metra kwadratowego, i to z przymkniętymi oczyma jest fizycznie prawie że niemożliwe. Prawie że, bo proste urządzenie pomocnicze zrobiono dopiero po którymś tam z kolei przedstawieniu.

MOJA „ROLA"

Zaczyna się moja „rola". Pozostali maszyniści rżną już na dobre w karty, posilają się w bufecie pod sceną. Prawie czterdzieści minut odpoczynku. Należy im się. Poza tym ja nie gram w karty — nie umiem. A rzecz jest właściwie tak prosta, że może wykonać ją każdy: muszę wpełznąć z latarką kieszonkową w zębach pod zestawione ze sobą w wielki prostokąt podesty i dotrzeć w gęstym półmroku do środkowego praktykabla, na którego blacie przykręcony jest właśnie podeścik Albertynki. „Ja kolię, Firulet boa..." — trafiam na miejsce we właściwym czasie. Nade mną i niewidzialny dla mnie Lokaj niby to układa fałdy sążnistej Albertynkowej sukni, umożliwiając mi w ten sposób wysunięcie żelaznej rury zakończonej prymitywnym poprzecznym siodełkiem. W tym momencie kontakt z aktorką odbieram jako niemalże cielesny. Dzieje się tak trochę za sprawą milczącego porozumienia, trochę może za sprawą muzyki. Żeby przypadkiem nie stracić równowagi, Albertynka najpierw delikatnie próbuje siodełko. Szukając otworu służącego do przełożenia blokującej zawleczki czuję jej każdy ruch... Tych kilka sekund kosztuje najwięcej nerwów, ale wszystko zależy od wprawy, nabiera się pewności siebie.

W porządku. Wyłażę do bocznej kieszeni i przyglądam się swojemu dziełu — stoi bezpiecznie... Nawet stąd nie widać „naszej tajemnicy" ukrytej pod fałdami sukni. To, że Albertynka korzysta z pomocy siodełka poznaję tylko po lekkim odchyleniu jej tułowia ku tyłowi. A że stoi centralnie frontem ku widowni, dla widza jest ono niewidoczne. Oczy szybko przyzwyczajają się do ciemności. Omijając rozstawione pod ścianami dekoracje wychodzę do jasno oświetlonej portierni. Można usiąść i spokojnie zapalić.

TO TRUDNA PRACA

Kiedy w Urzędzie Zatrudnienia wyraziłem chęć do podjęcia pracy w teatrze, poinformowano mnie, że maszynistów najczęściej potrzebują w teatrach: „Nowym" i „Muzycznym". Wybrałem wtedy „Nowy" z tej prostej przyczyny, iż nie jest „muzyczny". Był rok 1974. O objęciu kierownictwa tego teatru ponownie przez K. Dejmka zaczęto dopiero nieśmiało przebąkiwać w gronie osób wtajemniczonych. Wydarzenie wisiało jednak w powietrzu. Nic o tym nie wiedząc stawiłem się w pokoju kierownika technicznego teatru przy ulicy Więckowskiego 15. Wyłuszczyłem mu sprawę. Starszy pan o dobrodusznym wyglądzie spojrzał na mnie przez grube szkła i powiedział:

— Praca jest fizyczna, ciężka. No, nie ponad ludzkie siły, oczywiście...

W jego głosie wyczułem powątpiewanie, lecz:

— Tak, maszynistów potrzebujemy.

W ten sposób dotarłem do „Operetki". Zabierając się do napisania tego quasi-reportażu nie bez pewnego niepokoju zadzwoniłem do sekretariatu Teatru Nowego z zapytaniem, czy aby „Operetka" nie zeszła z repertuaru. Odetchnąłem: wznowienie od października. Więc nie spóźniłem się zupełnie.

WOLNE W PONIEDZIAŁEK

Pracujemy zasadniczo dwa razy dziennie po cztery godziny. Rano od ósmej i wieczorem do zakończenia spektaklu. W praktyce często jest inaczej. Przybliżone godziny i podział zajęć ustala się z dnia na dzień. Zdarza się, że nie można opuścić teatralnego budynku przez dwanaście, czternaście godzin. Podobne sytuacje ciągną się tygodniami. Krótka przerwa na obiad. Na godzinę nikomu nie opłaca się wracać do domu. Można siedzieć bezczynnie, lecz trzeba być pod ręką, w pogotowiu. Wszystko musi być podporządkowane aktualnym potrzebom teatru. Że najgorętsze są dni przed premierą, to nawet dla laika brzmi jak truizm. Dochodzi jeszcze obsługa Małej Sali na piętrze — uciążliwa, choć dekoracje są tam mniejsze, zrobione też bardziej filigranowo. Brygada jest jedna na obie sceny.

Czasem trudno jest rozerwać się na dwie strony. Ale pokonanie trudności daje przecież wiele satysfakcji i jak się chce, to można zarobić. Dojść mogą oddzielnie płatne „efekty", statystowanie. Dużo ostatnio zrobiono dla technicznej obsługi teatru. Zamiast godzin nadliczbowych wprowadzono tzw. trzecie zajęcia, na zasadach podobnych jak w zespole aktorskim. Spory jest z tego zysk w ostatecznym rozliczeniu. W sumie jednak wiele wyrzeczeń. Już sam nienormowany czas pracy komplikuje życie. Zwłaszcza jak się ma rodzinę, dzieci. Maszyniści teatralni są robotnikami bez kwalifikacji.

Tego zawodu można się nauczyć tylko w teatrze. Na tych warunkach dość trudno jest o chętnych do podjęcia pracy. Ludzie wolą już trzy zmiany w przemyśle niż całkiem rozbity dzień. Przychodzą więc ci bez większych szans gdzie indziej. Trochę rządzi przypadek. Jeden ściąga drugiego. Nic więc dziwnego, że trzon ilościowy brygady stanowi element, który w taki czy inny sposób otarł się o margines społeczny. Plagą jest absencja powodowana alkoholizmem. Stąd głównie płynność kadr, szarpanina nerwów, użeranie się... Najbliżej te kłopoty zna brygadier sceny.

Jeżeli ktoś przepracował tu więcej niż rok, dwa, to już z własnej woli pracy w teatrze nie porzuci, bo ta wciąga jak narkotyk. Coś przebije się do wrażliwości delikwenta i haczyk jest połknięty. A w końcu jakaś atrakcja, brak sztampy, przygoda. Przychodzą bardzo różni ludzie. Normalnym przypadkiem jest, że ten czy ów zwolniony karnie z teatru szuka pracy w innym teatrze. Nie gdzie indziej: w teatrze... Jeszcze częściej prosi po prostu o ponowne przyjęcie. Nie odstrasza go nawet najniższa stawka. Robi się więc niekiedy wyjątki. No i wreszcie pracownik techniczny solidarnie dzieli los aktora — jedyny dzień wolny w tygodniu: poniedziałek. Są tacy, których to boli najbardziej. Tradycyjna rodzina i tradycyjne obyczaje; siłą rzeczy wypada się z „obiegu".

Personalnie za wykonanie pracy i utrzymanie całości zespołu odpowiedzialny jest brygadier sceny. To on łata atmosferę, krąży między kierownictwem a brygadą, walczy o ludzi, przypomina. Musi być wszędzie obecny i musi być konsekwentny. Przy jakiejś okazji kierownik techniczny Teatru im. St. Jaracza powiedział mi, że być brygadzistą w teatrze, to bardzo dużo lub bardzo mało — wszystko zależy od człowieka. A być brygadzistą w Teatrze Nowym, to bardzo dużo... Żadnych ulg, bo samemu trzeba się też zdrowo naharować, a dochodzą jeszcze papierki i praca społeczna w komórce partyjnej. Ciągle wielu jest ludzi świeżych, nie obeznanych z pracą. Trzeba ich szybko wdrożyć do obowiązującego rytmu, zgrać zespół. Częste są konflikty ze starszą kadrą. Ci we własnym interesie tępią leserów. Dobrze, że tak jest, ale często warto przeczekać. A nuż ryba chwyci? Nie jest przecież łatwo wychować sobie wartościowego pracownika.

SPECJALIŚCI DO USTAWIANIA

„Wielka Encyklopedia" PWN nie uwzględnia pod hasłem „maszynista" maszynisty teatralnego. Bardziej pod tym względem łaskawy jest już skromny pewuenowski **„Słownik wyrazów obcych"** — w znaczeniu drugim mamy tam: **„specjalista ustawiający i zmieniający dekoracje w teatrze"**. A praca maszynisty teatralnego jest przecież tak stara, jak długo istnieją w teatrach zmienne dekoracje i pozorowane efekty.

Różny był w historii status tego zawodu. Byli więc maszyniści konstruktorami przemyślnych teatralnych maszyn, wykonywali prace stolarskie i zdobnicze, zebrane doświadczenia ogłaszali w książkach o budowie teatrów i ich urządzeń technicznych. W wieku XX specjalizacja nie ominęła i tego wąskiego stosunkowo odcinka działalności ludzkiej. Z dawnego „machinisty" pozostał tylko robotnik wykonujący pod kierunkiem reżysera, technika teatralnego i scenografa najprostsze prace fizyczne. Jedno tylko nie uległo zmianie: jest się na usługach iluzji, symbolu, w świecie fikcji. Trzeba się podporządkować konwencji teatralnego widowiska, z całą jego materialną znikliwością.

Najpierw jest ciężki zbiorowy wysiłek — półtorej, trzy godziny życia skomplikowanego organizmu i zapalają się robocze światła, a bohaterowie rozchodzą się do domów. Ten organizm „bez sensu" można pokochać. Jutro, pojutrze wszystko zacznie się od nowa. Teraz trzeba podnieść kurtynę, błyskawicznie oczyścić scenę z dekoracji. Rano, kwadrans po dziesiątej zacznie się próba innej rzeczywistości, może inna epoka, z pewnością inne problemy i wizje potrzebują dla siebie miejsca. Rano, w ciągu dwóch godzin można nie zdążyć, a nie zdążyć właśnie nie można. Jest godzina dwudziesta trzecia. Uciekają ostatnie tramwaje. Teatr ma taki zapach, który łatwo uczula nozdrza. Jest duszno i pot leje się z czoła. O tej porze śpieszy się każdy.

Przed nami wolny poniedziałek. Teraz, kiedy wreszcie tydzień pracy mamy poza sobą, jakoś nikomu nie pilno do domu. Odprężenie. Brygadzista wychodzi z pokoju, żeby opuścić żelazną kurtynę — niezbędne zabezpieczenie przeciwpożarowe. Dwóch wykorzystuje sprzyjający moment. Roman coś długo majstruje przy jednej z szafek. Płuczą szklanki. Humory poprawiają się błyskawicznie. Ci dwaj należą do tych, dla których teatr nie jest jedynym źródłem „utrzymania". Długi czas byli bez stałego zajęcia. Później zgoniły ich kolegia. No i dzieciaki nie mogły chodzić do przedszkola, a żony pracują w fabrykach na dwie zmiany. I tak kłopot. Trzeba mieć białko — powiadają nie bez pewnej wyższości. Trochę w tym pozy, bo z teatrem jakoś nie mogą się rozstać. Roman marzy o posadzie szatniarza w dobrej knajpie, ale też szkoda forsy na kaucję. A lata lecą i zdrowie już nie to. Ogólnie robotnicy dobrzy, pracują sumiennie. Czasem tylko przepadną gdzieś na dzień, dwa. Przepraszają...

KSIĄŻKA

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

ŻYCIU NAPRZECIW

Pisarstwo Andrzeja Brauna zwykło się określać jako konsekwentny rekonesans w stronę doświadczeń ideowo-politycznych. Przechodziło ono zresztą określone fazy, zbieżne z poszczególnymi etapami rozwoju powojennej naszej literatury: od produkcyjnych „Lewantów", poprzez obrachunkowe „Piekło wybrukowane", do ogólniejszych ujęć w „Zdobyciu nieba" czy „Próżni".

Opublikowana w PIW-owskiej serii polskiej prozy współczesnej najnowsza jego powieść „Bunt" kontynuuje w pewnym stopniu wcześniejszą problematykę, podobnie jak i egzotyczna chińska sceneria, w jakiej przeżywają swe tarapaty polscy bohaterowie „Buntu", nie jest w tej twórczości elementem nowym. Nowością nie jest także wreszcie Conradowski rodowód bohatera „Buntu" — Gustawa Smolarza. Wielkim pisarzem, którego Anglii dała Polska, interesował się bowiem Braun intensywnie, czego ślad pozostał między innymi w wydanym przed kilku laty tomie esejów pt.: „Śladami Conrada". Twórczość autora „Szaleństwa Almayera", o której znów mówi się i dyskutuje (tym razem z okazji ekranizacji „Smugi cienia") prezentuje bohatera, dla którego wierność sobie i innym jest sprawą w życiu najważniejszą. Bezsilny wobec przeznaczenia, często samotny, zawsze podejmuje on walkę z losem. Do końca wypełnia swój obowiązek. Motyw ów, tak wyraziście ukazujący siłę charakteru, jest najmocniejszym chyba akcentem w Conradowskiej refleksji nad dolą człowieczą.

„Statek, niczym człowiek — tak długo żyje, póki walczy, póki się przeciwstawia ślepym siłom. Bierność i rezygnacja, to koniec wszystkiego, to żer dla nienawiści ludzkiej, bądź zachłanności żywiołów"... Nie, nie jest to cytat z „Lorda Jima", zdanie powyższe pada w powieści Andrzeja Brauna. I najlepiej chyba wprowadza w problematykę „Buntu". Jego bohater toczy nieustanną walkę z przeciwnościami losu, z wrogiem narodowym i politycznym, na koniec z żywiołem morskim. Jest postacią tak bujną, że życiorysu jego wystarczyłoby na kilka powieści. Urodzony na Śląsku od dzieciństwa stykał się z polsko-niemieckimi problemami. Jako kilkunastoletni chłopak walczył w brygadach międzynarodowych w Hiszpanii. Potem był odpowiednikiem Klossa w Luftwaffe. Następnie działał w warszawskim podziemiu. Po wojnie organizował polską flotę. W uznaniu zasług został dyrektorem Centrali Morskich Dostaw i w związku z tym ma do wypełnienia zadanie: w niezwykle trudnych okolicznościach (trwa właśnie wojna koreańska) musi wyprowadzić z Hongkongu korzystnie zakupiony statek.

Zasadniczy konflikt utworu wyraża się opozycją między bezwzględnym spełnieniem obowiązku, a narażaniem życia własnego i podkomendnych. Dramatyczna scena konfrontacji Smolarza jako kapitana nowego polskiego statku „Pokój" z naprędce skompletowaną załogą, której poważną część stanowią zresztą Chińczycy, jest kulminacyjną i najlepiej napisaną sceną powieści. Smolarz za wszelką cenę chce ocalić z ogromnym trudem uruchomiony statek i dlatego nie stawia czynnego oporu tajwańskiemu ścigaczowi. Załoga, nie rozumiejąc uporu kapitana, buntuje się i Smolarz ponosi największą i ostateczną porażkę.

Wadzenie się z losem określał bohater „Buntu" mianem wychodzenia życiu naprzeciw. Dewiza ta pomagała mu przetrwać wiele zawiłości, pozwalała podjąć wyzwanie czasu. Przegrał, bo nie znalazł w swej walce partnerów. Poniósł klęskę, bo nie był w stanie s a m do końca wypełnić podjętego obowiązku.

Książką swą Braun przypomniał, czym była ongiś powieść, gdy nazywano ją jeszcze romansem. Fabuła „Buntu" obfituje bowiem w zdarzenia niezwykłe i w niecodzienne powikłania ludzkiego losu, do tego posiada również intrygujący wątek erotyczny — namiętną miłość dyrektora Smolarza z ambasadorówną w Pekinie.

Wątki polityczne rozpisane zostały tym razem na dwa głosy. Jeden z nich to dyplomacja — spokojna, zrównoważona (acz nie zawsze) działalność ambasadora Berezińskiego. Drugi — to polityczna aktywność Smolarza, człowieka czynu. Uzupełniają się one dokładnie i wspólnie dopiero ukazują atmosferę oraz pewne mechanizmy działań z okresu, gdy opinie o ludziach i sprawach były „generalnie surowe".

Nazwałbym „Bunt" „czytadłem", gdyby określenie to nie niosło ze sobą pewnych lekceważących odcieni. Ale skoro już zostało rzucone, niech wskazuje, że powieść Andrzeja Brauna jest po prostu trzymającą w napięciu i zmuszającą do refleksji lekturą.

A. Braun, Bunt, PIW, Warszawa 1976. nakład 20 000 + 290 egz., cena zł 40.—

LATAJĄCE SPODKI

ZBIGNIEW BLANIA

Współczesna historia Niezidentyfikowanych Obiektów Latających obfituje w liczne nieporozumienia, fałszywe i fantastyczne koncepcje, pospolite błędy, nadużycia i mistyfikacje. Wszystko to jednak okazuje się drugorzędne i przesuwa się na dalszy plan w porównaniu ze sprawą o charakterze skandalu, sprawą, której ujemne skutki trudno przecenić. Negatywne konsekwencje owej afery, jaka wybuchła w związku z naukowymi badaniami zjawiska NOL prowadzonymi pod egidą Amerykańskich Sił Powietrznych (U. S. Air Force) stawiają problem Niezidentyfikowanych Obiektów Latających w całkowicie nowym świetle i mają zasadnicze znaczenie dla zrozumienia genezy i istoty owych trudno wytłumaczalnych zjawisk.

Na czym zatem polaga owo nieporozumienie nazywane czasami w literaturze ufologicznej „kardynalnym nadużyciem" lub „wielką mistyfikacją"? Na problem Latających Talerzy składało się wiele pytań. Jedno z nich brzmiało: **czy Latające Talerze są fikcją?** Obecnie stawia się inne pytanie: **czy naukowe podejście do zagadnienia NOL jest fikcją?** Pytanie to stało się już całkowicie retoryczne, o ile bowiem odpowiedź na pierwsze pytanie pozostaje nadal otwarta — o tyle odpowiedź na drugie jest zdecydowanie **pozytywna.**

W krajach zachodnich ukazało się w ostatnich latach wiele publikacji książkowych, których centralnym punktem jest krytyka amerykańskich projektów badań owych nie wyjaśnionych powietrznych fenomenów. Ogromne znaczenie posiada przy tym fakt, iż owa krytyka dokonywana jest częstokroć przez naukowców zaangażowanych na stanowiska naukowych konsultantów U.S. Air Force w sprawie badania zjawiska NOL. Główne tezy ze wspomnianych wyżej prac dają się sformułować następująco:

1. Opinia publiczna we wszystkich krajach i środowisko uczonych zostały wprowadzone w błąd twierdzeniem, że całość zagadnienia Latających Talerzy została zbadana w sposób właściwy.
2. Ogromna ilość niezwykle intrygujących i posiadających dużą wartość naukową raportów nie została w ogóle zbadana przez ekspertów U. S. Air Force.
3. Wiele doniesień o spostrzeżeniu Niezidentyfikowanych Obiektów Latających nigdy nie wyszło poza obszar posterunków policji i nigdy nie przedstawiono ich naukowcom.
4. Opinia publiczna nie jest informowana o wielu fascynujących incydentach a rezultaty badań pewnej ilości NOL są utrzymywane przez rząd w tajemnicy, z niejasnych najczęściej powodów.

Po słynnych amerykańskich programach badania Latających Talerzy utrwaliła się powszechnie opinia, że zjawiska te są rodzajem mitu charakterystycznego dla naszych czasów, że sprawa ta została definitywnie i raz na zawsze wyjaśniona w kategoriach naukowej wiedzy, że zajmowanie się badaniem NOL nie ma już żadnego sensu. Opinia taka utrwaliła się najsilniej w środowiskach naukowych, gdzie zaczęto traktować owo zagadnienie z przymrużeniem oka, zaliczając je do sfery tych samych zjawisk co astrologia, czarnoksięstwo, parapsychologia, jasnowidzenie i różdżkarstwo.

Jakże mogło być inaczej, skoro doświadczenia i publikacje ze strony czynników oficjalnych, instytutów badawczych i organizacji państwowych głosiły, że problem Niezidentyfikowanych Obiektów Latających nie może być już problemem naukowym, że stał się jedynie przedmiotem wiary a nie wiedzy.

Mimo to wielu poważnych naukowców nadal zajmowało się owym problemem próbując dociec istoty lekceważonego już przez większość ludzi nauki zjawiska. Ich rozumowanie przebiegało często w sposób następujący: skoro Amerykańskie Siły Powietrzne przy współudziale wybitnych ekspertów interesowały się problemem NOL przez 22 lata, sprawa nie może być aż tak błaha, jak się to usiłuje nam wmówić. Z drugiej strony każdego roku napływały nowe materiały świadczące o tym, że zainteresowanie zjawiskiem Latających Talerzy wcale nie gaśnie, każdego tygodnia pojawiały się dziesiątki doniesień o spostrzeżeniu na niebie latających przedmiotów. Dalszy rozwój wypadków pokazał, że zdecydowane i nie pozostawiające cienia wątpliwości oświadczenia władz wojskowych, jakoby problem NOL został wnikliwie i sumiennie przeanalizowany w oparciu o nowoczesną naukę, przy zaangażowaniu ogromnych sum i wykorzystaniu najnowocześniejszej aparatury technicznej, są jedynie częściowo prawdziwe. W istocie wydano na badanie Latających Spodków milionowe sumy, zagadnienie NOL rzeczywiście stało się przedmiotem analiz prowadzonych w instytutach naukowych, być może niektóre wypadki badano wnikliwie, ale sposób, w jaki potraktowano problem, niewiele miał wspólnego z prawdziwie naukowym podejściem. Okazało się bowiem, że analiza większości przypadków prowadzona była w sposób będący zaprzeczeniem podstawowych zasad metodologii naukowej, a często nawet zdrowego rozsądku. Oficjalne raporty, o ile dotarły już do rąk badaczy, były efektem niefrasobliwie przeprowadzonej selekcji przez osoby najmniej do tego powołane. W wyniku owej wstępnej selekcji odbywającej się poza obrębem nauki wyłączone zostały ze sfery zainteresowania wszystkie te przypadki, które na pierwszy rzut oka wydawały się bałamutne, zbyt fantastyczne i mało prawdopodobne — tak więc naukowi konsultanci US Air Force otrzymywali w rezultacie tylko te materiały, które przeszły przez wojskowo-policyjne kanały i nie wymagały z reguły stawiania karkołomnych hipotez, a wiele zadziwiających raportów nigdy nie ujrzało światła dziennego.

Nie bez winy jest także wielu badaczy wchodzących w skład grup roboczych w poszczególnych programach badania NOL z ramienia U.S. Air Force. Niektórzy z nich nie potrafili podejść do zagadnienia w sposób bezstronny wielu kierowało się fałszywymi założeniami i uprzedzeniami. Tak więc duża ilość materiałów, które znalazły się w posiadaniu zespołów badawczych nie doczekała się żadnych analiz, gdyż nie umiano się do nich zabrać, ponieważ przeciwstawiały się utrwalonym już twierdzeniom z terenu nauk przyrodniczych, ponieważ przymuszały do stawiania dziwnych hipotez i przyjmowania nie akceptowanych na terenie nauki założeń. Tymczasem wiadomo, że jeżeli dane obserwacyjne i fakty świadczą przeciwko jakiejś uznanej i zobiektywizowanej teorii, możliwe są co najmniej trzy wyjścia z sytuacji:

— albo twierdzenia i owe teorie są mimo wszystko fałszywe,
— albo zachodzi wypadek fałszywości danych obserwacyjnych,
— albo też owe teorie opisują tylko pewien wycinek rzeczywistości, są szczególnym przypadkiem jakiejś szerszej, nie poznanej jeszcze struktury teoretycznej.

Niestety, przeważająca ilość prób rozwikłania zagadki NOL zmierzała w kierunku zweryfikowania hipotezy drugiej, przypadkami — pierwszym i trzecim — prawie nigdy się nie zajmując.

Jednakże ludzie związani głównie z administracją amerykańskich projektów badawczych znaleźli jeszcze jedno rozwiązanie — uznali oto, że owe fakty i dane obserwacyjne po prostu nie istnieją i że najwygodniej jest odrzucić je i zapomnieć.

Tak więc sierżant policji, patrolujący pewną szosę w Nowym Meksyku, miał zaburzenia wzrokowe i pojazd, który wylądował w pobliżu był tworem jego chorobliwej wyobraźni. Jeśli przyjmie się z góry taką hipotezę, to sprawą nie warto się dalej zajmować. Również próbki spalonej ziemi i roślinności, wzięte z miejsca lądowania owego tajemniczego pojazdu, przesłane do laboratoriów — najlepiej uznać za nie istniejące.

(Incydent, o którym wspominam wyżej, nie został w rzeczywistości uznany za zjawisko mieszczące się w kategoriach subiektywnych, lecz potraktowano go wyjątkowo, poważnie, chcę jednak pokazać działanie pewnego mechanizmu tak typowego dla całokształtu „naukowych" badań Niezidentyfikowanych Obiektów Latających).

Zanim przejdziemy do udowodnienia podanych informacji, nie od rzeczy będzie przypomnieć, choćby w największym skrócie, historię badań zjawiska NOL prowadzoną przez amerykańskie władze wojskowe i amerykańską naukę.

Pierwsze, nikłe jeszcze i bezpłodne zainteresowanie czynników oficjalnych sprawą dziwnych powietrznych obiektów datuje się z czasów II wojny światowej, kiedy to amerykańscy, niemieccy i japońscy piloci wojskowi składali raporty o spostrzeżeniu przez nich w trakcie lotów nie znanych, unoszących się w powietrzu przedmiotów. Incydenty takie nie należały do rzadkości: piloci posługiwali się w prywatnych rozmowach między sobą żartobliwymi i pieszczotliwymi nazwami na określenie tych zjawisk, które powszechnie uważano za pewien rodzaj latających duszków, nazywanych w żargonie lotniczym „foo-fighters". Owe raporty i doniesienia były systematycznie lekceważone przez dowództwo.

Sytuacja taka panowała do połowy 1947 roku. 24 czerwca tegoż roku amerykański businessman, Kenneth Arnold, przelatując swoim prywatnym samolotem w pobliżu szczytów Mount Rainier, zauważył dziewięć nie znanych mu dotąd latających obiektów, lecących w szyku ułożonym na kształt łańcuszka. Zdarzenie to wywarło na nim tak duże wrażenie, że natychmias zawiadomił ziemię i po wylądowaniu otoczony był już grupą dziennikarzy. W czasie wywiadu Kenneth Arnold posłużył się słowem „spodek" opisując swoje przeżycie. Dziennikarze natychmiast ukuli nowy termin: „Latające Talerze", który zyskał sobie wielką popularność.

Wypadek ten nie posiada prawie żadnej wartości naukowej z powodu zbyt małej ilości danych i niemożliwości sprawdzenia podanych przez Arnolda rewelacji, wszedł on jednak na stałe do historii Latających Talerzy z zupełnie innego powodu. Uruchomił bowiem naukowe badania fenomenu NOL i przebudził amerykańskie lotnictwo. Fala spekulacji i roztrząsań, jaka wywołał incydent w pobliżu Mount Rainier, przeważyła, jak się wydaje, szale. U. S. Air Force pod wpływem opinii publicznej i zaniepokojenia pogłoskami o nowej radzieckiej broni, ogłosiły oficjalnie program naukowego badania Niezidentyfikowanych Obiektów Latających za otwarty. Nie bez znaczenia dla kontynuowania badań była z pewnością śmierć trzech wojskowych pilotów, w tym jednego w trakcie pościgu Latającego Talerza (kapitan Thomas Mantell, który zginął w styczniu 1948 r. — jego śmierć i charakter NOL pozostały do dziś nie wyjaśnione).

We wrześniu 1947 roku rozpoczyna się program badania NOL pod nazwą „Project Sign". Po wielu zmianach badania prowadzono nadal, lecz w ramach nowego już projektu, tzw. „Project Grudge". Od 1951 roku do 1960 rozbudowany już plan badania NOL zmienił nazwę na „Project Blue Book". Oficjalne zakończenie badań nastąpiło pod koniec 1969 roku, kiedy to sekretarz U. S. Air Force, Robert C. Seamans, ogłosił koniec projektu „Blue Book". Ostatnim poważnym i o dużym zasięgu badaniem były prace tzw. Komitetu dra Condona i jego raport sporządzony w oparciu o analizę grupy naukowców skupionych wokół Uniwersytetu Colorado, w którym znalazło się wiele przypadków NOL omawianych uprzednio w trakcie planu „Blue Book".

Badania trwające 22 lata dały, wbrew pozorom, bardzo mierne rezultaty, wiele zagadnień nie znalazło żadnego rozwiązania, zdania uczonych były podzielone, chociaż ofijalna wersja głosiła, że Niezidentyfikowane Obiekty Latające to problem w zasadzie wyjaśniony, nie godny już naukowego zainteresowania.

W grudniu 1969 roku pod patronatem Amerykańskiego Towarzystwa Rozwoju Nauki odbyła się w Bostonie konferencja z udziałem wybitnych ekspertów naukowych poświęcona zagadnieniu Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. Jedną z osób biorących udział w owym sympozjum był proferos James E. Mc Donald, wieloletni badacz NOL, były wykładowca w Instituud of Atmospheric Physics i w Wydziale Meteorologii Uniwersytetu Arizona. Referat profesora Mc Donalda poświęcony był w całości zagadnieniu pseudonaukowego podejścia, jaki stosowano przy rozwiązywaniu zagadki Latających Talerzy. Na czterech wybranych przypadkach NOL prof. Mc Donald pokazuje liczne błędy metodologiczne, odkrywa niedbalstwo zarówno personelu administracyjnego jak i naukowego, udowadnia, że naukowe badania Latających Talerzy nie miały w istocie nic wspólnego z nauką. Kończąc omawianie jednego z incydentów, w czasie którego nieznany świecący obiekt dokonywał ewolucji, do jakich niezdolny jest żaden z wyprodukowanych dotychczas przez człowieka pojazdów powietrznych, będąc jednocześnie widziany na ekranach kilku niezależnie od siebie pracujących radarów, zarówno naziemnych jak i w ścigającym NOL samolocie, pisze:

„Wydaje się, że w przypadku, kiedy NOL został zaobserwowany i wykryty przez tak wiele niezależnie od siebie pracujących jednostek, kiedy zaobserwowano tyle interesujących szczegółów tego niewytłumaczalnego zjawiska, Siły Powietrzne, jak i ośrodki obserwacyjne powinny włożyć maksimum wysiłku, aby dokładnie zbadać i przeanalizować to wydarzenie. Typowe jest jednak dla wielu przypadków NOL to, że są one traktowane bardzo ogólnikowo. Sytuacja taka występuje stale od 1947 roku. Zaskakujące jest również to, dlaczego wprowadzano przez tyle lat naukowców w błąd, głosząc, że „najznakomitsi uczeni U. S. Air Force" prowadzą szczegółowe badania pojawiających się niezidentyfikowanych obiektów. Wprowadzono w błąd zarówno naukowców w kraju, jak i za granicą, twierdząc, że prowadzone są szczegółowe badania, które doprowadziły do wniosku, iż problem NOL jest właściwie nonsensem, podczas gdy w zasadzie nie przeprowadzono takich badań w ogóle. Ponadto, niewłaściwie i bez należytego zaangażowania prowadzone badania spowodowały sytuację, że po 22 latach poszukiwań większość przypadków NOL określa się jako niemożliwe do wyjaśnienia."

Prof. Mc Donald miał na myśli jedynie te wypadki, które pozostają po odrzuceniu ewidentnych mistyfikacji, żartów, fałszywych doniesień i zjawisk typowo przyrodniczych. Wysunął on jednocześnie przypuszczenie, że wiele przypadków NOL jest niemożliwych do wytłumaczenia w oparciu o naszą aktualną wiedzę o świecie.

„Wydarzenie to — pisze dalej — jest właściwie niemożliwe do wyjaśnienia ze względu na dotychczasową niedoskonałą jeszcze wiedzę. Jednakże wskazuje ono na pewne prawidłowości, jak i na „inteligencję" tych pozaziemskich obiektów".

Przytoczmy jeszcze jedną wypowiedź prof. Mc Donalda.

„Okazuje się, że bardzo wielu naukowców nawet nie wie, że wśród raportów znajdujących się w Air Force można znaleźć tak ciekawe wiadomości na temat różnych przypadków NOL, a bardzo niewiele dotychczas zrobiono, by przebadać dokładnie owe wydarzenia. Wielka ilość wypadków w ramach projektu „Blue Book" została wyjaśniona zbyt ogólnikowo i często w sposób niemożliwy do przyjęcia. Zastraszające jest to — pisze — jak dużo cennych informacji znajdujących się w raportach służby wywiadowczej i lotniczej nie zostało podanych do wiadomości publicznej".

Profesor Allen J. Hynek, astronom i dyrektor Lindheimer Astronomical Research Center w Uniwersytecie Northwestern, przez 22 lata był naukowym konsultantem lotnictwa amerykańskiego do spraw NOL. Zaangażowany w czasie trwania prac w ramach projektu „Sign" zakończył swoje oficjalne badania po zlikwidowaniu ostatniego programu — projektu „Blue Book".

W 1972 roku ukazała się napisana przez niego praca: „The UFO Experience. A. Scientific Inquiry", uchodząca do tej pory za jedno z najlepszych opracowań tematu. Wielkie znaczenie ma tutaj fakt, że informacje, jakie zamieszcza profesor Allen Hynek pochodzą z pierwszej ręki i od osoby znającej całość badań NOL od wewnątrz. Profesor Hynek dokonał klasyfikacji zjawiska NOL wyróżniając kilka typów spostrzeżeń. Jedną z nich, najbardziej fascynującą, jest kategoria zwana „Bliskimi spotkaniami III-go rodzaju". Błędy jakie popełniono w czasie „naukowych" badań zagadki NOL i brak rzetelnej naukowej analizy ukazują się najwyraźniej w stosunku do tej właśnie kategorii zjawisk.

Oto, co pisze prof. Allen Hynek w swojej pracy:

„Przechodzimy obecnie do najdziwaczniejszego i w zasadzie nie wyjaśnionego aspektu fenomenu NOL. Szczerze mówiąc wolałbym opuścić tę część rozważań, gdyby było to możliwe bez wykroczenia przeciw naukowej uczciwości. „Bliskie spotkania" to te, w których donosi się o obecności poruszających się istot (użyłem terminu „poruszających się", „sprawiających wrażenie żywych" zamiast po prostu żywych istot", gdyż chciałem pozostawić otwartą możliwość, iż mamy do czynienia z robotami lub czymkolwiek innym od istoty ludzkiej — A. H. Istoty te posiadają różne nazwy: „pasażerowie", „humanoidy", „NOL-nauci", lub nawet „UFO-sapiens". Niestety, nie można pominąć tych danych tylko dlatego, że nie podobają się nam; nie powinniśmy też podchodzić do nich ze zgóry powziętym uprzedzeniem. Rzetelność naukowca badającego sprawę NOL nie pozwala przemilczeć i tych, najbardziej nieprawdopodobnych raportów, tym bardziej, że jest ich ogromna ilość. Są to zarazem wypadki, które najtrudniej wyjaśnić bez odwoływania się do hipotety o lądowaniu na Ziemi istot z kosmosu. W katalogu sporządzonym przez Jacquesa Vallee (amerykański naukowiec, specjalista od zagadnień sztucznych satelitów, mikrofal i technologii radarowej, konsultant NASA w projekcie „Mapa Marsa" — Z. B.), który zawiera 1247 przypadków bliskiego spotkania, 750 dotyczy raportów o zauważonym lądowaniu jakichś pojazdów. Spośród tych 750 raportów — 300, czyli około 40 procent, dotyczy humanoidów widzianych wewnątrz lub obok pojazdów.

Po przejrzeniu kartoteki projektu „Blue Book" — pisze dalej — nikt nie będzie podejrzewał, że istnieje jeszcze jakiś problem „humanoidów z kosmosu". Spośród tysięcy raportów zebranych przez Amerykańskie Siły Powietrzne tylko 48 dotyczyło lądowań NOL, a wśród nich zaledwie 12 mówiło o humanoidalnych postaciach. W okresie, który zamknął się w Blue Book" liczba 48 lądowań miały miejsce 223 raporty donoszące o humanoidach, pochodzące z całego świata. Sposób, w jaki Siły Powietrzne potraktowały przypadki lądowania, pozostawia wiele do życzenia. 2 przypadki z 48 określono jako halucynacje, 6 wytłumaczono, odwołując się do niejasnych czynników psychologicznych, 2 następne wytłumaczono przy pomocy kategorii „niesilidne, nierzetelne raporty" które to określenie w terminologii „Blue Book" znaczy „szalone" 6 uznano za żarty, ale na podstawie skąpych i nie sprawdzonych informacji. Większość została załatwiona przy pomocy terminu „niewystarczająca ilość danych" — terminu faworyzowanego w „Blue Book", który pojawia się zawsze tam, gdzie zdobycie dodatkowych informacji sprawiać może kłopot. W pozostałych 9 przypadkach nie próbowano wcale zdobyć jakichś szczegółowych informacji, poprzestając na zebranym już materiale a wypadki te uznano za niewyjaśnione.

Mógłby ktoś zapytać — pisze prof. A. Hynek — dlaczego Amerykańskie Siły Powietrzne zajęły się tylko 48 spośród 190 wypadków lądowania w USA. Przypuszczam, że wiele tych raportów „umarło" w lokalu, do którego docierały. Jak się bowiem okazało, schemat postępowania z raportami powodował, że brane były pod uwagę tylko te incydenty, które przeszły przez oficjalny kanał Amerykańskich Sił Powietrznych. Raporty o lądowaniach, a szczególnie doniesienia typu „mali, zieloni ludzie" nie były poważnie przyjmowane przez policję już w punkcie wyjścia i nie zostawały przekazywane naukowcom, zgodnie z dewizą, iż nie należy przekazywać nonsensów".

Jak się zatem okazuje, ogromna ilość doniesień nie mogła zostać zbadana przez fachowców z „Blue Book", ponieważ nigdy nie ujrzeli ich na oczy. W rezultacie wiele intrygujących przypadków nie zostało przeanalizowanych. Nie jest to, jak wiadomo, sposób postępowania właściwy nauce. Nie wolno podzielić fenomenu NOL na kilka części i zająć się jednymi odrzucając apriorycznie drugie. Należy studiować całość zjawisk, albo nie studiować żadnego z nich.

Wielu uczonych pracujących nad rozwikłaniem problemu NOL nie potrafiło wyzwolić się ze skostniałych schematów myślowych i podejść do sprawy w sposób bezstronny i bez uprzedzeń. Jeden z najsłynniejszych teoretyków zagadnienia NOL, prof. D. Menzel, zawodowiec, specjalista od zjawisk atmosferycznych i jednocześnie gorący zwolennik hipotezy o naturalnym charakterze i pochodzeniu NOL należy, jak można sądzić do tego właśnie typu uczonych. Czytając jego prace trudno uwolnić się od wrażenia, że profesor Menzel stara się za wszelką cenę wyjaśnić każdy przypadek w kategoriach przyrodniczych. Zasada postępowania jest słuszna, ale fakty zmuszają często do odrzucenia wyjaśnień w terminach mieszczących się w obrębie aktualnych nauk, a rozumowanie profesora Menzla jest niesłychanie naciągane i nie ma pokrycia w rzeczywistości. W licznych dyskusjach prowadzonych przez nologów zwracano uwagę na fakt, iż profesor Menzel zdominowany jest przez dwa rodzaje zjawisk przyrodniczych: światło planety Wenus widziane w dzień i zjawisko pozornego słońca doskonale znane meteorologom i astronomom. Stało się to rodzajem jego obsesji i studiując analizy wielu przypadków NOL przeprowadzone przez profesora Menzla, dochodzi się do przekonania, że u podstaw jego kalkulacji leży założenie, iż obserwowany fenomen był światłem planety Wenus, mylnie wziętym za Latający Talerz, bądź też zjawiskiem pozornego słońca, uznanym przez świadków za obraz NOL. Tymczasem obserwacje takie dokonywane były często przez ludzi z treningiem naukowym, mających na co dzień do czynienia z procesami, jakie zachodzą między niebem a ziemią; astronomów, pilotów samolotów wojskowych i cywilnych, meteorologów, wykwalifikowany personel lotniczy...

W wielu opracowaniach książkowych, pisanych z pozycji nauki daje się odkryć wielce zawodny w tym wypadku schemat wnioskowania przez tzw. indukcję enumeracyjną. Metoda ta polega na uznaniu jakiejś ogólnej prawidłowości za wniosek na podstawie przyjętych już zdań jednostkowych, obejmujących poszczególne, ale nie wszystkie przypadki owej prawidłowości ogólnej. Tak zatem, jeżli przebadano wnikliwie połowę ogólnej liczby przypadków NOL (co nie jest zgodne z prawdą, gdyż analiza objęła o wiele mniej wypadków) i stwierdzono przyrodnicze ich pochodzenie — to wniosek ten bezzasadnie rozciągnięto na wszystkie pozostałe nie zbadane jeszcze przypadki. Schemat taki, czasem wyrażony wprost, ale częściej przemycany w postaci sugestii, stosowany był w wielu pracach na temat Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. Ów zawodny schemat wnioskowania występuje najczęściej w opracowaniach oficjalnych Amerykańskich Sił Powietrznych. Tak więc, jeżeli prawdą jest twierdzenie, że U.S. Air Force zlekceważyły i pokpiły sprawę badań NOL, to należałoby się zastanowić, dlaczego naukowcy zatrudnieni i pracujący pod kontrolą urzędników administracji państwowej i dowództwa lotnictwa nie protestowali przeciwko łamaniu podstawowych założeń metodologicznych oraz przeciwko błędom interpretacji statystycznych.

Wyjaśnienie znaleźć można w pracy „The UFO Experience", na którą wcześniej już się powoływaliśmy. W czasie prowadzonych badań miało miejsce wiele prób złożenia rezygnacji z zaszczytu uczestniczenia w programach. Taka sama sytuacja panowała w czasie ostatniego ataku na fenomen NOL w grupie skupionej w Uniwersytecie Colorado pod kierownictwem naukowym dra Edwarda Condona. Starcia między personelem badawczym a personelem administracyjnym były na porządku dziennym. Profesor Hynek cytuje list wyrażający rezygnację jednego z naukowców z Uniwersytetu Colorado — Marii Ludwiki Armstrong, skierowany do swojego zwierzchnika, dra Condona. Autorka pisze w nim m. in.:

„Jestem przekonana, że wszyscy członkowie planu do pewnego stopnia muszą ponosić odpowiedzialność za obecny stan rzeczy, jak również za to, że nie przyszliśmy do Pana wcześniej z naszymi obawami".

Autorka listu-rezygnacji, powołując się na opinię większości swoich kolegów obciąża jednak winą za fiasko „NOL Planu" przede wszystkim ludzi spoza personelu naukowego.

Jakie perspektywy rysują się dla dalszych badań zagadnienia Niezidentyfikowanych Obiektów Latających? Większość autorów uważa, że należy opracować nowe programy poszukujące rozwiązania zagadki, że należy działać w oparciu o nowe metody, że może dojść do wartościowych wyników. Czy tak się stanie — czas pokaże.

„WIDZISZ ASAF HAN"

Dalszy ciąg ze str. 1

2.

Było niejako perską tradycją, że niemal każdy nowy szach porzucał stolicę swego poprzednika i ustanawiał nową. Tahmasp I (1524—1576) miał swą stolicę w Kazwinie. Jego następca, Abbas I Wielki uczynił stolicą Isfahan. Dziad Abbasa I — Ismail, założyciel dynastii Safawidów miał swoją stolicę w Tabrizu. Ta część dawnej Persji była jednak narażona na liczne najazdy Turków, stąd też decyzja Tahmaspa, aby przenieść stolicę bardziej na południe, na płaskowyż Kazwinu. Abbas I Wielki przeniósł stolicę do Isfahanu, położonego w centrum Persji, co stwarzało mu dogodne warunki do wypraw wojennych na południe i zachód kraju.

Wpływ na tę decyzję mieli też nadworni astrologowie, którzy uważali, że jeśli Abbas I pozostanie w Kazwinie, to spotkają szacha liczne i wielkie nieszczęścia. Różne więc były powody przeniesienia stolicy do Isfahanu. W każdym razie było ich wiele, a spowodowały w rezultacie wielki rozkwit tego miasta.

3.

Jedna z legend głosi, że miasto powstało z woli i inicjatywy Salomona. Podróżował on kiedyś latającym dywanem w otoczeniu światłych mężów i wezyra Asaf Hana. Zauważyli oni piękną okolicę, gdzie rzeka Zayandeh Rud wypływała z gór i tworzyła małe jezioro. Salomon był zdania, że gdyby nie jezioro byłoby to piękne miejsce na założenie miasta Jeden z mężów towarzyszących Salomonowi zapewnił go, że osuszy jezioro, ale Asaf Han powątpiewał. A gdy jednak osuszył jezioro rzekł: — **Widzisz, Asaf Han.** Od tego powiedzenia ma się podobno wywodzić nazwa Isfahan.

Kazimierz Sidor w książce „Bogowie, magowie i nafta" sugeruje, że nazwa Isfahan może wywodzić się od perskiego słowa „aspahan" lub „sephahan" co oznacza obóz wojskowy. W każdym razie pewne jest, że Isfahan był już miastem, kiedy Persję podbił Aleksander Wielki. On też kazał miasto rozbudować.

Szach Jezdegerd, panujący w latach 399—420 naszej ery, osadził w Isfahanie Żydów. Za czasów Abbasa I wprowadzono z inicjatywy szacha surowe obostrzenia dla Żydów. Jednocześnie Abbas sprowadził do Isfahanu Ormian z Jolfy na północy kraju. Uczynił tak z dwu powodów. Aby opustoszyć północne tereny kraju narażone na najazdy Turków i aby osiedlić w swojej stolicy rzemieślników. Ormianom, których osadził na południe od rzeki Zayandeh Rud, w dzielnicy do dziś noszącej nazwę Jolfa, zostawił wielkie swobody, zakazując im tylko kolorowymi mozaikami ozdabiać chrześcijańskie świątynie.

Abbas I Wielki rozpoczął swoje panowanie w 1581 roku i panował do 1628 roku. W 1590 roku zawarł pokój z Turkami, a okres pokoju przeznaczył na umocnienie i rozwój Persji. Panował nad terytorium, które obejmowało część Mezopotamii po rzekę Tygrys, Gruzję i sporą część Indii. Sprowadził do Isfahanu wielu cudzoziemców. Między innymi Antoniego i Roberta Sherleyów, Anglików, z których pierwszy zajął się organizacją wojska i administracji i utworzył artylerię perską. A drugi — Robert Sherley został ministrem spraw zagranicznych na dworze Abbasa I. Szach i jego minister poślubili dwie siostry, Gruzinki. Żona Roberta była piękna, wykształcona, wysportowana i brała żywy udział w życiu dworu i w życiu politycznym. Jaka była żona Abbasa I, tego nikt nie wie, jako że nie wolno jej było pokazywać się publicznie, jak przystało prawowiernej muzułmance, żonie prawowiernego muzułmanina, w dodatku szacha.

Dawny Isfahan, ten sprzed czasów Abbasa I Wielkiego, leżał z dala od rzeki Zayandhe Rud. Abbas obok starego miasta wybudował nowe, zbliżył je do rzeki, która dostarczała wodę licznym ogrodom. Wybudował osiem pałaców, z których zachowały się tylko dwa: Kakh — e Ali Qapu przy Maidan — e Shah i Kakh — e Chehel Sotun, czyli Pałac Czterdziestu Kolumn. Ale nie są to wszystkie zabytki Isfahanu. Jest ich razem osiemdziesiąt.

4.

Po północnej stronie Maidan — e Shah jest bazar, ponoć — jak twierdzą znawcy — najpiękniejszy i najciekawszy w całym Iranie. Tutaj w sklepikach i na straganach można dostać wszystko, a już niewątpliwie to wszystko, co potrzebuje turysta, aby zawieźć do swego kraju urocze i egzotyczne pamiątki z Iranu. Po zgiełku bazaru plac wydaje się oazą ciszy. Jest rzeczywiście ogromny. Dawno już utracił swój pierwotny charakter.

Na Maidan — e Shah odbywały się spotkania rycerzy, tu szach spotykał się z ludem, tu niezwykle uroczyście przyjmowano ambasadorów obcych państw i tu także handlowano. Dziś w samym środku Maidan — e Shah lśni zieloną wodą sadzawka i tryskają w niebo fontanny. Maidan — e Shah trzeba obejść wkoło. Najpierw obejrzeć sklepy i warsztaty, w których blacharze wystukują pracowicie ozdobne naczynia, ceramicy malują płytki, będące niekiedy małymi obrazkami. Można tu kupić przepiękne irańskie miniaturki. Sporo trzeba poświęcić czasu na obejście Maidan — e Shah, ale warto. A skoro się już tego dokona, czas na zwiedzanie Kakh — e Ali Qapu.

Kakh — e Ali Qapu był głównym pałacem. Stoi sobie niepozornie w rzędzie wielu budynków przy Maidan — e Shah. Jest to duży pięciopiętrowy budynek. Od drugiego piętra na Maidan — e Shah wychodzi wielki drewniany taras z drewnianymi kolumnami sięgającymi 4 piętra i drewnianą balustradą. Z tego tarasu Abbas I Wielki przyglądał się uroczystościom i igrzyskom. Za tarasem była sala tronowa.

Na wprost Kakh — e Ali Qapu meczet zbudowany na cześć szejka Lutfallaha, teścia Abbasa I. Zbudowano go w latach 1563—1618. Na prawo — po południowej stronie Maidan — e Shah — meczet królewski, Masjid — e Shah. Zaczęto go budować około 1612 roku. Jego budowniczym był Abul Kasim. Po wybudowaniu fundamentów, kiedy Abbas I naglił, aby szybciej kończyć budowlę, architekt udał się na pielgrzymkę do Mekki. Wywołało to gniew Abbasa I. Ale racja była po stronie architekta, któremu chodziło o to, aby fundamenty ustaliły się. Po powrocie do Mekki Abul Kasim pokazał szachowi pęknięcie fundamentu. Gdyby nie jego przezorność meczet mógłby się zawalić. Abbas I Wielki darował Abul Kasimowi „niesubordynację". Ten skończył prace w 1628 roku, już po śmierci Abbasa I.

Oba meczety są przepiękne. Ale jest to piękno wymagające kontemplacji. Można w tych meczetach spędzać długie godziny, patrzeć na przepiękne mozaiki i coraz to odkrywać coś nowego. Oba meczety różnią się od siebie. Mesjid — e Sheikh Lutfollah nie posiada krużganków, bocznych sal. Jedna wielka sala, cała wyłożona kolorową mozaiką. Sala jest kompletnie pusta. A przecież tego się wcale nie czuje. Przez 16 koronkowych okien światło pada na glazurę ścian. Daje to zadziwiające i niepowtarzalne efekty.

Masjid — e Shah jest zupełnie inny. Wielka, harmonijnie skonstruowana budowla. Majestatyczna i piękna. Światło i kolor. Byłem w Masjid — e Shah dwukrotnie i za każdym razem inaczej widziałem tę świątynię Allacha. A mówiono mi, że można tam być 100 razy i 100 razy zobaczyć coś nowego, innego, pięknego.

5.

W tyle, za Kakh —e Ali Qapu, w ogrodzie, do którego wejście prowadzi od Sepah Avenue, znajduje się Kakh — e Chehel Sotun, albo Pałac Czterdziestu Kolumn. Kolumn jest właściwie tylko dwadzieścia, ale pałac wybudowano nad sadzawką, w której kolumny odbijają się i stąd nazwa: Pałac Czterdziestu Kolumn. Dziś jest w nim muzeum.

Isfahan jest pięknym miastem. Otoczony górami, leży bardziej na południu niż Teheran. Przyciąga setki turystów. Na ulicach Isfahanu ruch znaczny, ale nie tak wielki jak w Teheranie. I charakter tego miasta bardziej wschodni, azjatycki. Z pozoru wydaje się, że prostopadły układ ulic ułatwia poruszanie się. Okazało się, że nic podobnego. Trzeba było pytać o drogę.

Przechodzień pokiwał ze zrozumieniem głową i pokazał, że trzeba iść w prawo. Przysłuchujący się naszej rozmowie żołnierz, odczekał chwilę, a później podszedł, pokazał na oddalającego się Irańczyka, popukał się znacząco w głowę, wyjaśniając łamaną angielszczyzną, że trzeba najpierw iść prosto, a dopiero później w prawo.

Przy następnych kłopotach z trafieniem we właściwe miejsce zebrało się całe „kolegium" isfahańczyków, którzy wspólnymi siłami ustalili najprostszą trasę. A chciałem trafić do Madresseh — e Chahar Bagh.

Madresseh — e Chahar Bagh leży u zbiegu dwu ulic, wspomnianej już głównej osi północ — południe Chahar Bagh — e Abbasi Avenue i Shah Abbas Avenue. Jest to wybudowana w 1715 roku szkoła teologiczna, w której kształcili się muzułmańscy duchowni. Obok był wielki i znany w całej Persji karawanaseraj — jakbyśmy dziś powiedzieli zajazd — a jeszcze obok drugi w Isfahanie, ale znacznie mniejszy Bazaar — e Boland. Był to kompleks zabudowań otoczony ogrodami. Dziś już ogrodów nie ma. Bazar jest nadal czynny i specjalizuje się w sprzedaży wyrobów rzemiosła artystycznego, ale jest oczywiście znacznie bogatszy od naszej rodzimej „Cepelii" i nie tylko wielkością, wręcz nieporównywalną, ale też ilością proponowanych wyrobów. Można tu znaleźć wszystko,, począwszy od złota a skończywszy na ceramice.

Dawny zajazd odrestaurowano i dziś jest w nim słynny ale i bardzo drogi Shah Abbas hotel. Architektonicznie obie budowle są bardzo do siebie podobne. Hotel też tworzy czworobok, z pokojami mającymi bezpośrednie wyjście do ogrodu, który znajduje się w środku całej budowli. Oprócz tego są też pokoje hotelowe, restauracja, bar i inne pomieszczenia w budynku głównym hotelu. Naprzeciw głównego wejścia, we wnęce, utrzymana w dawnym stylu herbaciarnia irańska. Można tu napić się oryginalnej irańskiej, bardzo dobrej zresztą, herbaty, popalić nargile. Nie ma tu stolików, krzeseł. Są tylko murowane ławy, pokryte grubymi warstwami oryginalnych, perskich dywanów. W tej herbaciarni można sobie leżeć w przyjemnie chłodnym cieniu i popijać herbatę. Alkoholu tu się nie podaje.

Madresseh — e Chahar Bagh, który dawniej był szkołą teologiczną, kształcącą duchownych muzułmańskich, jest teraz pięknym zabytkiem. Kształtem swoim przypomina trochę Masjid — e Shah — czyli meczet królewski — ale bez tego ogromu, majestatu i przytłaczającego człowieka piękna. Jeśli w meczecie królewskim wierny czuł się drobnym pyłkiem wobec wszechpotęgi Allacha, to w Madresseh — e Chahar Bagh student teologii skłonny był tylko medytować o tym samym. Wnętrze przepięknie ozdobionego Madresseh — e Chahar Bagh wysadzone jest drzewami. Pełno tu wszędzie cienia. W środku sadzawka. Chłodno, przyjemnie i refleksyjnie.

Robiłem właśnie kolejne zdjęcie, gdy podszedł do mnie mułła i tajemniczym szeptem zapytał, czy chciałbym wejść na dach?

— Na dach?

Mułła kiwał głową i tajemniczo kładł palec na ustach.

— **Tam nie wolno chodzić, ale zaprowadzę. Tam dobre zdjęcia.**

— Chodźmy.

Poszliśmy. W pełnej konspiracji. Drzwi były gdzieś schowane w cieniu. Zamknięte na ogromną kłódkę. Mułła ciągle kładł palec na ustach i tajemniczo pokazywał drogę. Mogłem zajrzeć do pokoi dawnych studentów. Nie mieli luksusów. Oj, nie mieli. Ale ich sprawa. Potem drabina, jakieś schody i oto dach. Robię zdjęcia, rozglądam się. Nic tu nadzwyczajnego. Trzeba wracać. Znów wędrówka w ciszy i tajemniczości. Przy rozstaniu się wyciągam 50 rialsów i daję mulle. A ten powiada: — Mało. Kręci głową i pokazuje, że była pełna konspiracja, bo tu nie wolno. Dokładam mu drugie 50 rialsów. Musiałem jeszcze dać i trzecie. W sumie ta tajemnicza wędrówka kosztowała mnie przeszło 2 dolary, bo takie są przeliczenia, a w Teheranie śmieli się ze mnie aż ich boki bolały.

Kazimierz Sidor w książce „Bogowie, magowie i nafta" — zresztą znakomitej i chyba najbardziej wyczerpującej współczesnej książce o Iranie — opisał już takiego samego mullę, który wówczas przed laty — sprzedawał kawałki ceramiki, jaką wyłożone jest wnętrze i kopuły Madresseh — e Chahar Bagh. Miała to być rzekomo bardzo stara ceramika, ukradziona oczywiście i sprzedawana w tajemnicy. A była tylko podrabiana, bardzo zręcznie zresztą. Kazimierz Sidor nie dał się nabrać, bo go uprzedzono.

Przy okazji wspomnę, że Kazimierz Sidor pisze w swej książce o bardzo nieciekawej i pełnej kurzu drodze z Teheranu do Isfahanu. Dziś już tej drogi nie ma. Jest ładna, asfaltowa, równo wytyczona. Sporo się zmieniło w Iranie od czasów, kiedy był tam Kazimierz Sidor. A był on w latach 1956—1965 ambasadorem PRL w Iranie i Afganistanie.

6.

Na isfahańskim cmentarzu jest grób wysłannika króla polskiego — **posła Teodora Mironowicza,** który zmarł w Isfahanie w grudniu 1686 roku. Spoczywa tu też stryj J. J. Rousseau, a także szwajcarski zegarmistrz Rodolph. Spoczywa wielu Polaków, których aż tu zagnały różne losy. W czasie drugiej wojny światowej też.

W Isfahanie właśnie żywo na pamięć przychodzą persko-polskie stosunki. Jedyny portret Abbasa I Wielkiego, jaki zachował się, przedstawia go... w polskim stroju. Abbas kładł ten strój na siebie w szczególnie uroczystych chwilach. Na przykład, kiedy przyjmował u siebie ambasadorów obcych państw, delegacje zagraniczne. Abbas I Wielki walcząc z Turkami, usiłował nawiązać ścisłe stosunki dyplomatyczne z Polską. Słał kilkakrotnie delegacje poselskie do króla polskiego, ale najczęściej utykały one w Moskwie, gdzie Borys Godunow przeciwny był takim sojuszom. Dopiero Sefer Abratowicz wysłany pod pozorem kupna dywanów i biżuterii dotarł do Abbasa I, był przez niego przyjęty i przyczynił się do nawiązania stosunków dyplomatycznych Persji z Polską. Abbas I Wielki kilkakrotnie później słał posłów do Zygmunta III Wazy. Pierwsze poselstwo przybyło do Polski w 1605 roku, następne — w 1609...

Ale to tylko fragment stosunków persko-polskich.

7.

Do Teheranu 425 km. Trzeba niestety zostawić resztę z osiemdziesięciu isfahańskich zabytków. Czas wracać.

„Powrócisz do Isfahanu,
jak wraca pasterz do dolin
Aleją białych platanów,
brzękiem wieczornych mandolin (...)

Tak pisał w wierszu „Podróż do Isfahanu" Stanisław Baliński, a wiersz ten ukazał się w zbiorze jego poezji wydanym w 1927 roku

„Niebo się zniży,
kopuły zaleje płynnym szmaragdem,
Podasz mu oczy pogodne,
Będziesz szczęśliwy. Naprawdę."

Isfahan już za nami. Upał nie jest taki dokuczliwy. Minęło południe. Znów jedziemy przez pustynię. Jeszcze tylko kolacja w Delijan, gdzie młody Irańczyk uparcie domagał się, aby mu zrobić zdjęcie przy pieczeniu dla nas kababu, czyli irańskiego szaszłyka. Ale jakże to inny szaszłyk niż te, które robi się u nas. I dalej w drogę do Teheranu.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Zdjęcia Autora

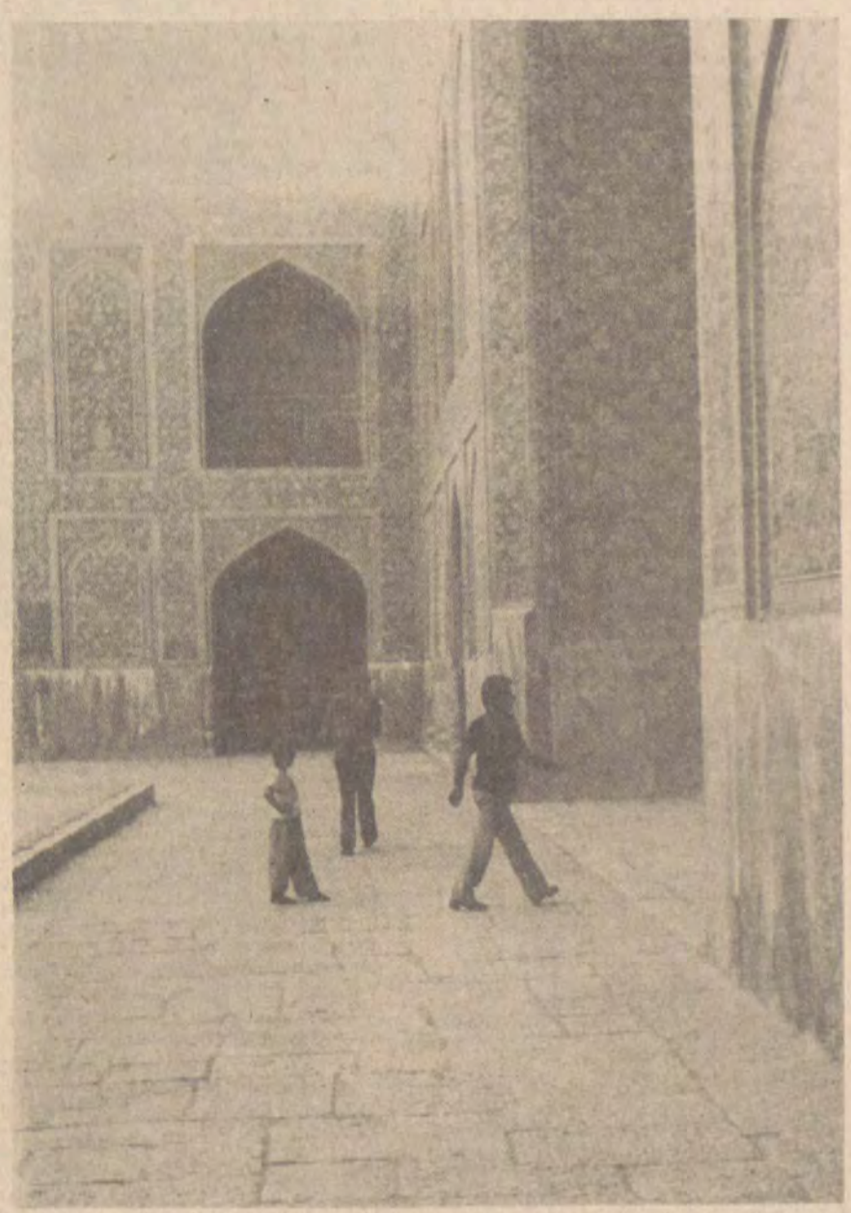

JULIAN SIEMIONOW

WIECZNY PŁOMIEŃ

Dalszy ciąg ze str. 1

— Nie, nie! Naprawdę nie! Przypomniałam sobie, że muszę dziś, zanim zamkną bibliotekę, wypożyczyć książki. Jutro mam egzamin.

(Helena Kazimirowna szła nie po książki: nagle wyraźnie, z przerażającą jasnością przypomniała sobie twarz kierującego rosyjską zagraniczną agenturą w Berlinie — Arkadia Michajłowicza Gartinga i jego głos: „Wpadnę do pani na dniach, dobrze? Bez dzwonienia, tutejsze telefonistki są nazbyt ciekawskie, choć nie wszystkie pojmują naszą mowę". I wyobraziła, że Garting w tej chwili idzie korytarzem wysłanym miękkim dywanem, zatrzymuje się pod jej drzwiami, stuka kostkami silnych palców do drzwi... O, Boże! Zgroza! Zdecydowała się zadzwonić do niego i uprzedzić, że przychodzić dziś do niej nie można, następnie wypożyczyć wszystko jedno jakie książki od „Humboldta" i jak najprędzej wrócić. Jednakże telefon w poselstwie nie odpowiadał, w domu Gartinga także nie było i Górowska siadła w hallu przy stoliku, niby to czytając gazetę, a w rzeczywistości spoglądając nieustannie na drzwi i wydała się nagle sama sobie wstrętna, brudna...).

— Brednie! — Zapalił się Nikołajew. — Brednie, rozumiecie? Japończycy leją nas na czym świat stoi! Trzebaż było pakować się w tę całą awanturę, co?! Kto? Kto to wszczął, Feliksie Edmundowiczu?

— Kto? Kto?, Kirille Porfirowiczu — wpadając w ton Nikołajewa zapytał Dzierżyński. — Biurokracja, armia, car. Czyż nie jasne? Wasz brat, burżuj, też dobry sobie. Ile pieniędzy przepompowaliście? Ile milionów wlano do skarbu?

— Wlano, wlano i co się stało? W co obróciły się te pieniądze? Myślicie, że mi żal, iż płacę? Skądże! Jestem gotów! Ale — dla sprawy, dla sprawy!

— Dlatego chciałem się z wami zobaczyć. Po pierwsze dziękuję za tamte pieniądze, które daliście mi gdy uciekłem z Syberii. — Dzierżyński wyjął markę i dwadzieścia rubli, podał je Nikołajewowi. — Mocnoście mnie wówczas wsparli.

— Zwariowaliście? — spochmurniał Nikołajew.

— Nie krzywdźcie mnie — łagodnie powiedział Dzierżyński. — Nie trzeba. Sprawa dotyczy czegoś innego, Kirille Porfirowiczu. Nam są potrzebne pieniądze, bardzo dużo pieniędzy i my chcemy prosić was o pożyczkę.

— Dużo, to znaczy ile?

— Dwa tysiące marek.

Nikołajew cichutko się zaśmiał.

— Dużo! — powtórzył nie mogąc powstrzymać drobnego, wibrującego śmiechu. — Dwa tysiące! To dla was dużo? Aleście mnie rozśmieszyli: dwa tysiące! Niepoważna ta wasza organizacja...

Dzierżyński spoważniał.

— Jako organizacja, składamy się z tych, którzy miesięcznie zarabiają dwadzieścia rubli, Kirylle Porfirowiczu.

— Zupełnie zrozumiałe: biedacy — nie mogąc się uspokoić, kontynuował Nikołajew kołysząc się w fotelu. — A ile wy otrzymujecie?

— Miesięcznie trzydzieści. Moje wyjazdy pokrywa CK. Mieszkanie, w razie konieczności, także.

Nikołajew urwał, jakby cały czas był poważny.

— Wytrzymacie w tych warunkach?

— W jakich?

— W niedostatku, w gruźlicy, na wygnaniu, na zesłaniu. Wytrzymacie?

— Wierzę w to.

— A jeśli — zmęczenie?

— Przecież nie sobie służę.

— Powiedzieliście, że zwrócicie. Kiedy zamierzacie zwrócić?

— Kiedy chcecie?

— Powiedzmy, za rok.

— Dobrze. Zwrócimy.

— W jaki sposób zbierzecie tyle pieniędzy?

— Zbierzemy. Sukcesywnie. Im więcej chłopów zostanie zrujnowanych, tym więcej przyjdzie ich do fabryk, a im więcej będzie ich w fabrykach, tym więcej zjawi się pytań, na które dają odpowiedź nie „Wiadomości giełgowe" i nie „Nowe czasy" — lecz my.

— Załóżmy, że zwyciężyliście — powiedział Nikołajew. — Załóżmy, choć osobiście w to nie wierzę i proszę Boga, by to nie nastąpiło. Jestem za pierwszą połową programu Lenina, jestem za burżuazyjną demokracją lecz przeciw rewolucji proletariatu.

— Rozumiem.

— Obecnie możecie stać się taranem, który dokona potrzebnego dla mnie wyłomu. Lecz, powtarzam, załóżmy, że stało się niemożliwe i wy zwyciężyliście. Co wtedy? Mnie — na gilotynę?

— Jaki macie zawód?

— Jak to, jaki? Kolejarz.

— Mianujemy naczelnikiem stacji — uśmiechnął się Dzierżyński.

Nikołajew wyjął książeczkę czekową, wpisał sumę, podał Dzierżyńskiemu.

— Możecie nie oddawać. Albo kiedy już zwyciężycie. Feliksie Edmundowiczu, mądry z was i dobry człowiek, ale wszystkich nas czeka chaos i zguba, zguba i chaos. I niczego z tym co nadchodzi nie zrobisz, bowiem Rosja ani przez was ani przeze mnie nie może być pojęta — diabło dziwny kraj, skryte w nim jakieś zakrętasy, toczy się w nim nieuchwytne, łapiesz — i pustka, wymknęło się. Zdumiewające, wiecie — kraj puchnie, naród słabnie. Monarcha boi się, nie zezwala Rosjanom na uświadomienie poczucia odpowiedzialności za kraj, chce cały ruch, każdą myśl podporządkować sobie jako wyrazicielowi idei państwowości — i w tym największa bieda.

— Nie jego. Wasza. Mistycyzm nacjonalizmu kryje w sobie blask i dziecinność — zauważył Dzierżyński. — A wyście temu blaskowi ulegli. To wygodne: za ciebie pomyślano, sformułowano, wydrukowano — chroń się więc za tym na zdrowie.

— Mistycyzm, tak, rzeczywiście. A czyż to nie prawda?

— Oczywiście, że nie. Zostaniecie gospodarzem imperium przemysłowego, wybudujecie koleje na Wschodzie i na Zachodzie — także wszystko będziecie zgarniać pod siebie i wymyślicie własną koncepcję usprawiedliwiającą centralizm przemysłowy.

— A co proponujecie w zamian?

— Czytacie socjaldemokratów?

— Oni rozpatrują Rosję jako społeczeństwo ludzi myślących. A gdzie widzieliście takich u nas? Bierzcie jak najszybciej wszystko w swoje ręce i zaczynajcie, w przeciwnym razie zginie mocarstwo, pójdzie do wszystkich diabłów, stanie się poślednim gatunkiem. I to po Puszkinie i Dostojewskim, co?

Zastukano do drzwi. Dzierżyński odezwał się:

— Proszę.

Weszła gruba Niemka z paczką.

— Bielizna dla pani — powiedziała przepraszająco. — Nie wiedziałam, że pani ma gości.

— Jaka bielizna? — Nie od razu pojął Dzierżyński.

— Trzy dni temu pani oddała swoją bieliznę do prania.

— Dziękuję — odpowiedział Dzierżyński, lecz nagle nachmurzył się i zapytał:

— Kiedy pani oddała bieliznę do prania?

— Trzy dni temu — odparła służąca. — Jak wróciła z Paryża.

— Do Paryża pani wyjeżdżała w zeszłym miesiącu, czy tak?

— Nie — powiedziała służąca. — Dziesięć dni temu. Po powrocie, od razu poprosiła by zabrać bieliznę do prania...

Kiedy drzwi się zamknęły, Dzierżyński zapytał:

— Macie papierosy?

Nikołajew zdziwił się.

— Palicie?

— Nie.

— Więc nie palcie, nie trzeba. Chodźmy lepiej na kolację. Ugoszczę dobrym jedzeniem.

— John Iwanowicz nadal zdrowy? — jakby nie słysząc Nikołajewa, zapytał Dzierżyński. — Zawsze taki wesoły?

— A czegóż ma się martwić? Rosja wkrótce na dobre ugrzęźnie w konflikcie japońskim, dla jego kraju to wygodne, będą dywidendy, a on pieniądze trzyma w banku kalifornijskim, choć umrzeć ma zamiar obok mnie, w Rosji.

— Jak myślicie, zgodzi się spełnić moją prośbę?

Górowska wróciła od razu jak tylko wyszedł Nikołajew. Było późno i Garting, tak się jej zdawało, nie powinien był dziś przyjść, a i Dzierżyński, pewnie za chwilę się pożegna.

— W porządku? — Zapytała. — Mówiąc szczerze, nie chciałam przeszkadzać.

— Ależ skąd — odparł Dzierżyński. — Naprawdę nie było potrzeby. Tym bardziej, że nic sensownego z tej rozmowy nie wyszło.

— Kto to był?

— Wojujący eser. Przygotowuje poważne wywłaszczenie w Warszawie.

— Pewniakiem nie genewski?

— Nie. Częściej przebywa w Londynie lub w Rosji. Chciałbym zadzwonić, można?

— Oczywiście, proszę...

Górowska wyszła do sąsiedniego pokoju. Dzierżyński odprowadził w zamyśleniu ją wzrokiem, podał numer telefonistce, następnie lekko przycisnął palcem widełki aparatu, i powiedział:

— Mikołaj? To ja. Za trzy dni pociągiem moskiewskim w czwartym przedziale będzie jechał wujek z bagażem. Niech go spotkają na granicy. Łatwo go poznać: czerwona czapeczka z pomponem, źle mówi po rosyjsku. Przekaże czerwony kuferek Stanisławowi. Do widzenia.

Górowska zjawiła się jak tylko Dzierżyński odłożył słuchawkę.

— Może herbaty? — zapytała.

Dzierżyński przyjrzał się jej figurze, twarzy, uśmiechnął się z wysiłkiem i rzekł:

— Dziękuję. Pódję już. W głowie mi się jakoś kręci...

— No więc herbata jest konieczna, szklanka mocnej herbaty... Jedną chwilkę, zaraz poproszę...

Dzierżyński nie mógł wstać z fotela, przygniatało go ciężkie uczucie: nigdy nie widział prowokatora tak blisko.

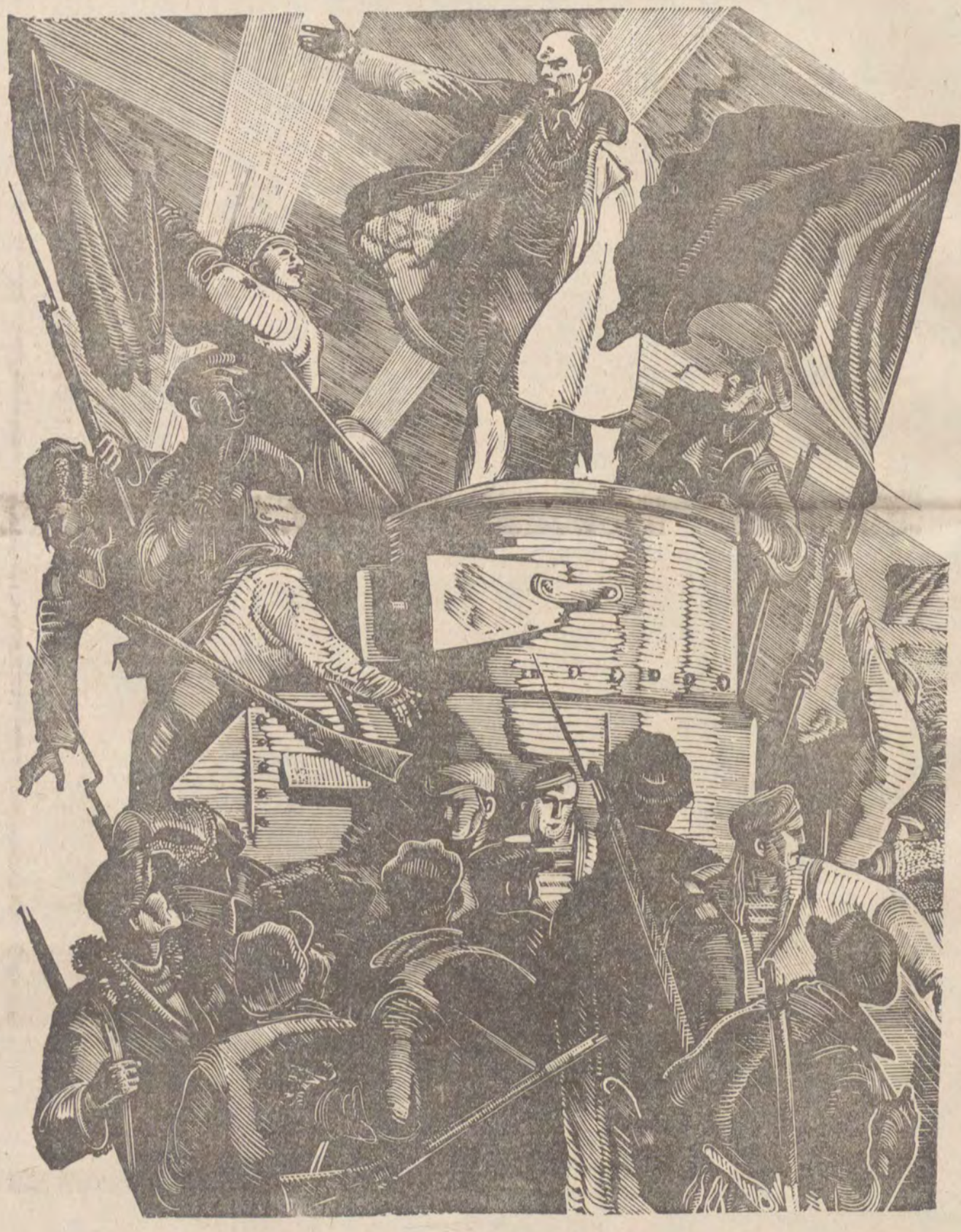

☆ ★ ☆

Dzierżyński dokładnie złożył telegram Vincenta informujący o zatrzymaniu na stacji granicznej Johna Scotta, schował go do kieszeni i w zadumie popatrzył na Różę Luksemburg, która zebrała aktyw SDKPiL.

— Tak więc — powiedział Dzierżyński — teraz rozumiemy skąd szły wpadki w Warszawie i Łodzi. Rozumiemy kto sypnął drukarnię Grybasa.

— Przypadek wykluczony? — zapytała Luksemburg.

— Jeden procent prawdopodobieństwa — odpowiedział Dzierżyński.

— Wnioski, towarzysze — powiedziała Luksemburg. — Jakie wnioski?

— Towarzyszko Różo — wstał siwy brodacz, jeden ze „starszych". — W Pitrze, Moskwie i Warszawie w ciągu ostatnich czterech miesięcy zostało powieszonych osiemnastu towarzyszy. Rozpoczyna się sąd nad Grybasem. Nasza odpowiedź dla satrapów może być jedna: śmierć prowokatorom!

Dzierżyński palcami przycisnął powieki, można było zauważyć ich nerwowe drganie.

— Towarzyszko Różo! — Członek CK był szybki, zapalczywy. — Towarzysze! Zdarzenie jest niezwykłej wagi. Ptacha, którą znaliśmy, której pomagaliśmy, przygotowywaliśmy do egzaminów, żywiliśmy...

— To są słowa — przerwała Luksemburg. — Proszę o konkrety.

— To nie są słowa! To moje serce!

— I to są słowa — sucho przerwała Luksemburg.

— Dobrze. Jestem za natychmiastowym sądem partyjnym.

— Następny, proszę.

— Sąd.

— Ty?

— Śmierć.

— Ty?

— Śmierć.

— Józef?

Dzierżyński ciężko uniósł zaczerwienione powieki.

— Jestem przeciw.

— Motywacja — jak i przedtem, beznamiętnie, sucho zażądała Luksemburg.

— Kiedy mnie zapytano „Przypadek wykluczony?", odpowiedziałem: Jeden procent prawdopodobieństwa!

W pokoju było cicho i ta cisza była męcząca, napięta wyczekiwaniem, gotowa w każdej chwili zmienić się w ogólny hałas. Dzierżyński wyczuwał to i celowo nie spieszył się, by dać czas towarzyszom na wysłuchanie nie tylko jego samego, ale i przyjąć jego punkt widzenia, a w każdym razie nie od razu go odrzucić.

— Upodabniamy się do anarchistów — kontynuował Dzierżyński zmuszając się do mówienia głosem cichym i powolnym. — Śledztwo, wyroki, krew, terror — to nie nasze metody. Górowska służy Ochranie, musimy dążyć do tego by umożliwić jej pokutę przez odkrycie nam prawdy. Jeśli odmówi — wówczas publicznie napiszemy o jej prowokatorskiej działalności w naszej, socjalistycznej prasie.

— Jakimi dowodami ma to być potwierdzone? — zainteresowała się Luksemburg.

— Nie do obalenia.

— Macie taką możliwość?

— Takiej możliwości tymczasem nie mam, lecz ją znajdę.

— W jaki sposób?

— Rozpocznę g r ę!

— Z kim?

— Z Gartingem — odpowiedział Dzierżyński.

— Towarzysze. Zanim przystąpimy do głosowania, czy chcecie zapoznać się z moim stanowiskiem? — zapytała Luksemburg. — Niestety, jestem zmuszona przyznać rację Józefowi. To, co proponujecie, wypływa z waszych serc bez myśli o strategii, o przyszłości. To, o czym mówi Józef, i z czym, niestety, zgadzam się, to opinia człowieka patrzącego w przyszłość, w tę niewidzialną przyszłość, do której nie każdemu jest dane zajrzeć. Józef ma rację: nie możemy naśladować taktyki eserów. W tym lokalnym epizodzie winna ujawnić się nasza pozycja: albo wyrok, tajny sąd, który pozwoli tutejszej policji na rozdmuchanie kolejnej sprawy o anarchistach i straszenie tym mas, albo otwarte, pogardliwe, świadczące o naszej sile oświadczenie w prasie: „Taki to a taki lub taka to a taka jest współpracownikiem Ochrany. Ostrzegamy o tym wszystkich towarzyszy walki".

A teraz, proszę, głosujemy...

Oprac. E. U.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

OBRAZKI Z WYSTAWY

Lato miało się ku końcowi, ale dzień był upalny. Ulice i perony kolejki podziemnej wypełniał świąteczny tłum. Po dwóch przesiadkach Rybicki znalazł się na prospekcie Pokoju i ruszył w kierunku głównego wejścia WDNCh.*). Wykupił bilet i szedł główną aleją wiodącą w kierunku pawilonów wystawowych. Włączył się w nurt ludzki płynący w tę samą stronę nieprzerwanym strumieniem. Stał się jakby cząstką wielkiego organizmu, co zwalniało go z dokonywania samodzielnego wyboru. Było mu z tym lżej.

Fala poniosła go ku wielkiej fontannie przed centralnym pawilonem, gdzie ustawiono estradę i rzędy ławek dla widzów. Zza pawilonu, jakby tylko czekała na Ernesta, ruszyła właśnie górnicza orkiestra w galowych strojach i zbliżała się ku estradzie, grając skocznego marsza. Kończyła go stojąc już na podwyższeniu. Posypały się oklaski, a przy mikrofonie ustawionym na froncie wyłonił się konferansjer.

— Witam wszystkich przybyłych na nasz koncert w dniu górniczego święta — przemówił, gdy się trochę uciszyło. — Za chwilę, drodzy towarzysze, przemówi do was z okazji Dnia Górnika wiceminister przemysłu węglowego Rosyjskiej Federacyjnej SRR, towarzysz... (tu padło nazwisko, którego Ernest nie dosłyszał). A potem wystąpi dla was górniczy zespół pieśni i tańca przybyły specjalnie na dziś z Donbasu.

— Towarzyszki i towarzysze! Szanowni obywatele! — przy mikrofonie stał już minister, wysoki mężczyzna w piaskowym garniturze i powiewającym na wietrze brązowym krawacie. Raz po raz przygładzać musiał swoje włosy również targane przez wiatr. — Gdy Aleksy Stachanow zapoczątkował w 1935 roku ruch współzawodnictwa pracy, roczny urobek radzieckiego przemysłu węglowego wynosił sto milionów ton. W czterdzieści lat później, na koniec dziewiątej pięciolatki wzrósł siedmiokrotnie, z czego jedna czwarta przypada na Syberię...

Ernest oddalił się i nie słyszał dalszego ciągu przemówienia, bardzo krótkiego zresztą. Po chwili rozległy się kwitujące je oklaski, a zaraz potem popłynęły z megafonów rozlewne dźwięki harmonii i śpiew chóralny, przez który przebijały się charakterystycznym falsetem głosy kobiet. Obchody Dnia Górnika, na które Rybicki trafił przypadkiem, wtopiły się dyskretnie w atmosferę świątecznego pikniku, jaka panowała wokół pawilonów.

Nie spiesząc się, świadomy niczym nie ograniczonego czasu, obejrzał pawilony energii atomowej, radioelektroniki, Kosmosu, by trafić do energetyki. Tu spędził dobrą godzinę, oglądając wielkie makiety elektrowni wodnych. Trochę notował, ale niewiele. Wiedział, że na to przyjdzie czas na Syberii. Syberia! Jakoś wciąż jeszcze nie oswoił się z myślą, że już wkrótce tam będzie. Tak głęboko tkwił w sprawach, które pozostawił za sobą w kraju, że nie potrafił cieszyć się niedaleką przyszłością. Lubił podróżować. Od najmłodszych lat zwiedzanie świata było jego pragnieniem, ale wojna i pierwsze trudne lata powojenne odsunęły jego Wunderjahre na wiek już dojrzały. Nadrabiał więc z młodzieńczym zapałem te opóźnienia, gdy tylko nadarzała się okazja. Najpierw przyszła kolej na kraje europejskie, potem Bliski Wschód, Ameryka, Afryka. Były to z reguły wyjazdy służbowe, ze ścisłym programem, w których głód poznawania świata można było zaspokajać tylko ukradkiem, w przerwach między zajęciami, wykorzystując zwłaszcza weekendy. A oto teraz z woli ministra był po raz pierwszy panem swego czasu, miał spory szmat jego w zapasie, tak jak i niemałą sumę rubli w portfelu...

Gdy dość skrupulatnie zapoznawał się z modelem plastycznym zapory wodnej na Angarze i elektrowni w Bracku, wyobraził sobie, że między nim i Syberią wytwarza się pewien stosunek osobisty. Nasłuchał się i naczytał na jej temat sporo. Wzbierało w nim pragnienie zweryfikowania tych cudzych relacji. Zaczął więc odczuwać coś w rodzaju niecierpliwości, chęci znalezienia się tam jak najprędzej. Było to uczucie podobne do tego, jakiego doznaje młody człowiek, dojrzewający potencjalnie do miłości, idący na spotkanie z dziewczyną, której wprawdzie jeszcze nie zna, ale o której urodzie i zaletach charakteru nasłuchał się od przyjaciół tyle, że wiąże z jej osobą duże nadzieje. Tak oto Syberia zaczęła się w wyobraźni Ernesta jakby personifikować.

Zdawało mu się, że nie tylko on zdąża do zetknięcia z nią, ale i ona wabi go i przyzywa z daleka różnymi głosami. Griszina, Leonowa (a tak! nawet i jego), wiceministra, którego skrawek przemówienia wysłuchał, wreszcie tych wszystkich anonimowych pracowników — plastyków, fotografików, rzeczoznawców — którzy przygotowali ekspozycję w pawilonie energetyki na WDNCh. Oni o tym nie wiedzieli, że szykują tę prezentację Syberii właśnie dla niego. Skoncentrowani na estetycznej stronie plansz i fotogramów, dobierając najcharakterystyczniejsze, najwymowniejsze zestawy danych statystycznych i wykresów, wyobrażali sobie z pewnością przyszłego odbiorcę swej pracy jako kogoś nieokreślonego, bez twarzy i indywidualności. Przypuszczalnie brali pod uwagę, że wystawa dostarczać będzie materiału wizualnego i rozumowego różnym ludziom, o odmiennych zainteresowaniach i stopniu wrażliwości. Nie wiedzieli natomiast, że to dla niego, Ernesta Rybickiego, przeznaczone jest dzieło ich rąk i pomysłowości. Że działają jako pośrednicy między nim i Syberią, przed bezpośrednim zetknięciem.

Po wyjściu z pawilonu Ernest siadł na ławce obok maneżu, na którym odbywały się właśnie pokazy koni rasowych. Przyglądając się z przyjemnością wspaniałym zwierzętom prowadzonym za uzdę przez masztalerzy w czerwonych frakach i czarnych dżokejkach, stwierdził że po raz pierwszy od dłuższego czasu opuścił go stan odrętwienia i braku chęci na cokolwiek. Gdyby można było już jechać na wschód, choćby jutro! Przez moment zastanowił się, czy nie mógłby w jakiś sposób przyspieszyć wyjazdu. Wiedział, że wszelkie rozmowy na ten temat z Leonowem mijają się z celem. Ma on tak wypracowany system w ekspediowaniu gości zagranicznych w podróż po kraju, że o żadnych odchyleniach nie mogło być mowy. Może próbować interwencji poprzez Griszina? Stoi przecież w hierarchii służbowej znacznie wyżej. Dla niego nie będzie dziwna niecierpliwość Ernesta. Ale taka interwencja także nie miałaby sensu. Leonow nie zdążył z pewnością porozsyłać w piątek dalekopisów do ośrodków, które Rybicki miał odwiedzić. Uczyni to w poniedziałek przed południem.

Adresaci nie odpowiedzą od razu. Muszą zarezerwować hotele i poczynić inne niezbędne przygotowania. Dopiero po dwóch-trzech dniach zaczną napływać odpowiedzi — te ogniwa, z których Leonow zacznie montować łańcuch. Brak jednego choćby ogniwa nie pozwoli mu zakończyć wstępnych przygotowań. Dopiero gdy zamknie mu się całość, będzie mógł wyprawić Ernesta w drogę. Nie wcześniej. Jedno jest pewne: Leonow działa jak precyzyjny mechanizm. Nic nie umknie jego uwadze. Gdy uruchomi swą konstrukcję, wszystkie kółka będą się obracały i zazębiały wzajemnie.

O pewnej porze poczuł głód i wszedł do dużej altany z napisem: „Pielmieni". Z podwójną porcją pierożków i kuflem piwa zasiadł przy stoliku zajętym przez jednego tylko mężczyznę, który także sączył piwo, ale zagryzał je własnym prowiantem. W rozwiniętym papierze rozłożył na stoliku kawałki suszonej ryby i sięgał po nie raz po raz ręką. Ernest, nie chcąc go krępować, jadł szybko, mając głowę spuszczoną nad talerzem. Czuł jednak, że nieznajomy przygląda mu się uporczywie. Nie było to uczucie miłe. Chciał już odejść nie dokończywszy jedzenia, kiedy tamten zagadnął go:

— Nie jesteś tutejszy.

— Skąd wiesz? — Ernest podjął formę „ty" narzuconą przez nieznajomego.

— Ani z Moskwy, ani w ogóle nasz

— Skąd wiesz? — powtórzył Ernest ubawiony.

— Tak z wyglądu sądząc. I z ubrania. A jak się odezwałeś, to już wiem na pewno.

— Źle mówię po rosyjsku?

— Nie to. U nas wielu źle mówi. I ci z Tadżykistanu, i z Gruzji. Ale swojego zaraz poznam. No, więc przyznaj, jesteś obcokrajowiec.

— Zgadłeś.

— A skąd?

— Z Polski.

— Przyjaciel w takim razie. Przyjechałeś jako turysta?

— Tak.

— I jak ci się tu podoba?

— Podoba się. Nie pierwszy raz jestem u was. Nie wraca się tam, gdzie się człowiek źle czuje.

— Słusznie. Ja też u was byłem, ale w czterdziestym piątym. Wyzwalałem pod Koniewem Częstochowę. Przyjaciel poległ pod tym miastem. Może jesteś z Częstochowy?

— Nie. Ale znam to miasto.

— Wtedy niewiele widziałem, bo spieszyliśmy się na zachód. Wydało mi się trochę zabiedzone. I tylko piękny klasztor na wzgórzu.

— Żyło się tam ciężko w czasie wojny. Okupacja, rozumiesz.

— Wiem, wiem...

Zamyślili się obaj, odbiegli myślami w przeszłość. Każdy w swoją stronę, a przecież to milczenie w pewnym sensie ich do siebie zbliżyło. Rosjanin podsunął Polakowi papier z suszoną rybą.

— Skosztujesz? — spytał.

Pierwszym odruchem Ernesta było odmówić. Nasycił się całkowicie dużą porcją pielmieni, a i ryba w przetłuszczonym papierze nie wyglądała zachęcająco. Ale przecież wiedział, że nie może nie przyjąć proponowanej mu przekąski. Stawała się ona bowiem jakby zaofiarowanym pobratymstwem. Rosjanin dostrzegł jednak widać chwilę wahania, tylko inaczej ją ocenił.

— Dobra ryba. Takiej dzisiaj w sklepach nie dostaniesz.

Ernest uśmiechnął się. Pomyślał sobie, że jest to typowa odzywka dla czasów, w jakich żyjemy. Stary zegarmistrz przy ulicy Hirschengraben w Lucernie, który reperował kiedyś Rybickiemu tissota, powiedział zaglądając przez szkło powiększające w odsłonięty werk:

— Proszę pana, pan ma wspaniały zegarek. Dziś już pan takiego tutaj nie dostanie. Szwajcarski zegarek! Dawniej te słowa coś znaczyły, a teraz? Produkujemy samą tandetę, choć zachowaliśmy nazwy firm o światowym rozgłosie.

— Sam łowiłeś? — zapytał Ernest, ogryzając z niespodziewanym apetytem rybi kręgosłup.

— A jak? — odpowiedział tamten. Potem pomilczał znowu, nim spytał:

— A ta Częstochowa jak dzisiaj wygląda?

— Nie poznałbyś jej. Pięknie się rozbudowuje. Jest tam wielka huta i mnóstwo nowych domów.

— Huta mówisz. Dobrze. A klasztor?

— Stoi jak stał.

— Dobrze — powtórzył Rosjanin. — Powiedz coś jeszcze o Częstochowie.

Ernest bywał w tym mieście raczej przejazdem, w drodze na Śląsk. Niemniej widział zachodzące przeobrażenie tego sennego niegdyś miasta emerytów i pielgrzymów w nowoczesny, prężny ośrodek. Zastanowił się, jakich dobrać słów, by to ogólne wrażenie wypadło dla słuchacza przekonywająco. Tamten zaś wpatrywał się w niego wyczekująco. Widać było, że z jego strony nie jest to zdawkowe zainteresowanie. Los miasta, które wyzwalał, którego wolność przypłacił życiem jego przyjaciel, nie był mu obojętny. Rybicki zaczął więc opowiadać o budowie wielkiej arterii komunikacyjnej Warszawa — Śląsk, przebiegającej przez Częstochowę i podnoszącej jej rangę w życiu kraju, o dwupoziomowych skrzyżowaniach i estakadach, o nowej wielkiej dzielnicy wokół huty. Rozmówca słuchał z uwagą i co pewien czas kiwał aprobująco głową. Przyjmował sprawozdanie z tego, jak ludzie, których oswobodził, wykorzystali te lata, jakie upłynęły od stycznia 1945 roku. Był przy tym skupiony, niemal uroczysty. Ernest włączył się bez reszty w tę grę, uznając prawo tego człowieka do zadawania pytań właśnie tym tonem i do wyrokowania. — On to robi nie tylko w swoim imieniu — pomyślał — ale i w imieniu tego przyjaciela, który padł przy zdobywaniu miasta. — Nieomal natychmiast przyszło ze strony rozmówcy potwierdzenie:

— Z Igorem przeszliśmy całą drogę od Moskwy. Pamiętam, jechaliśmy w dwie pary sań z wyzwolonej już Częstochowy w kierunku południowym przez duży las. Teren uważano za oczyszczony z faszystów. I naraz wyszło na nas z lasu ośmiu czy dziesięciu esesmanów. Tylko paru było jeszcze w mundurach, reszta poprzebierana cudacznie. Zdążyłem tylko krzyknąć do Igora: „W śnieg!" I obaj stoczyliśmy się z sanek. Ci z drugich sanek także. Otworzyliśmy ogień z automatów. Dwóch położyliśmy trupem, reszta uciekła. Niedaleko. Do wieczora wszystkich już wygarnięto. Po strzelaninie gramolę się i mówię do Igora: „Wstawaj. Po wszystkim". A on ani drgnie. Dostał w samo serce.

Po chwili milczenia, w której dołączył do nich cień Igora, Rosjanin dodał:

— Dobry był chłopak. Dziś miałby równo pięćdziesiąt lat. Gdybyś zobaczył kiedy w Częstochowie jego grób... Siemionow się nazywał. Igor Maksymowicz. Młodszy lejtnant. Więc wiesz, gdybyś przypadkiem trafił nad mogiłę, nie pożałuj na parę kwiatków. Od siebie i ode mnie.

Ernest skinął głową. A tamten — jakby budząc się ze snu — pozbierał pedantycznie pozostałe kawałki ryby, zawinął w papier, podał rękę Rybickiemu i odszedł. Nie padło już między nimi żadne słowo. Co trzeba zostało widać powiedziane.

Zaawansowane popołudnie, nadal słoneczne i ciepłe, wyciskało swoje piętno na krążącej po wystawie masie ludzkiej. Nie przerzedziła się jeszcze, ale poruszała się wolniej, leniwiej. Zmęczenie dawało znać o sobie. Ernest zajrzał jeszcze do paru pawilonów, ale był syty zwiedzania. Powoli kierował się ku wyjściu. Gdy znalazł się w alei wiodącej do głównej bramy, tłum spływał z wszystkich stron w tym samym kierunku. Z silnych megafonów płynęły słowa znanej pieśni Dunajewskiego:

Nam piesnia stroit' i żyt' pomogajet...

Fot. Archiwum

Fragment powieści przygotowywanej dla Wydawnictwa Łódzkiego.

*) Popularny skrót nazwy stałej wystawy osiągnięć gospodarczych ZSRR w Moskwie.

TADEUSZ SZEWERA

PRZYJACIELE, TOWARZYSZE BRONI

„Drogi, Kochany Przyjacielu, Towarzyszu broni! Panie Janie! List otrzymałem Sprawił mi ogromną radość. Chociaż jesteśmy daleko, serca nasze i uczucia nas zbliżają. Jeżeli się kiedykolwiek spotkamy, będzie to dla mnie druga młodość. Mój wnuk, Stiepik, któremu opowiadałem o Was, pocałował list „wujka Jana" i mówi do mnie: „dziadku, zrób tak, żebym się uczył w Polsce". Drogi Druhu! To nie tylko ja, to nowa nasza ojczyzna raduje się Wami.

Kochany doktorze, przedstawiam Ci moją rodzinę: żona Zoria — zajmuje się domem: syn Norik jest technikiem dentystycznym; synowa — pielęgniarką, córka — farmaceutką, a jej mąż — inżynierem; mój wnuk Stiepik uczęszcza do VI klasy szkoły rosyjskiej; wnuczka Narina uczy się w klasie piątej szkoły armeńskiej Dom mamy własny, osobny, parterowy z ogródkiem, przestronny.

Sprawiła mi wielką radość wiadomość, że z „Orkanem" wszystko w porządku Z głębi serca życzę memu towarzyszowi broni zdrowia i całuję go. Katarakta nie jest straszna, jest uleczalna.

Nasza rodzina całuje Was i serdecznie życzymy mocnego zdrowia, takoż wszystkim przyjaciołom Dużo szczęścia! Wasz Muszeg.
Erewań, 7 listopada 1973 r."

Leży przede mną kilka takich listów Udostępnił mi je doktor Jan Aleksandrowicz z Łodzi, który też je przetłumaczył z rosyjskiego Wszystkie są adresowane do niego Pisał je także lekarz Nazywa się Muszeg Sedrakowicz Stiepanian Mieszka w Erewaniu Jest majorem Armii Radzieckiej w stanie spoczynku, pełni funkcję członka prezydium Erewańskiej Sekcji Weteranów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej Na zdjęciu dołączonym do tych listów Stiepanian jest w mundurze Obok orderów i medali radzieckich widać Krzyż Walecznych. Stiepanian był polskim partyzantem.

Z majorem Wojska Polskiego, doktorem medycyny Janem Aleksandrowiczem, los zetknął doktora Muszega w kieleckich lasach, w drugiej połowie 1944 roku „Szerszeń" (pseudonim J Aleksandorowicza) był wówczas szefem służby sanitarnej dużego zgrupowania partyzanckiego Armii Krajowej. Muszeg, któremu nadano pseudonim „Pan Doktor" pełnił funkcję „nadwornego lekarza" w oddziale „Szarego", który wszedł w skład wspomnianego zgrupowania leśnego Siłą rzeczy Muszeg stał się podkomendnym „Szerszenia"

Po kilku tygodniach drogi ich rozeszły się Po wojnie już się nie spotkali Dopiero po wielu latach Muszeg Sedrakowicz Stiepanian dał znak życia Jego starania o odszukanie byłego dowódcy „Szarego" oraz innych towarzyszy broni w tym także doktora Aleksandrowicza, uwieńczone zostały sukcesem Doktor „Szerszeń" natychmiast mu odpisał Frontowi przyjaciele padli sobie — za pośrednictwem listów — w ramiona i serdecznie się uściskali, jak bracia Od tego momentu piszą do siebie regularnie Raz są to listy bardzo osobiste o zwyczajnych codziennych ludzkich sprawach, o życiu obu rodzin; innym razem opowiadają o dniach wspólnej walki. Muszeg Stiepanian sporo napisał takich listów. Jak podkreśla, lubi wspominać tamten czas, kiedy w polskim lesie zawierał najtrwalsze przyjaźnie Te listy są czymś w rodzaju rozmowy. Wtedy, w czasie wojny, niewiele wiedzieli o sobie. Teraz nadrabiają zaległości i na kartkach papieru, „gadają ze sobą o wszystkim" Obaj są już na zasłużonej emeryturze W tym roku Muszeg kończy osiemdziesiąt lat.

„Drogi, Przyjacielu, Towarzyszu broni!" — Tak się zaczyna każdy jego list. W jednym z nich opowiedział doktorowi Janowi swój życiorys i drogę do polskiego oddziału partyzanckiego, którym dowodził „Szary" — Antoni Heda. Oto streszczenie:

Muszeg Sedrakowicz Stiepanian urodził się w 1896 roku. Jego rodzinna wieś — to Warmaziar w Armeńskiej SRR. Rodzice wcześnie go odumarli. Miał zaledwie 15 lat, kiedy po raz pierwszy przekroczył bramę huty jako robotnik Pracował też jakiś czas na kolei W 1917 roku ukończył wojskową szkołę felczerską Potem były studia medyczne w Rostowie i na koniec — praca lekarza w Erewaniu. Wybuchła wojna. W 1941 roku skierowano go na kurs dowódców Po skończeniu szkolenia zgłosił się niezwłocznie, jako ochotnik, do 384 dywizji piechoty, która miała być przerzucona drogą powietrzną, jako grupa desantowa, do Sewastopola. Objął funkcję starszego lekarza w 782 pułku W listopadzie wylądował w Sewastopolu Któregoś dnia „dopadła go kula ', Kontuzja była ciężka Opuścił szpital dopiero w styczniu 1942 roku mając w kieszeni awans na naczelnego lekarza legendarnej 25 Dywizji Czapajewskiej i szlify majora. 250 dni broniła się sewastopolska twierdza przed atakami Niemców 250 ciężkich dni harował major Muszeg jak maszyna Rannych były setki, tysiące.. 4 lipca twierdza padła Część wojsk radzieckich zdołano ewakuować drogą morską Niektóre jednostki usiłowały jeszcze walczyć metodą partyzancką, w rejonie miasta i portu Muszeg leżał w polowym lazarecie. Został znowu ciężko ranny Było to 3 lipca, w przeddzień wkroczenia hitlerowców do rozbitego bastionu obrony Dostał się do niewoli Zapędzono go do obozu w Bachczysaraju Głód, robactwo, choroby, śmierć.. oto los jeńca w rękach wroga 12 lipca hitlerowcy wyprowadzili z obozu prawie 4 tysiące radzieckich żołnierzy w stronę pobliskich rowów przeciwczołgowych. Widział, jak zdzierano z nich strzępy mundurów i nagich rozstrzeliwano Pozostałych przy życiu przetransportowano do obozu w Białej Cerkwi W drodze ludzie umierali z głodu i pragnienia. Jeńcy — lekarze byli bezsilni Nie mogli nikomu pomóc, nikogo ocalić.

Jeniecka marszruta majora Stiepaniana nie zakończyła się na Białej Cerkwi. Pognano go dalej, na zachód, do jakiegoś obozu w którym szerzyła się gruźlica Niemcy cynicznie mówili: „Tyś wracz, musisz ratować swoich towarzyszy" Obóz znajdował się w Baryczu koło Końskich Tak oto znalazł się na okupowanej ziemi polskiej w Kieleckiem.

Potworny to był obóz. Hitlerowcy wymordowali w nim prawie trzynaście tysięcy jeńców. Rozstrzeliwali masowo i systematycznie Każdego dnia widmo śmierci zaglądało Muszegowi w oczy. Postanowił działać, tworzyć tajną organizację, której zadaniem było podtrzymywanie na duchu mas jenieckich, a przede wszystkim przygotowanie grupowych ucieczek z obozu W tym przedsięwzięciu mogli pomóc polscy partyzanci Echa ich działań docierały za druty. Muszeg zaczął intensywnie szukać kontaktu „ze światem zewnętrznym" Jednocześnie polskie podziemie starało się nawiązać łączność z jeńcami. Tak doszło do współpracy „Pana Doktora" z partyzantami od „Szarego". Działali teraz wspólnie. Każdy dzień przybliżał ich do wolności. Lecz pewnego październikowego dnia nieoczekiwanie włączono Muszega Stiepaniana do 50-osobowej grupy jeńców, która pod konwojem miała opuścić obóz i pod lasem wykopać mogiłę dla ofiar kolejnej egzekucji Wiedział, co to oznacza. Tych, którzy kopali groby, faszyści rozstrzeliwali w pierwszej kolejności Kiedy zamykała się brama obozu za wychodzącą kolumną był zdecydowany na wszystko.

„W czasie ucieczki zginąć nie jest straszno. Do pierwszych drzew mieliśmy kilkadziesiąt metrów. Trzeba było działać stanowczo. Z całej siły łupnąłem konwojenta łopatą w łeb i wrzasnąłem: Chłopcy, do lasu! — Dobiegło nas pięciu...

Jak zaszczute zwierzęta kryli się w zagajnikach przez kilka dni Żywili się korzonkami i jagodami, zwarzonymi przez poranne przymrozki Czasem trafił się jakiś przegniły grzyb.. Za to wody mieli pod dostatkiem Byli już u kresu sił. Nogi odmawiały posłuszeństwa, żarła gorączka W takim stanie natknął się na nich „Tygrys". Nazywał się Edward Paszken Poszli z nim do gajówki, w której kwaterował por. „Szary".

Przeglądam dalsze listy zawierające opisy walk partyzanckich, epizody z leśnego życia lub opowieści o rodzącej się w boju i na biwaku serdecznej przyjaźni ludzi mówiących po polsku i po rosyjsku. Trudno się zdecydować, który z nich zacytować. Każdy jest wart publikacji. Może więc końcowy fragment z tego, w którym „Pan Doktor" opisuje rozbicie więzienia w Końskich i uwolnienie około 65 więźniów...

„Pamiętam jak dziś tę noc księżycową i w jej poświacie maszerującą w stronę lasu ogromną kolumnę. Więźniowie zarośnięci, strasznie wymęczeni, pobici i wyczerpani, ale szczęśliwi, rzucali się nam do nóg, całowali po rękach, obejmowali, płakali. Porucznika „Bladego" trzeba było nieść. Okrutnie go katowano w czasie śledztwa. Jego ciało pokrywały rany i sińce.

Nad ranem niemieckie oddziały karne weszły do lasu. Rozpoczynała się obława. Wyszliśmy z okrężenia bez strat A wieczorem, gdy już wszystko ucichło i hitlerowcy odeszli, usiedliśmy przy ogniskach i nuciliśmy partyzanckie i rewolucyjne pieśni: „Katiuszę" „Warszawiankę" i inne. Ja śpiewałem moje ulubione: „Katitsia, wiertitsia szar goluboj... Gdie eta ulica, gdie etot dom, gdie eta dieuszka czto ja wlublon."

Major Muszeg ma dobrą pamięć. Wspominając o swej służbie lekarskiej u „Szarego" podkreśla przede wszyskim odwagę i poświęcenie sanitariuszek oraz partyzantów spod znaku Czerwonego Krzyża. Wymienia ich pseudonimy, a nawet nazwiska. Pisze m. in. tak:

„Służba sanitarna nie była łatwa w warunkach partyzanckich. Ranni otrzymywali pierwszą pomoc w oddziale, następnie zaś musieli być kierowani do leczenia w konspiracyjnych melinach, a nawet w szpitalach. Dlatego pragnę gorąco wymienić chociaż kilka sanitariuszek i moich towarzyszy broni, którzy razem ze mną pomagali rannym, wynosili ich pod ogniem z pola walki, transportowali na kwatery i czuwali nad nimi w trakcie leczenia. Serdecznie wspominam „Wację" — Wacławę Hedę żonę mego dowódcy, siostry Zofię i Barbarę Brakowskie, Reginę Zimkowicz z Wąchocka. „Tygrysa" — Edwarda Paszkena, który używał także pseudonimu „Pozew", braci Machno z Edwardowa, „Szyszkę" — Franciszka Smutka, „Bartka" — Tadeusza Chmielewskiego, „Chyżego", „Iskrę", „Starsznego", „Stanisława", „Orkana" i wielu innych nie wymienionych którzy dawali dowody odwagi na każdym kroku, i którzy tak dzielnie wypełniali swą służbę dla ojczyzny."

Fot. Archiwum

W oddziale „Szarego" było 15 żołnierzy radzieckich, którzy zbiegli z niemieckiej niewoli. Pochodzili z różnych republik Jak pisze Muszeg — „tworzyli międzynarodową drużynę". Wielu z nich padło w boju Poległ Bondarenko student uniwersytetu, inżynier z Leningradu — Rubcow, Ormianin „Kim"... i inni. Padli na polskiej ziemi w walce „za waszą i naszą wolność."

„Pod koniec 1944 roku dotarł do nas rozkaz: wszyscy obywatele radzieccy znajdujący się w oddziałach partyzanckich mają się zgrupować w lasach bliżyńskich. Pożegnałem „Szarego", uściskałem towarzyszy broni. Zima była ostra, głęboki śnieg leżał na duktach i przesiekach. W miejscu koncentracji zebrało się 110 radzieckich żołnierzy, którzy zbiegli z obozów jenieckich i od wielu miesięcy walczyli w tej części Kielecczyzny. Dowództwo objął płk „Piotr" (był to radziecki skoczek spadochronowy Tierentij Nowak — wyj. T. Sz.) *Mieliśmy się przebić na łagowski przyczółek. Szliśmy nocami przez przyfrontowy las. Nie wolno było palić ognisk. Dokuczało zimno. Wreszcie doszliśmy do łagowskiego „placdarmu". Przed nami były rowy przeciwczołgowe, trzy rzędy niemieckich okopów i schronów, zasieki z drutów kolczastych i pola minowe..."*

Kiedy 20 grudnia 1944 roku, pomiędzy 2 a 3 godziną w nocy płk „Piotr" dawał rozkaz do ataku, jedyną myślą tych 110 ludzi było: „ilu z nas dojdzie do swoich?" Ruszyli Osłaniał ich pagórkowaty teren i głębokie zaspy śnieżne. Silny niemiecki ogień nie był w stanie nikogo powstrzymać. Pędzili jak burza. Tylko dwóch nie dobiegło do okopów radzieckich. Zostali tam, na tym zaśnieżonym polskim polu. Pięciu było rannych.

„Odtransportowano nas do Sandomierza" — pisze dalej „Pan Doktor".

— *„Po sprawdzeniu rozdzielono do różnych jednostek wojennych. Mnie skierowano do czynnej armii i przydzielono do 1692 szpitala ewakuacyjnego we Wrocławiu. W marcu 1946 roku zostałem zdemobilizowany. Wkrótce stanąłem znowu na progu mego domu w Erewaniu."*

Takie są dzieje majora lekarza Armii Radzieckiej, Muszega Sedrakowicza Stiepaniana, polskiego partyzanta od „Szarego" Teraz, jako emeryt, ma sporo czasu na pogawędki z takimi, jak on, weteranami II wojny Mówi im często, że ma także drugi dom Wprawdzie daleko od Erewania, lecz tak samo bliski sercu. Spędził w nim dokładnie 415 dni.

„Drogi towarzyszu broni, Panie Janie! Bardzo dziękuję za list i za książkę o polskiej ziemi, napisaną w języku rosyjskim. Co za radość! Gdyby mnie zapytano o Polskę, powiedziałbym: jeśli ktoś chce znaleźć na kuli ziemskiej kraj przyjazny i piękny, niechaj jedzie do Polski!

— *A Was, kiedy zobaczę? Przyjeżdżajcie. Moja chata, to Wasza chata. Całuję. Muszeg.*

Erewań, 25 lutego 1974 roku.

Fot. Archiwum

ZSRR

KOZACY, TRAKTORY I PYŁOWE BURZE

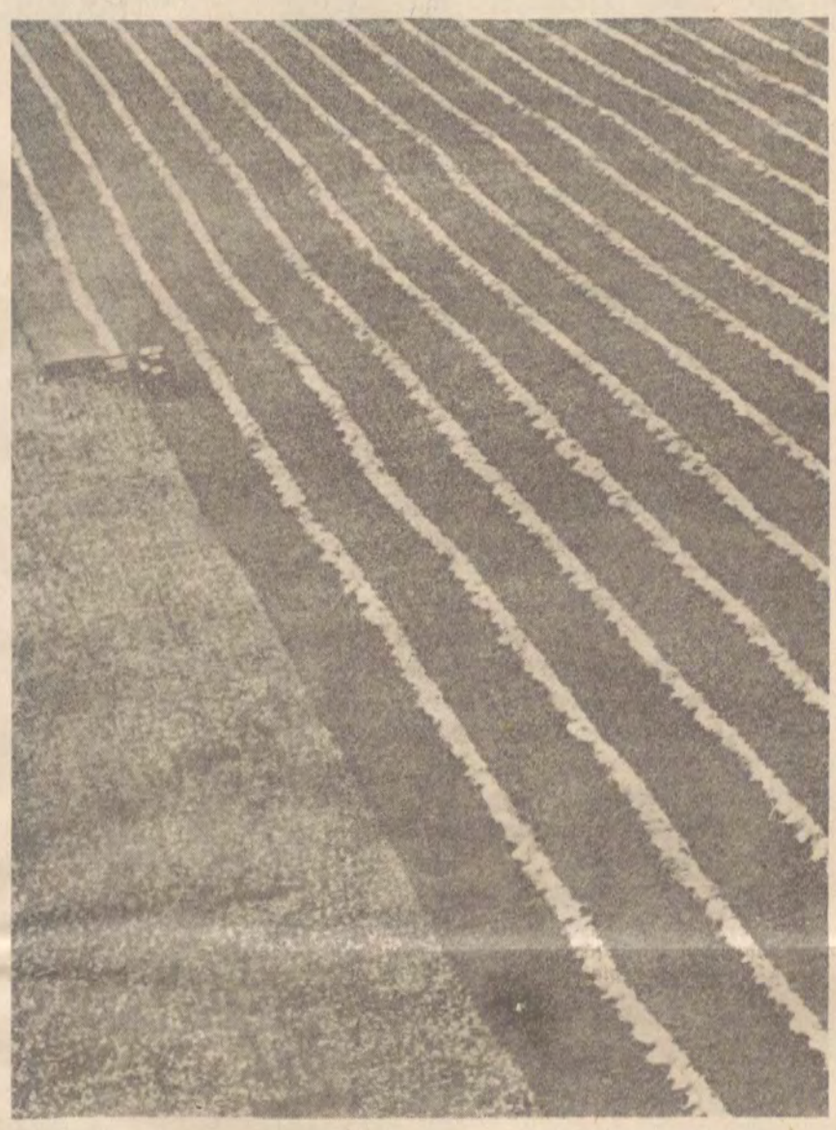

Fot. Archiwum

„...Ogromne przestrzenie południoworosyjskich stepów, i rozrzucone na nich kozackie stanice i hutory, i romantyczni jeźdźcy w czerkieskach cwałujący na ognistych rumakach..." — oto jak wyobrażają sobie tu i ówdzie na Zachodzie cichy Don i Kubań...

Zachodnioniemiecki dziennikarz, Reiner Thaudin, w reportażu zamieszczonym na łamach ukazującego się w Düsseldorfie „Deutsche Volkszeitung" kreśli obraz duchowego i materialnego życia współczesnych Kozaków w jednym z kołchozów nad Donem.

1.

Nieskończenie wolno opadają tumany pyłu wznoszone przez samochód. Pola przypominają pstrokate, zielonożółte morze. Wiatr delikatnie kołysze zboża. Tu i ówdzie widać ciemne pasemka zagajników: gęste świerczki chronią pola od burz pyłowych, które szaleją tu niekiedy niosąc na dojrzewające zboża miliardy odrobinek pyłu. Romantyczne to dla przyjezdnych, ale klęska dla rolnika i zwiastun nieurodzaju. Burza pyłowa, bo tak ją chyba nazwać można, jest realnym niebezpieczeństwem w tym kraju, obfitującym w gigantyczne masy wód cichego Donu. Na szczęście zdarzają się one bardzo rzadko. Zazwyczaj wszystko jest tutaj spokojne, przyjazne. Kolebka kozactwa. Z górą trzydzieści lat temu stały tu armie Hitlera...

Jesteśmy na południu Związku Radzieckiego, 180 kilometrów od najbliższego wielkiego miasta, ojczyzny radzieckich kombajnów — Rostowa nad Donem, na rozległych polach kołchozu imienia XXII Zjazdu KPZR. My — to znaczy delegacja zachodnioniemieckiego związku zawodowego drukarzy, która przyjechała do Związku Radzieckiego na zaproszenie radzieckich związków zawodowych.

Michaił Iwanowicz Manow, Kozak z krwi i kości, agronom z wykształcenia, kieruje kołchozem już od 15 lat. Przyjmuje nas w biurze. W jego gabinecie, na masywnym biurku ręczny arytmometr, spotykany niemal wszędzie, w hotelach, sklepach, urzędach. Dwa telefony. W rogu biały sejf, a obok niego ogromna palma.

Manow opowiada nam o byłym i obecnym kołchozie. Spółdzielnia produkcyjna powstała tutaj w 1922 roku. Założyli ją Kozacy, którzy w czasach przedrewolucyjnych emigrowali do Stanów Zjednoczonych, lecz powrócili do ojczyzny. Siedemdziesięciu trzech osiedleńców, zgodnie z wcześniej przyjętym leninowskim Dekretem o Ziemi, otrzymało około 6 tysięcy hektarów ziemi. To właśnie oni zapoczątkowali przeobrażenie dzikiego stepu w urodzajną krainę, która daje dziś około 42 centnarów ziarna z hektara, głównie pszenicy, jęczmienia i kukurydzy. Obecnie mieszka w kołchozie i pracuje 480 rodzin — tysiąc osób dorosłych i czterysta dzieci.

Anatolij jest jednym z członków kołchozu i on, jak każda niemal rodzina, posiada domek i niewielki kawałek ziemi. Anatolij był akurat na urlopie. Bez uprzedzenia poszliśmy do niego w gościnę. Jego murowany domek tonie w lesie dorodnych słoneczników. Wspomnę, iż cegły produkuje się w kołchozowej cegielni, około 2 i pół miliona sztuk rocznie. Sądziliśmy, że ujrzymy w drzwiach gospodarza zaskoczonego tą nieoczekiwaną wizytą. Nic podobnego. Kołchoźnik przyjął nas jak byśmy byli starymi znajomymi. Z uśmiechem na ustach zaprosił nas szerokim gestem do domu. Nasza tłumaczka wyjaśniła, kim jesteśmy i po co przyjechaliśmy. Ledwieśmy zdążyli wejść do pokoju, a już każdy z nas dostał po szklance gorącego mleka i na prośbę Anatolija wychyliliśmy mleko do dna. „Za to, żeby więcej nigdy nie było wojny! Za przyjaźń!"

Takie życzenia słyszeliśmy w Związku Radzieckim nie raz. W przeddzień naszego przyjazdu tutaj, do kołchozu, odwiedziliśmy pomnik wzniesiony ku czci ofiar ostatniej wojny. Czarne marmurowe płyty, gdzieś z głębi płynie żałobna muzyka, wokół kwiaty, wianki, wzruszeni ludzie.

— Tutaj — objaśnił przewodnik — spoczywają prochy partyzantów zabitych przez ss-manów...

Stojąc u stóp pomnika zrozumieliśmy, że słowa „pokój" i „przyjaźń" nie są dla ludzi radzieckich pustym dźwiękiem. Widzieliśmy tam wiele młodych ludzi i jesteśmy przekonani, iż nie jest to przymusowy rytuał, wszak łzy i wzruszenie nie są na zawołanie. Wspomniałem o tym, kiedy byliśmy w gościnie u Anatolija.

— Poszczęściło się wam, żeście zastali mnie w domu — mówi Anatolij. — Jestem na urlopie i jutro jadę do Moskwy. Do towarzyszy. Na trzy tygodnie.

— Samochodem? — pytam.

Anatolij śmieje się.

— A po cóż mamy samoloty?...

Istotnie, samoloty na wewnętrznych liniach lotniczych w Związku Radzieckim są masowym środkiem transportu. Wprawdzie porty lotnicze nie wyróżniają się szczególnym luksusem, ale za to sam przelot jest niezwykle tani. Bilet z Rostowa do Moskwy — odległość 1.200 kilometrów — kosztował Anatolija, w przeliczeniu, zaledwie około 60 marek zachodnioniemieckich.

2.

Anatolij jest dumny ze swojej rodziny, ze swego kraju, kołchozu i z tego, że „ludzie pracy trzymają u nas wszystko w swoich rękach". Dolewając nam mleka z ogromnego, ozdobnego garnka wylicza, „co mamy w kołchozie": 55 traktorów, 20 kombajnów, 4.860 hektarów ziemi ornej, 1.000 krów, 4.000 świń, 45 koni, 320 uli, a sto rodzin posiada własne samochody, a dwieście motocykle.

Entuzjazm Anatolija i jego duma wywarły na nas duże wrażenie. Widać, że z serca mówi o tym co jest mu tak bliskie i tak drogie. Gdy po raz pierwszy słuchaliśmy wyjaśnień przewodniczącego kołchozu, M. I. Manowa, nie mogliśmy się pozbyć wrażenia, że rozmawia z nami nieco zarozumiały „zachodni" przedsiębiorca, taki „public-relationman" — przedstawiciel firmy do spraw prasy. A jednak nie, pierwsze wrażenie wprowadziło nas w błąd: Manow ponosi całkowitą odpowiedzialność przed kołchoźnikami — cztery razy do roku musi przed nimi złożyć sprawozdanie na zebraniu ogólnym.

— I wtedy naszemu szanownemu Michaiłowi Iwanowiczowi nie popuszczają, o, nie — potwierdza Anatolij.

Gorąco. 35 stopni. Słońce w zenicie. Dziś mamy obejrzeć dwie kołchozowe farmy leżące w odległości 10 kilometrów jedna od drugiej. Oglądamy sklepy spożywcze, zakład fryzjerski, ambulatorium, piekarnię. Kołchoz ma własne zakłady elektromechaniczne, szkołę podstawową i szkołę średnią, place zabaw dla dzieci, salę sportową. Dom kultury. I, oczywiście, jak wszędzie w tym kraju, wystawione podobizny zasłużonych kołchoźników. „Skryte podkręcanie" — mówili niektórzy krytycznie nastawieni członkowie naszej delegacji. Ale posłuchajmy, co mówią o tym sami Rosjanie.

Rozmawiałem na ten temat w kołchozie.

— Uhonorować zasłużonych robotników — powiedziano mi — to znaczy określić ich miejsce w społeczeństwie. I, oczywiście, chodzi tu także o to, żeby stymulować ludzi do dalszych trudnych osiągnięć. Tego nikt nie neguje.

Miejsce w społeczeństwie... Kiedy ludzie radzieccy — mężczyźni w wieku 60 lat, a kobiety w wieku 55 lat — idą na emeryturę, nie czują się niepotrzebni. Niektórzy mieszkają w specjalnych domach dla emerytów, tonących w ogromnych, pięknych sadach. Lekarze i pielęgniarki troszczą się o ich zdrowie. Na jedzenie i mieszkanie nie wydają ani kopiejki.

W kołchozie jest stołówka, w której za śniadanie, obiad i kolację płaci się w sumie 60 kopiejek. Dla porównania przytoczmy parę danych o zarobkach: minimalny zarobek sprzątaczek i dozorców wynosi 60 rubli, traktorzysta zarabia 160, dojarki — 180, a robotnicy rolni 90 rubli miesięcznie.

3.

Kołchoźnicy doskonale wiedzieli, kim jesteśmy i skąd przyjechaliśmy. Mówiono o nas: „przyjechali drukarze". Poznawali nas z fotografii zamieszczonej w gazecie obwodowej „Młot", wraz z informacją o naszej wizycie. Nawiasem mówiąc, ludzie w Związku Radzieckim są o wszystkim dobrze informowani. W moskiewskim hotelu „Sputnik", na przykład, wiele osób pytało nas o niedawny strajk drukarzy w RFN. O strajku informowała radziecka telewizja i pisano o tym w gazetach.

Obywatele radzieccy posiadają imponujący zasób wiadomości. Jest to zupełnie zrozumiałe. Wystarczy tylko uważniej przejrzeć dane statystyczne: w Związku Radzieckim każdy obywatel prenumeruje średnio dwie gazety codzienne co minutę wychodzi spod prasy około 3.000 egzemplarzy książek, a dziennik „Prawda" i organ związków zawodowych „Trud" mają kolosalne nakłady: pierwszy ponad 10 milionów, a drugi około 8 milionów egzemplarzy. Czytanie w tym kraju nie jest przywilejem inteligencji.

Fot. Archiwum

4.

No, a jeśli chodzi o tych „zmęczonych pańszczyzną chłopków z motykami w rękach", „o babcie w chustkach zajęte zbieraniem chrustu", a także o te „rolnicze roboty z ciała i kości" — to tych sztamp, zapełniających stronice antykomunistycznej prasy, nie wykryliśmy w Związku Radzieckim. Dowiedzieliśmy się natomiast, że praca na polach i na farmach nie wyklucza bynajmniej obcowania na co dzień z wartościami kultury. Trzy razy w tygodniu wyświetla się w kołchozie filmy, raz w miesiącu daje przedstawienia teatr przyjezdny, regularnie odbywają się wieczory autorskie, konferencje na temat czytelnictwa. Kołchoz ma własną orkiestrę dętą, narodowy zespół pieśni i tańca, teatr amatorski, pracują sekcje sportowe. Słowem, stworzono szeroką bazę na której rozwija się życie kulturalne kołchozu.

— W ekonomicznym planie — informuje nas przewodniczący kołchozu M. I. Manow podczas pożegnalnej kolacji, w całości przygotowanej z kołchozowych produktów — nie jesteśmy najbardziej efektywnym gospodarstwem nad Donem. Za to nasz kołchoz jest najstarszy w całym rejonie. I sławimy jego dumną historię dniem dzisiejszym.

I tak oto nasza fascynująca podróż dobiegła końca. Tam, nad Donem, zrozumiałem, co oznacza dla takiego kraju jak Związek Radziecki, dla jego obywateli, dla dzisiejszych Kozaków dobry urodzaj, co odznaczają pyłowe burze nad cichym Donem i zagrożone nimi urodzaje. Oto dlaczego, gdy w rękach naczelnego redaktora gazety „Młot" zobaczyłem wstępniak poświęcony walce o urodzaj, nawet nie przyszło mi do głowy, żeby uśmiechnąć się sceptycznie.

Tłumaczył: WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Fot. Archiwum

GEORGI LEONIDZE
Adamowi Mickiewiczowi

Los nie pozwolił, ażebyś zawitał
Do Gruzji, która jak Twój Kraj cierpiała...
Lecz i tak przecież Twa pieśń znamienita
Do mej ojczyzny jak grot zaleciała.

Więc mnie wysłała szmat ziemi niemały,
Żebym, potomek amerskich górali,
Taką wplótł różę do wieńca Twej chwały,
W której by płatkach ogień-znicz się palił.

Braterstwa ludów różę zatem wplatam —
Nigdy nie zwiędnie jej płatków korona —
O, niechże pała po najdalsze lata,
Na sercu Polski natchnionym złożona!

1955

Dnia 25 stycznia roku 1955 w imieniu Narodu Gruzińskiego obsypałem szkarłatnymi różami sarkofag Adama Mickiewicza i zaimprowizowałem ten oto skromny wierszyk.

AUTOR

PAWŁO HRABOWSKI
do B.S.

Lachu, o druhu mój najszczerszy,
Nadeszła chwila pożegnania!
Jak boli, o jak tłucze w piersi
Serce, nie mogąc znieść rozstania!

Marzyliśmy o jednym z tobą,
Poszukiwali jednej drogi...
I oto loch mnie związał z tobą
I los połączył nas złowrogi.

Pierzchły czarownych złud omany
Jak ptak, gdy pierzcha w blask niebiosów.
Wieczna niewola i kajdany —
To nam dostało się od losu.

Ale i bytu więziennego
Nie dane dzielić nam dozgonnie:
Ty za Bajkałem, ja nad Leną —
Każdy schnąć będzie w innej stronie.

Któż wie, czy przyjdą dni łaskawsze
Dla walki o to, co nam drogie,
I czy nasz znojny szlak na zawsze
Zarośnie już kolczastym głogiem.

Mnie tajga, tobie, Lach-druhu,
Sybirska sztolnia zasądzona,
A jednak nigdy naszych duchów
Wróg-ciemiężyciel nie pokona.

Choć dawno dłonie nam zniewolił,
Serca w kajdany nie zakuje,
Czas wspólnej walki nas zespolił...
I któż chartami nas zaszczuje!

Nie pijanego ryk magnata,
Nie fanatyczny nakaz księdza —
Na bój pozywa przeciw katom
Człowiecza łza, wszechludzka nędza.

W oparach furii i przekleństwa
Ojcowie leli krew strumieniem.
Lecz ten czas minął My — rodzeństwo,
Bojowcy silni sprzysiężeniem.

O co? By odtąd już duch zgody
W krąg objął wszystkich ludzi globu
I nasze biedne dwa narody
Tak właśnie zbrata, jak nas obu.

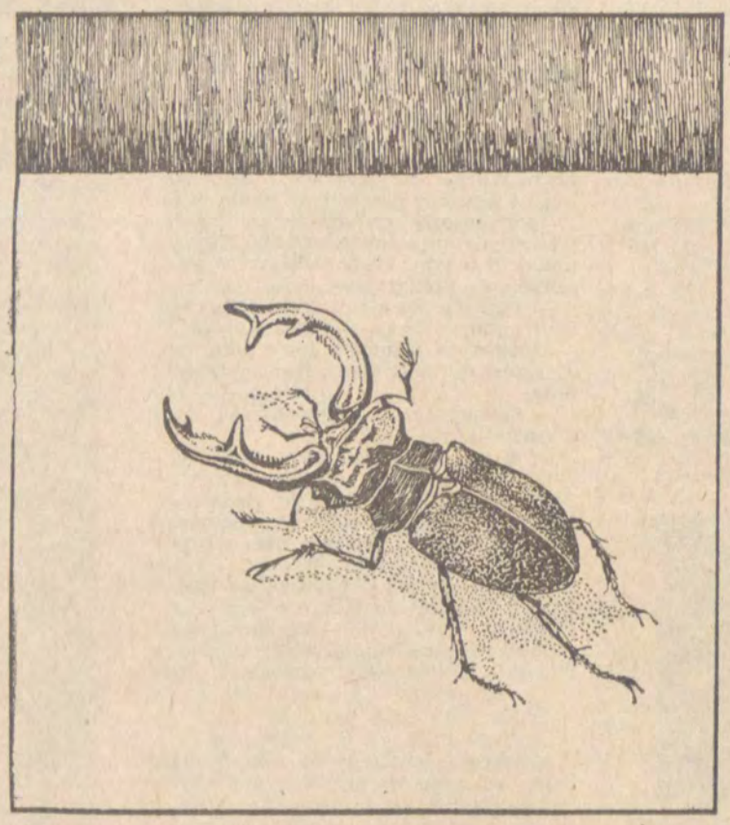

ALEKSANDR GATOW
Słowacki

Król Duch narodu, geniusz zbuntowany,
On, jak Winkelried, przyjął w serce ciosy.
W jego oktawach drgał ból pokonanych
I kir wiał, w sztandar wpleciony przez losy.

On, sternik łodzi przez fale miotanych,
Z „Godziną myśli" wszedł między lud prosty
Narodów, które strząsają kajdany,
Większych Wam odeń nie dały niebiosy.

Golgoty nie chciał ni kolumn na straży
Kości swych, klątwę oprawcom Warszawy
Cisnął, Wasz bułat błogosławił nagi.

On, w Polskę wierząc, lot w postęp wymarzył...
Więc prochy Ducha do przybytku sławy
Między królewskie wniósł lud sarkofagi.

Krzemieniec, 1969

Wiersz wygłoszony w Krzemieńcu na akademii w stopięćdziesiątą rocznicę urodzin poety.

IWAN BOROWYKOWSKI
rybacy

Po przebrzmiałej burzy dziewczę wodę brało.
Czyjeż to tam wiosło z falą wichrzysko przygnało?
Nie rybaka to, któregom tak srodze kochała,
Że przez niego aż do zorzy chwilkim nie przespała?
Płynie czółno pełne wody — wnet osiądzie na dnie,
Lecz nie widać w nim onegoż, kogo ujrzeć pragnie.
Ostry wiatr od dawien dawna gna fale wzburzone,
A kruk czarny kracze — biada nad wezbranym Donem:
Oj, porzucił rybak czółno i szczęście niezmierne
I utopił w głębi Donu swe szczęście tak wierne!
Oj, utonął młody rybak, lecz wpierw mówi — rzecze:
Zapłyń, moje czółno chyże, kędy wierne dziewczę!
Zastąpisz mi, lube czółno, skrzynicę trumienną,
A wiosło niech zatkną ludzie jako krzyż nade mną!

LEONID MARTYNOW
czy wiesz...

Czy wiesz,
Dlaczego nieźle mi się przekłada
Słowackiego dramy,
Oktawy, sekstyny?
...A to było, gdy car jeszcze władał.
Pomnę żar azjatyckiej mieściny.
Wiatr północno-wschodni się wdzierał
Nawet przez podwójne szyby —
Nękał w łaźniach, meczetach, monasterach...
A i w tycim, maleńkim kościółku,
Wypełnionym szeptem bezustannym
Tych tam Polek...
O nie! Nie zapomnę —
I księżej gospodyni z maleńkiej plebanii,
I innych zagorzałych katoliczek,
Ich zaciśniętych ust i oczu szklanych...
No i dzieci rozbawionych liczek.

Był wtedy ze mnie, jasne, małolatek,
Zatem nie zadawałem pytań:
Czemu to ponad strzechy chatek
Ostry kwiaton gotyku wykwita?
Ani też: z jakiej przyczyny,
Wypełnione niewymownym smutkiem,
Mizerne okruszki łaciny
Wysypują się na dwór przez kruchtę?
Nie słyszałem o żadnych powstaniach
I surowych wyroków przyczynach,
Lecz jedynie o Wikciach i Franiach,
I ich ojcach, zacnych poczciwinach.
Nie wiedziałem, że przebywam w gronie
Posieleńców i powstańczych wnuków...
A Słowacki?
Wpadł mi bodaj w dłonie
Grubo później. On nie dla maluchów.

MYKOŁA WINHRANOWSKI
płacz jarosławny

Iwanowi Draczowi

Życia nie ma. Śmierć moją stolicą.
Ja to nie ja. To duch mój krąży błyskawicą.
Tam, gdzie glob krążył nad ćmą tajemniczą
I gdzie się twoje człowieczeństwo działo — nicość!

Wszystko zerwane, Iwanku. Już nie ma
Bólu ni szczęścia ani holocenu,
Sama tylko wodno-jędrna ciemnia.
I gdzież ty się zatrzymasz powracając z Wenus?

Nie ma i moich wiatrów, Iwanku. Nie wioną,
Którem wtedy błagała o kniazia, o ciebie.
Spłonął Dniepr i głos mój także spłonął,
Tylko pode mną głucha pustka się kolebie.

Płaczę: O człowieczeństwo me, o ziemio, gdzie ty?!
Iwanku, nie masz już swojej planety...
Iwanku!... Iwasiu! Ja milczę...
I na piersiach kosmosu łkając lecę niemy...

PRZEŁOŻYŁ:
TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

poezja

U PRZYJACIÓŁ

. . .

Od dłuższego czasu na łamach radzieckich czasopism literackich i artystycznych toczy się dyskusja nad nowym projektem ustawy o ochronie zabytków kultury materialnej. Z tej okazji „Sowietskaja Kultura" opublikowała wypowiedź dyrektora Centralnego Laboratorium Naukowo-Badawczego Konserwacji Zabytków — Iwana Gorina. Placówka ta jest wiodącą instytucją w zakresie ochrony zabytków, a z doświadczeń jej specjalistów korzystają nie tylko wszystkie muzea ZSRR, ale również wiele instytucji tego typu w innych krajach.

„Jesteśmy przede wszystkim instytutem naukowym — stwierdza I. Gorin — a dopiero później zakładem konserwatorskim. Dlatego nasi naukowcy zajmują się praktyką w wyjątkowych wypadkach, gdy chodzi o odkrycia o zasadniczym znaczeniu, wymagające zastosowania najnowszych zdobyczy nauki i techniki. Do takich odkryć należą freski Andrieja Rublowa i Daniły Czernego w soborze Władymirsko-Uspieńskim. Dzięki zastosowaniu najnowszych metod technicznych, w czasie prac konserwatorskich w tym samym soborze odkryto malowidła ścienne pochodzące z okresu „przedrublowskiego". Jest to znalezisko o ogromnym znaczeniu dla badań nad kultura materialna dawnej Rusi".

„Centralne Laboratorium — pisze dalej I. Gorin — wysłało szereg ekspedycji konserwatorsko-archeologicznych do republik Azji Środkowej, gdzie w warunkach naturalnych sprawdzać się będą nowe metody konserwacji dawnych obrazów, a także wyrobów z metalu, tkaniny, szkła, ceramiki i drewna. Jedna z naszych ekip pracuje nad zabezpieczeniem monumentalnych fresków kompleksu pałacowego pod Buchara, druga uczestniczy w odkopywaniu buddyjskiej świątyni z XII wieku, trzecia grupa archeologów działa na Kaukazie... Słowem, jesteśmy zawsze tam, gdzie chodzi o zastosowanie najnowszych metod ochrony zabytków kultury narodowej. Do ostatnich, uznanych i szeroko stosowanych w praktyce osiągnięć naszych specjalistów, należy m.in. nowa metoda utrwalania gruntu i pozłoty na starych rzeźbach z drewna... Najpilniejszym zadaniem, jakie stoi przed Centralnym Laboratorium i innymi radzieckimi placówkami konserwatorskimi, są przygotowania do Wszechzwiązkowej Wystawy Konserwatorskiej, która zostanie zorganizowana w związku z XI Generalną Konferencją Międzynarodowej Rady Muzealniczej w Moskwie.

* * *

Dzisiejszy obraz filmu radzieckiego w niemałym stopniu kształtują twórcze osiągnięcia wytwórni istniejących w poszczególnych republikach Kraju Rad. Jest ich obecnie 15 — na ogólną liczbę 19 — i produkują blisko połowę powstających w ZSRR filmów fabularnych. W kijowskim studiu im. A. Dowżenki powstaje 13 filmów w ciągu roku, w studiu „Gruzja-Film" — 6, w wytwórniach Odessy, Mińska, Taszkientu, Rygi — po 5. Każda z republik stworzyła swoją narodową kinematografię, która rozwija się nie tylko w republikach posiadających wieloletnie tradycje w tej dziedzinie (Armenia, Gruzja), ale i tam, gdzie jeszcze w pierwszych latach po wojnie nie produkowano filmów fabularnych, jak np. w Kazachstanie, Tadżykistanie, Kirgizji, Litwie, Łotwie, Estonii, Mołdawii. W wytwórniach tych pracują utalentowani reżyserzy, których nazwiska zdobyły dużą popularność nie tylko wśród kinomanów Związku Radzieckiego, ale i poza jego granicami. Twórcy związani z republikańskimi kinematografiami wciąż poszukują nowych tematów i środków wyrazu. Filmy tu powstające nie ograniczają się do przedstawienia lokalnych, ludowych motywów, a prezentują złożona problematykę życia współczesnego człowieka i otaczającej go rzeczywistości.

* * *

W Taszkiencie zakończyła swe obrady V Konferencja Młodych Pisarzy Krajów Azji i Afryki. Przedmiotem obrad były nie tylko problemy wzajemnej wymiany doświadczeń, lecz także ocena sytuacji politycznej na obu tych kontynentach. Tematem wiodącym była rola i odpowiedzialność twórcy wobec otaczającego go świata. Szczególnie gorąco były przyjmowane wystąpienia pisarzy z krajów walczących o swą niezależność.

Taszkienckie forum młodych twórców miało również konkretny, roboczy charakter. Zapadły decyzje o wydawaniu czasopisma „Lotos". Uczestnicy obrad zapoznali się z doświadczeniami organizacji wchodzących w skład Stowarzyszenia Pisarzy Krajów Azji i Afryki. Konferencja stała się doniosłym wydarzeniem światowego ruchu na rzecz utrwalania pokoju i braterstwa między narodami.

ZSRR

SZYBKI ROZWÓJ ENERGETYKI JĄDROWEJ

Jednym z najważniejszych kierunków rozwoju energetyki jądrowej, której udział w ogólnym bilansie energetycznym stale rośnie — jest stworzenie reaktorów na prędkich neutronach. W wykorzystywaniu zasobów jądrowych są one, mniej więcej, dwadzieścia razy bardziej efektywne od reaktorów zwykłych. Mogą na setki lat uwolnić ludzkość od groźby braku energii.

W Związku Radzieckim, w dziewiątej pięciolatce, rozpoczęto przemysłową eksploatację „prędkich" reaktorów, zgodnie z dyrektywami XXIV Zjazdu KPZR. Redaktor międzynarodowego czasopisma naukowego „Nucleare Engineering Internationale", po odwiedzeniu Związku Radzieckiego wysoko ocenił, podobnie zresztą jak i wielu innych zachodnich specjalistów, sukcesy radzieckich uczonych i inżynierów w tej dziedzinie.

Niektórzy specjaliści na Zachodzie pisze komentator naukowy londyńskiego „New Scientist", Simon Reppon — uważają, że powinniśmy dołożyć wszelkich starań, żeby możliwie najszybciej zbudować reaktory na prędkich neutronach, zdolne do przemysłowej produkcji energii. Pozwoliłoby to na uniknięcie niedoboru uranu, a nawet kryzysu w tej dziedzinie, w 90-tych latach naszego stulecia. Inni eksperci uważają, że istnieją znaczne, nie odkryte jeszcze zasoby uranu i dlatego nie ma potrzeby pośpiechu w rozwijaniu tej bardzo skomplikowanej techniki „prędkich" reaktorów z sodowym chłodziwem.

W Związku Radzieckim wyraźnie nakreślona linia aktywnego programu budowy reaktorów na prędkich neutronach nigdy nie była przedmiotem podobnych sporów. Taki bowiem reaktor może zabezpieczyć najbardziej efektywne użytkowanie bogactw naturalnych, a obok tego odznacza się wysoką energią cieplną. Dlatego też powinien być tak dalece udoskonalony, żeby mógł pracować bezpiecznie i wydajnie.

Główne wysiłki radzieckich specjalistów przy realizacji programu badań jądrowych skierowano na osiągnięcie dalekosiężnego celu: budowy reaktorów na prędkich neutronach.

Podstawowe radzieckie projekty budowy prędkich reaktorów wykonano z doskonale planowaną konsekwencją, w porównaniu ze skalą i złożonością analogicznych projektów w innych krajach. Reaktor BR-5 w Obnińsku rozpoczął pracę w 1958 roku z nominalną mocą elektryczną 5 megawatów. W 1972 roku został zmodernizowany.

BOR-60 w Melekes jest mocniejszym eksperymentalnym reaktorem, wybudowanym w 1970 roku, z nominalną energią cieplną 60 megawatów, co przewyższa nieco moc reaktora „Rapsodia Fortissimo" zbudowanego we Francji.

Pierwszym prototypem energetycznej stacji przyszłości, bazującej na prędkich neutronach, był reaktor B-350 w mieście Szewczenko, oddany do eksploatacji w 1973 roku. Reaktor wytwarza parę do napędzania turbin elektrycznych i urządzeń do zmiękczania wody. Reaktor B-350 jest równoznaczny elektrowni o mocy 350 megawatów.

Obecnie, w Biełojarsku, buduje się reaktor BN-600 będący elektrownią o mocy 600 megawatów, który zostanie oddany do użytku w końcu 1977 roku. Następnym etapem radzieckiego programu energetycznego będzie budowa przemysłowej elektrowni (z reaktorem BN-1500) o mocy około 1500 megawatów, która znajduje się teraz w stadium projektowania.

Pierwszym wielkim reaktorem energetycznym na prędkich neutronach, oddanym już do eksploatacji, jest reaktor BN-350 w nowym mieście Szewczenko, leżącym na otwartym, pustynnym półwyspie, na wschodnim wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Obecnie intensywnie bada się bogactwa mineralne tego rejonu, jednakże, wskutek suchego klimatu, nowe miasto jest uzależnione od zmiękczania wody morskiej. Teraz powstaje tutaj bardzo czuły, wieloczynnościowy kompleks energetyczny z czterema kotłami parowymi działającymi na paliwie nafty lub gazu, z reaktorem BN-350 zaopatrującym w parę grupę trzech turbin, wytwarzających energię elektryczną dla miasta. Wykorzystana już para, wydalana z turbin, zaopatruje w energię trzy duże urządzenia zmiękczające, o ogólnej wydajności 1900 ton zmiękczonej wody na godzinę!

Pod względem mocy nominalnej, reaktor BN-350 przewyższa analogiczne reaktory — francuski i angielski. Związek Radziecki zamierza wprowadzić do eksploatacji także reaktor BN — 600. Ponieważ BN-350 i BN — 600 są reaktorami różnych typów, przeto zapewnia to Rosjanom lepsze pozycje w prowadzeniu porównawczych badań głównych komponentów energetycznych tych reaktorów.

Nie należy oczekiwać, że Rosjanie wezmą pod uwagę opracowane na Zachodzie normy bezpieczeństwa, oparte na sprecyzowanym prawdopodobieństwie awarii. W wielu punktach tego zagadnienia radzieckie podejście jest bardziej logiczne. Radzieccy uczeni mówią, iż obliczeń wszystkich krytycznych elementów energetycznych reaktora dokonują na podstawie szeroko opracowanej dyscypliny technicznej, a w obliczeniach towarzyszących elementów stosują bardzo duże współczynniki bezpieczeństwa. Że takie ujęcie problemu jest konsekwentnie realizowane w praktyce widać od razu podczas oglądania reaktora BN-350; jakość jego głównych komponentów odpowiada najwyższym standardom światowym.

Na Zachodzie przyzwyczajono się do wielkich, stalowych i żelazobetonowych kopuł budynków, w których umieszcza się reaktory. Rosjanie i tutaj wykazują całkiem inne i w pełni uzasadnione podejście do problemu zmniejszenia do minimum następstw, mało prawdopodobnych zresztą, ucieczek substancji radioaktywnych z pierwotnych obiegów chłodziwa. Radzieckie podejście polega na usytuowaniu reaktora w centralnym miejscu wielkiego budynku w kształcie sześcianu. Reaktor i elementy obiegów pierwotnych rozmieszcza się w żelazobetonowych komorach, które z kolei otacza się ze wszystkich stron labiryntem pomieszczeń, komór i korytarzy mieszczących mniej ważne, drugorzędne urządzenia systemu. Niebezpieczeństwo ucieczki par z pierwotnego obiegu zmniejsza się coraz bardziej w miarę, jak pary przemieszczają się z jednej komory do drugiej, z pomieszczenia do pomieszczenia, i zanika, nim mogłyby się one przedostać na zewnątrz przez ostatnią przeszkodę — zewnętrzną powłokę budynku.

Reaktor BN-350 ma konstrukcję stalową, umieszczoną bezpośrednio nad reaktorem, gdzie ucieczka sodu mogłaby spowodować najbardziej niebezpieczne następstwa.

Chociaż elektrownia atomowa z reaktorem na prędkich neutronach o mocy 600 megawatów, budowana obecnie w Biełojarsku, jest elektrownią pokazową, to jednak wstępną realizację tego projektu wzięło na siebie Ministerstwo Energetyki i Elektryfikacji, a nie Państwowy Komitet do Spraw Wykorzystania Energii Atomowej, odpowiedzialny za budowę reaktora BN-350. Między tymi dwiema instytucjami istnieje oczywiście ścisła współpraca, ale jednocześnie Ministerstwo ma tutaj na widoku i własne cele.

Na budowie w Biełojarsku, gdzie poza tym Ministerstwo bardzo pomyślnie eksploatuje dwa reaktory energetyczne na powolnych neutronach, kładzie się nacisk na racjonalne budownictwo i niezawodną eksploatację urządzeń przeznaczonych do produkcji energii elektrycznej. Personel obsługujący te urządzenia bardzo swobodnie odpowiadał na wszystkie pytania, a poza tym bez najmniejszych wahań zezwala się tutaj na fotografowanie obiektów.

BN-600, jest podobny do reaktorów — angielskiego i francuskiego, ale ma dwa i pół raza większą wydajność. Przez pewien czas Rosjanie wahali się przed wyborem konstrukcji generatora pary dla BN-600 i dopiero niedawno podjęli ostateczne decyzje. Odeszli oni od systemu zastosowanego w reaktorze BN-350, a dwie inne konstrukcje wypróbowali na reaktorze BOR-60. Zaletą przyjętego systemu jest to, że wyklucza on ucieczkę substancji radioaktywnych.

Budowę reaktora BN-600 rozpoczęto w początkach 1969 roku. Kiedy widziałem ją ostatnio — kończy Simon Reppon swój artykuł — prace montażowe były na ukończeniu i ustawiono już najważniejszy element reaktora.

JERZY CZECH

REALIZM I ZDECYDOWANIE

Masowe środki przekazu nadają najwyższą rangę przemówieniu Leonida Breżniewa na kolejnym plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego KPZR. Plenum omawiało wprawdzie tematykę wewnętrzną: plan pięcioletni rozwoju gospodarki narodowej ZSRR w latach 1976-80 i ustalenie budżetu państwowego w roku przyszłym, jednakże dużą część swojego przemówienia sekretarz generalny KC KPZR poświęcił problematyce międzynarodowej.

AP wydobywa z przemówienia tę część, w której L. Breżniew mówił, że nastąpiło ostatnio pewne ochłodzenie w stosunkach radziecko-amerykańskich, ale nie jest ono spowodowane stanowiskiem Związku Radzieckiego. Reuter akcentuje przede wszystkim apel radziecki, aby mocarstwa zachodnie zajęły bardziej poważne stanowisko w kwestii odprężenia. AFP uznaje za najważniejsze zapowiedź przypuszczalnej wizyty Breżniewa we Francji „w bliskiej przyszłości". DPA zauważa, że radziecki przywódca skrytykował pewne siły, które atakują politykę wschodnią rządu bońskiego...

Rzeczywiście wszystkie te wątki znalazły się w plenumowym przemówieniu Leonida Breżniewa, ale podporządkowane były nadrzędnej sprawie: **nieustającym zabiegom polityki Związku Radzieckiego o takie pogłębienie światowego odprężenia, które przyniosłoby trwały pokój i szeroką międzynarodową współpracę.**

„Przed pięcioma czy dziesięcioma laty — powiedział sekretarz generalny — **naszym zadaniem było stworzenie podstaw dla normalnych stosunków pokojowego współistnienia z Francją, RFN, USA, Kanadą, Włochami, W. Brytanią i innymi krajami kapitalistycznymi, oczyszczenie tych stosunków z naleciałości zimnej wojny. Gdy to zadanie zostało w zasadzie wykonane, poszliśmy dalej, zaczęliśmy rozwijać na coraz szerszą skalę współpracę w dziedzinie polityki, gospodarki, nauki, techniki i kultury".**

W ostatnich miesiącach rzeczywiście w tej dziedzinie zrobiono wiele pożytecznego. Jednakże jeszcze więcej przed nami.

Obecnie nie ma ważniejszego zadania niż przerwanie wyścigu zbrojeń i przejście do rozbrojenia. Impet zbrojeń nuklearnych częściowo został pohamowany. Wstrzymano znaczną część prób z bronią nuklearną, zagrodzono drogę jej dalszemu upowszechnianiu, wprowadzono zakaz umieszczenia tej broni w przestrzeni kosmicznej, na dnie mórz i oceanów, ograniczyły zbrojenia strategiczne Związek Radziecki i Stany Zjednoczone, osiągnięto porozumienie co do zakazu stosowania, a także likwidacji broni bakteriologicznej. Jest to lista poważnych przedsięwzięć, które przeczą sceptykom, twierdzącym że na drodze rozbrojenia trudno o konkretne rezultaty. Takowe są nie tylko możliwe, ale co więcej — oczekiwane przez narody świata. Jeśli chodzi o ZSRR — to, jak podkreślił L. Breżniew,

„jesteśmy gotowi choćby jutro podjąć kroki rozbrojeniowe — czy to wielkie, radykalne, czy też na początek chociażby częściowe, oparte na rzeczywiście sprawiedliwych zasadach wzajemności".

Czytelnikowi, interesującemu się problematyką międzynarodową, nie trzeba przypominać rozlicznych inicjatyw radzieckich zmierzających w tym właśnie kierunku. Ich aktualizację zawiera dokument-memorandum, przedstawiony na obecnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Uwzględniono w nim, bez uszczerbku dla sprawy, poglądy licznych państw na temat rozbrojenia. Praktyczną zaletą tego pakietu propozycji jest to, że albo można je realizować łącznie albo stopniowo, dochodząc do tego samego celu.

Rozbrojeniem powinny być zainteresowane wszystkie kraje. Dlatego celowe jest zwołanie światowej konferencji rozbrojeniowej, którą proponują kraje socjalistyczne. Chociaż myśl ta cieszy się coraz powszechniejszym poparciem — idea wciąż nie materializuje się.

Dlatego ostatnio Związek Radziecki zgłosił nową inicjatywę — poświęcenia specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego problematyce rozbrojeniowej.

Duże znaczenie mają również wiedeńskie rokowania na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Na naszym kontynencie stoją przecież naprzeciwko siebie militarne potęgi. Gdyby to zagęszczenie sił i środków było mniejsze — zyskałaby na tym sprawa pokoju. Dlatego sukces wiedeńskich rokowań byłby liczącym się krokiem w kierunku ogólnego rozbrojenia.

Leonid Breżniew w swym przemówieniu podkreślił, że dotychczas największym osiągnięciem Związku Radzieckiego na arenie międzynarodowej jest to, że

„udało się odsunąć groźbę wojny jądrowej, uczynić pokój bardziej pewnym, bardziej trwałym".

Uważny czytelnik tekstu przemówienia nie może nie zauważyć optymizmu radzieckiego przywódcy co do dalszej pokojowej ewolucji stosunków międzynarodowych. Ten optymizm zasadza się na dotychczasowym postępie i znajomości woli narodów, które niczego więcej nie pragną niż tylko gwarancji, że będą mogły żyć w pokoju i rozwijać się gospodarczo.

W. SŁAWSKI

ANDRZEJ BLAJER

PREZYDENCKI POJEDYNEK

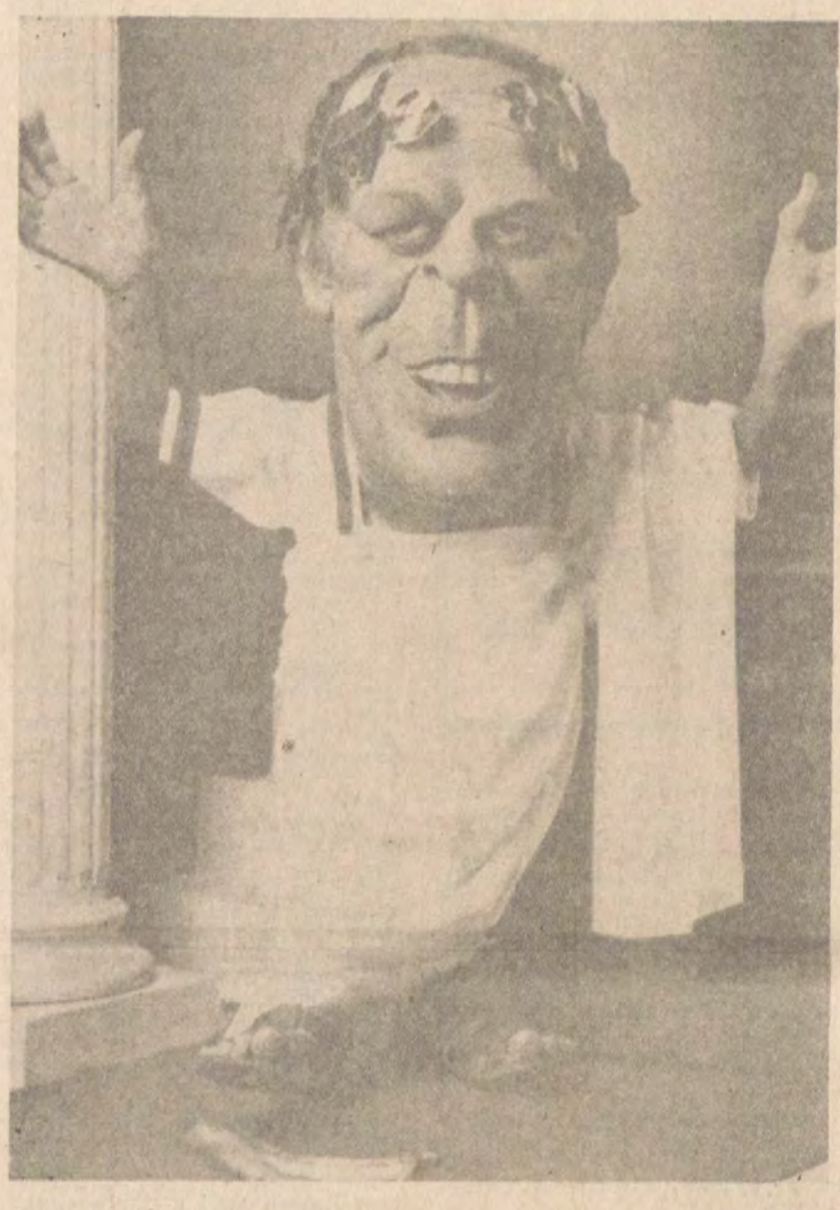

Fot. Archiwum

Najważniejszym obecnie wydarzeniem w życiu politycznym Stanów Zjednoczonych są bezsprzecznie wybory na urząd prezydenta kraju. W chwili, gdy niniejszy artykuł przygotowywano do druku, wynik batalii wyborczej nie był jeszcze znany. Obaj główni kandydaci do fotela prezydenckiego: Jimmy Carter i Gerald Ford, stanęli w szranki tej ostatniej, decydującej fazy kampanii z całkowicie niemal wyrównanymi szansami na zwycięstwo. Chociaż na finiszu sondaże opinii publicznej ujawniły lekką przewagę Cartera, nie była ona jednak na tyle duża, aby w nim właśnie można było upatrywać ostatecznego zwycięzcę. Sytuacja w kampanii wyborczej tak dalece się wówczas skomplikowała, iż wszelkie prognozy odnośnie jej końcowego wyniku były przyjmowane z dużą rezerwą i to zarówno przez koła polityczne jak i szeroką opinię publiczną USA, tym bardziej że znaczna część społeczeństwa amerykańskiego nie wypowiedziała się jeszcze po stronie żadnego z kandydatów. Tak więc wszystko miało się rozstrzygnąć we wtorek, 2 listopada, w którym to dniu, zgodnie z konstytucją, powinien najprawdopodobniej zostać wyłoniony nowy prezydent i wiceprezydent Stanów Zjednoczonych. Najprawdopodobniej, bowiem według procedury wyborczej USA w dniu tym zostają wybrani elektorzy, którzy tworzą kolegium elektorskie. Z reguły (wyjątki należą do rzadkości) przesądza to wynik kampanii, jednakże teoretycznie może się zdarzyć, iż kandydat, który uzyskał większość głosów 2 listopada, przegra wybory. Dzieje się tak czasami, ponieważ elektorzy głosują według stanów. Toteż, gdy jeden z kandydatów wygrywa ogromną większością w kilku stanach o dużej liczbie ludności, ale w innych nieznacznie, istnieje możliwość, że konkurent wygra całe wybory.

Tegoroczna kampania wyborcza, przebiegająca pod znakiem 200-lecia Stanów Zjednoczonych, była długa, skomplikowana, wyczerpująca, a wynik jej do końca pozostał wielką niewiadomą. Z tuzina zgłoszonych kandydatów na placu boju pozostało dwóch: aktualny prezydent **Gerald Ford** i były gubernator stanu Georgia **Jimmy Carter.** Przyjrzyjmy się więc uważniej ich sylwetkom, drodze kariery politycznej oraz zapoznajmy się choćby pokrótce z ich poglądami na problemy Ameryki i współczesnego świata, w którym USA odgrywają przecież rolę niepoślednią. W odniesieniu do kandydata republikańskiego zadanie to jest częściowo ułatwione. Dwuletni okres rządów G. Forda na stanowisku prezydenta pozwala formułować pewne dalej sięgające opinie, umożliwia pełniejszy przegląd sytuacji pod kątem ewentualnych przyszłych decyzji, które podejmowałby zachowując ów urząd. Na tym tle postać Jimmy Cartera, przed rokiem niemal zupełnie nieznanego w kręgach własnej partii, siłą rzeczy rysuje się jeszcze dość mgliście i zagadkowo. Toteż zacznijmy naszą prezentację właśnie od jego osoby.

JAMES EARL CARTER urodził się 1 października 1924 roku w miejscowości Plains w południowej Georgii. Jego ojciec był plantatorem orzeszków ziemnych i właścicielem wiejskiego sklepu. Jimmy Carter był pierwszym członkiem rodziny, który ukończył szkołę średnią. Początkowo studiował na Uniwersytecie Południowo-Zachodnim w Georgii, potem w Wyższej Szkole Technicznej tego stanu, a następnie wstąpił do Akademii Marynarki Wojennej USA, która ukończył w 1947 r. Rok wcześniej wstąpił w związek małżeński z Rosalynn Smith. Służbę w marynarce, którą odbywał na pancernikach, okrętach podwodnych konwencjonalnych i z napędem atomowym, zakończył w 1953 r., kiedy po śmierci ojca podjął decyzję powrotu do pracy w rodzinnej farmie. Pracował ciężko wraz z żoną nad uprawą orzeszków arachidowych i kukurydzy. Gdy po pewnym czasie interes rozwinął się i osiągnął wartość 750 tysięcy dolarów, Jimmy Carter zajął się polityką. W latach 1962—66 był senatorem z ramienia Partii Demokratycznej ze stanu Georgia. W 1970 roku został wybrany gubernatorem tego stanu i dał się wówczas poznać jako jeden z umiarkowanych przywódców politycznych „nowego Południa". W tym okresie Carter zanotował na swym koncie kilka niewątpliwych sukcesów. W czasie czteroletniej kadencji zreorganizował rząd stanowy, rozszerzył świadczenia administracji na rzecz obywateli stanu nie zwiększając przy tym podatków oraz zostawił swemu następcy nadwyżkę budżetową w wysokości 50 milionów dolarów.

Natychmiast po opuszczeniu stanowiska gubernatora w 1975 roku J. Carter zgłosił swą kandydaturę w wyborach prezydenckich 1976 r. i rozpoczął kampanię o uzyskanie nominacji. Była ona prowadzona w sposób przemyślany i w stylu przypominającym kampanię Johna Kennedy'ego. Korzystał z każdej okazji, by zdobyć jak największą popularność w szerokich kręgach społeczeństwa amerykańskiego, kładąc przy tym szczególny nacisk na bezpośredni kontakt z wyborcą. Pamiętał bowiem doskonale, że jest nową postacią na firmamencie politycznym USA, z drugiej jednak strony był również świadomy, iż jest tą nową twarzą spoza Waszyngtonu, której wyborcy poszukują. Dzięki temu właśnie oraz dzięki ewangelicznym cnotom, kultywowanym w rodzinie Carterów, które stanowiły jego ideologię i były głównym motywem kampanii wyborczej, łatwiej było mu znaleźć wspólny język z narodem, a zwłaszcza zdobyć poparcie wśród warstwy średniej, młodzieży i u tych zgorzkniałych Amerykanów, którzy usilnie poszukują wytchnienia od społecznych i politycznych konfliktów ostatnich lat. Carter proponuje im odnowienie wiary w „starą poczciwą Amerykę".

Jest oczywiste, że swoich sukcesów w kampanii wyborczej i nominacji kandydackiej nie zawdzięczał jedynie zręcznemu działaniu, ale również programowi, który odzwierciedlał jego polityczne credo. A jaki to program?

W sprawach polityki zagranicznej i obronnej, co interesuje zwłaszcza większość ludzi nie tylko w Ameryce, ale również w świecie, Carter przedstawia się jako zwolennik zmniejszenia obecności militarnej USA za granicą, redukcji o 5 do 7 mld dolarów amerykańskiego budżetu obronnego wyrażającego się sumą 113 miliardów dolarów, przy czym ograniczenia miałyby dotyczyć głównie personelu pomocniczego i sztabowego oraz zakresu różnych rodzajów broni przy zachowaniu jednak aktualnego kursu popierającego produkcję nowych typów uzbrojenia, zwłaszcza broni nuklearnych i rakietowych.

Główne rysy jego koncepcji polityki zagranicznej wydają się wskazywać na to, iż uległaby ona zmianom raczej pod względem stylu, aniżeli merytorycznym. Skrajna tajemniczość, która, zdaniem Cartera, cechowała metody kierowania polityką zagraniczną przez Henry Kissingera, zostałaby zastąpiona przez większą jawność, bliższą współpracę z Kongresem oraz przez położenie większego nacisku na potrzebę ściślejszych kontaktów i konsultacji z sojusznikami, szczególnie w celu utrzymania i umocnienia więzów z Europą Zachodnią i Japonią. Odnośnie kwestii odprężenia i pokojowej współpracy w dziedzinie gospodarczej, naukowo-technicznej i kulturalnej z krajami socjalistycznymi, a zwłaszcza Związkiem Radzieckim, Carter wypowiada się w zasadzie za kontynuowaniem kursu zapoczątkowanego przez Richarda Nixona i realizowanego przez G. Forda, nadając jednak tym kwestiom cechy bardziej przetargowego stanowiska ze strony USA. W sprawie kontroli i ograniczenia zbrojeń nuklearnych oraz strategicznych broni rakietowych kandydat demokratów silnie akcentował potrzebę rychłego zawarcia kolejnych porozumień z ZSRR. Z kolei w odniesieniu do NATO Carter obiecuje podjęcie energicznych kroków na rzecz umocnienia tzw. siły defensywnej sojuszu atlantyckiego. Spośród innych ważniejszych kwestii polityki zagranicznej USA Jimmy Carter przewiduje dokonanie istotnej zmiany w podejściu do krajów Trzeciego Świata, a zwłaszcza w nawiązywaniu z nimi nowych bardziej partnerskich stosunków. Program w sferze polityki zagranicznej zakłada również rozszerzenie stosunków z ChRL oraz wysuwa m. in. propozycję zbadnia możliwości doprowadzenia do ogólnego rozwiązania konfliktu bliskowschodniego odrzucając dotychczasową koncepcję Kissingera działania „krok po kroku".

Cele te mają być realizowane przez Cartera jako prezydenta, który nie ukrywa, że stawiać będzie mianowanym przez siebie urzędnikom trudne zadania i dla dobra ich realizacji gotów będzie nawet do starć ze swą własną większością partyjną w Kongresie. Jimmy Carter obiecuje więc zademonstrować Amerykanom taką prezydenturę, która będzie odmienna nie tylko od tej, jaką sprawuje Gerald Ford, ale i od wszystkich innych, jakie dotąd znali. Kandydat demokratyczny stwierdza bowiem: „Nie ulega dla mnie wątpliwości, że przed końcem mojej kadencji budżet będzie zrównoważony, wprowadzimy budżetowanie na „podstawie zerowej", organizacja aparatu rządowego będzie właściwa, będziemy mieli prawo do jawności działania rządu i przywrócona zostanie harmonia w stosunkach między Białym Domem a Kongresem".

Drugi z kandydatów, a zarazem urzędujący aktualnie prezydent USA, GERALD FUDOLPH FORD, urodził się 14 lipca 1913 roku w Omaha, w stanie Nebraska, w rodzinie pochodzącej ze średnich warstw amerykańskiego społeczeństwa. Nazywał się wówczas Leslie King. We wczesnym dzieciństwie rodzice rozwiedli się i matka poślubiła przemysłowca Geralda R. Forda, którego imię i nazwisko przyjął następnie obecny prezydent Stanów Zjednoczonych. Ojczym Forda był przywódcą Partii Republikańskiej w mieście Grand Rapids, w stanie Michigan i to on rozbudził zainteresowania wychowanka polityką.

Przyszły prezydent ukończył w 1931 roku szkołę średnią w Grand Rapids, a następnie uzyskał dyplom magistra nauk politycznych i ekonomii na Uniwersytecie Michigan, po czym przeniósł się na wydział prawa ekskluzywnego Uniwersytetu Yale. Po ukończeniu studiów, w 1941 roku rozpoczął praktykę adwokacką w Grand Rapids. W latach 1942—46 Ford służył na lotniskowcu floty Pacyfiku, osiągając stopień komandora podporucznika. Po powrocie do Grand Rapids podjął ponownie praktykę adwokacką, którą kontynuował do 1949 roku.

W tym okresie rozpoczął swą karierę polityczną i w 1948 roku, kandydując do Izby Reprezentantów z ramienia Partii Republikańskiej, odniósł poważne zwycięstwo nad izolacjonistą Bartelem Jonkmanem. Od tego czasu G. Ford reprezentował nieprzerwanie stan Michigan w Kongresie, stając się stopniowo jedną z najaktywniejszych jego postaci. Działał w różnych komisjach Izby, m.in. w 1963 roku wchodzi w skład Komisji Warrena, badającej okoliczności zabójstwa prezydenta Johna Kennedy'ego. W styczniu 1965 r. wybrany został przywódcą mniejszości republikańskiej w Izbie Reprezentantów, co — jak na ogół sądzono — miało stanowić szczyt jego kariery politycznej.

W waszyngtońskich kołach politycznych Gerald Ford cieszył się zawsze opinią człowieka o nieposzlakowanej uczciwości, a zarazem posiadającego umiejętność znajdowania kompromisowych rozwiązań w skomplikowanych sytuacjach. Po niesławnej aferze korupcyjnej wiceprezydenta Spiro Agnewa — Richard Nixon zaproponował to stanowisko Fordowi. 27 listopada 1973 roku został on zatwierdzony przez Senat przygniatającą większością głosów 92 do 3. Od tej chwili, obok funkcji wiceprezydenta, zajmował także stanowisko przewodniczącego Senatu. Finał afery Watergate doprowadził prezydenta Richarda Nixona do konieczności rezygnacji z urzędu i wycofania się z czynnego życia politycznego. Tym samym ów dramatyczny rozwój wydarzeń w lipcu i sierpniu 1974 r. spowodował, że 9 sierpnia 1974 r. Gerald Ford został zaprzysiężony jako 38 prezydent Stanów Zjednoczonych na okres do 20 stycznia 1977 r. Ford powiedział wówczas o sobie, że jest umiarkowanym w kwestiach polityki wewnętrznej, konserwatystą w sprawach finansowych i „internacjonalistą" w polityce zagranicznej To ostatnie określenie miało oznaczać, że jest on zwolennikiem żywej działalności USA na arenie międzynarodowej, co z kolei znalazło wyraz w utrzymaniu na stanowisku sekretarza stanu Henry Kissingera raz we wstępnym oświadczeniu, w którym wyraził zdecydowaną wolę kontynuowania polityki zmierzającej do umocnienia pokoju na świecie.

Na konwencji Partii Republikańskiej w Kansas, w sierpniu bieżącego roku, Gerald Ford otrzymał nominację na kandydata do urzędu prezydenta w listopadowych wyborach, po stoczeniu nieoczekiwanie trudnej i wyrównanej batalii z partyjnym kontrkandydatem Ronaldem Reaganem.

Jeśli chodzi o polityczne credo reprezentanta republikanów, to zostało ono wyrażone wcześniej, w okresie minionych dwóch lat sprawowania prezydentury i mieliśmy okazję poznania go już bliżej. Trudno byłoby w tej sytuacji oczekiwać radykalnej zmiany kursu w jakiejkolwiek sferze polityki tak wewnętrznej jak i zagranicznej. Gwarantem dalszego powodzenia może być bowiem jedynie konsekwentne realizowanie wytyczonej we wspomnianym okresie, linii politycznej.

W polityce zagranicznej i obronnej postulowane zmiany dotyczą w zasadzie spraw niemal całkowicie drugorzędnych. Ford bowiem, przekonany o słuszności aktualnie realizowanej w tych kwestiach koncepcji, zdecydował się na razie nie wprowadzać do niej nowych elementów. Jego stanowisko w kwestii odprężenia, ograniczenia zbrojeń i rozwijania współpracy z krajami socjalistycznymi nie uległo wprawdzie zmianie, choć sposób realizacji tych celów nie zawsze odpowiada oczekiwaniom, podobnie jak stanowisko w sprawie dalszej rozbudowy potencjału militarnego USA, które niejednokrotnie musi budzić sprzeciwy. W sumie jednak można tę politykę określić jako dość realistyczną i stwierdzić, iż dalszy jej bieg w tym kierunku rokuje nadzieje na stopniowe łagodzenie napięcia międzynarodowego, odsunięcie na stałe groźby wybuchu wojny światowej oraz rozwijanie pokojowej, owocnej współpracy w wielu dziedzinach, między państwami naszego obozu a Stanami Zjednoczonymi.

* * *

Tak oto w dużym skrócie można przedstawić sylwetki i koncepcje polityczne obu głównych bohaterów pojedynku prezydenckiego, którego czwarta, końcowa odsłona miała miejsce 2 listopada. W trzech pierwszych, mających charakter debat telewizyjnych, notabene nudnawych i rozczarowujących, ujawniła się lekka przewaga Jimmy Cartera, a ściślej w drugiej i trzeciej. Jednak na tydzień przed wyborami sondaże opinii publicznej znów zaczęły przewidywać zwycięstwo Geralda Forda nad Carterem i to kilkunastoma procentami. Tak więc wybór któregoś z kandydatów na urząd prezydenta pozostawał do końca sprawą otwartą. Można byłoby zadać sobie retoryczne pytanie, czy przedwyborcza przewaga któregokolwiek wystarczy, by zapewnić zwycięstwo właśnie jemu, ale przecież Czytelnik zna już wyniki, teraz zaś poznał także niektóre główne rysy programów obu konkurentów (a szczególnie Jimmy Cartera), może więc wyciągnąć pewne wnioski odnośnie kwestii trafności wyboru. I choć w programach występują istotne różnice, choć realizacja ich to całkiem inna sprawa, jedno nie podlega dziś wątpliwości — to mianowicie, że ten, kto będzie sprawował władzę w Ameryce, nie może dowolnie zmieniać biegu pewnych wydarzeń zachodzących na arenie światowej, mają one bowiem charakter nieodwracalny, taki właśnie jak proces międzynarodowego odprężenia.

Jak wynika z ostatnich doniesień agencyjnych, sukces wyborczy odniósł kandydat demokratów — Jimmy Carter.

Fot. Archiwum

KSIĄŻKA

UTRACONA INONIA

Baczny obserwator życia literackiego zauważy, iż zachodzi pewna zależność — aczkolwiek nie jest ona prawidłowością — między twórczością pisarza, jej jakością i ilością a czasem, jaki poświęca na rozhowory kawiarniane i uliczne, występy w radiu i telewizji itp. Wytworzył się bowiem specyficzny gatunek ludzi pióra, którzy uprawiają literaturę „gadaniem", są nagminnie eksploatowani przez instytucje kulturalne, jak i przez samych przyjaciół. Mają nieraz wiele interesującego do powiedzenia, eksplodują pomysłami, skrzętnie przez innych wykorzystanymi na papierze. Nie brak im swady, polotu i elokwencji wobec milionów telewidzów, ale z chwilą, gdy zostają sam na sam z czystą kartką papieru, umysł im nagle jałowieje, następują okrutne godziny zmagań z własną niemocą.

I mówiąc prawdę nosiłem w sobie obawę, że tak barwna postać życia literackiego, jaką jest Wasyl Kocznow, może również przegadać i zagadać siebie, nie zostawiwszy krom kilkunastu wierzy i przekładów żadnych esejów, będących świadectwem jego samoświadomości artystycznej. Bo Kocznow mówi dużo (podobno także do siebie), niezwykle sugestywnie, umie zaciekawiać, potrafi być nieznośny i zacietrzewiony, a wszystko to czyni w imię największej miłości jego życia, w imię Poezji.

I oto nastał czas radosnej śmierci moich obaw z chwilą, gdy wziąłem do ręki „Utraconą Inonię". Znakomita lektura, co jeszcze nie znaczy, że książka jest doskonała. Po prostu czyta się ją lekko, mimo wagi poruszanych spraw. Kocznow, drzewiej pisarz rosyjski, od niemal dwudziestu lat mieszkający w Polsce, tak przyswoił sobie polszczyznę, że posiadł umiejętność przedstawiania problemów trudnych w sposób jasny, nie stroniąc od wycieczek w stronę porównań, metafor, własnych przeżyć, subiektywnych doznań. Wyraźnym konturem odrysowuje się jego indywidualność jako eseisty od tego, co się dzieje we współczesnej naszej krytyce. Ale i tu dorzućmy zastrzeżenie. Oryginalność — oczywista — nie stanowi wyłącznego warunku wysokiej wartości dzieła. Oryginalność Kocznowa zasadza się w tym, iż w pierwszym rzędzie jest pisarzem rosyjskim, a dopiero w następnej kolejności polskim, że myśli — to da się wyczuć z kart „Utraconej Inonii" — w języku rosyjskim, że umysł jego został obwarowany wielowiekową treścią literatury rosyjskiej, obyczajów, zwyczajów i sposobów myślenia Wielkorusów. Zatem nawet zajadły strukturalista analizując, modelując teksty Kocznowa, chcąc nie chcąc, wydepce ścieżkę do biografii twórcy.

Biografia to szczególna. Uprawia poeta twórczość dwujęzyczną i tłumaczy też w „obie strony". Translatorstwo stało się jego żarliwą pasją, czego dobitny wyraz znajdziemy w pierwszym cyklu szkiców, zatytułowanym „Stare i nowe". Poeta wytrwale pracuje nad zacieśnieniem i pogłębieniem rosyjsko-polskich więzów literackich, nie omijając kwestii niewygodnych, niewygodnych z racji pozaartystycznych. Pracy tłumacza towarzyszy wypracowywanie własnej teorii przykładu poetyckiego, której zasadnicza treść da się sprowadzić do konstatacji: winno się przekładać myśl poety, przy czym na myśl poetycką, zdaniem Kocznowa, składa się zawartość semantyczna, rytm, barwa słowa. Program maksimum i dlatego dobry tłumacz jest jednocześnie wybitnym twórcą. Uwagi na temat translatorstwa są najcenniejszą wartością książki, gdyż nie ma tu żadnych mielizn myślowych; wręcz przeciwnie — Kocznow sięga do głębokich pokładów rudy języka poetyckiego (jakby porównał Borys Pasternak), do prapoczątków myślenia i języka. Zna i czuje duszę języka, zarówno rosyjskiego jak i polskiego, a jeśli to już jest immanentną właściwością jego intelektu, przeto zna i czuje duszę wiersza.

Wie, że tekst poetycki z jednej strony jest sumaryczną treścią doznawania świata, z drugiej strony natomiast procesem tworzenia nowej rzeczywistości językowej, rządzącej się własnymi prawami, równie tajemniczymi co prawa przyrody. Ociera się tu o sferę dziedziny mało jeszcze zbadanej, a jakże fascynującej, o logikę poetycką, której zasady opisuje, ale nie definiuje.

Tezy swe wspiera argumentami z różnych dziedzin humanistyki, poruszając się w każdej z nich z dużą swobodą i erudycją. Odwołuje się do badań folklorystycznych, polemizując niejednokrotnie z uznanymi autorytetami, do podań i legend, historii, średniowiecznych przekazów kronikarskich. Zdumiewający jest zaiste obszar lekturowy: od Biblii i św. Hieronima po Pietnikowa, Chróścielewskiego, Sołouchina i wielu, wielu innych. Różnorodność cytowanych tekstów dodaje urody książce, trochę chaotycznej w swej kompozycji, przypominającej w wielu wypadkach silva rerum, magazyn różności. Ale może przez to, że brak jej żelaznej logiki, czyta się tę pozycję lekko i z zainteresowaniem? Chyba więc w tej przewrotnej urodzie tkwi tajemnica „Utraconej Inonii".

O ile pierwszy cykl esejów jest bez wątpienia ambitną i twórczą próbą przewartościowania teorii przekładu poetyckiego, o tyle druga część książki poświęcona sylwetkom pisarzy (Dostojewski, Jesienin, Wozniesieński i in.) może budzić wiele wątpliwości interpretacyjnych i w ogóle metodologicznych. W szkicu o poezji Jesienina są wyważone proporcje, zachowany jest pewien umiar w wartościowaniu, natomiast w eseju o Dostojewskim pogalopował Kocznow z iście ułańską fantazją czy — jak kto woli — pofantazjował jak staroruski bajarz. Szkic ów, noszący obiecujący tytuł „Los idei", dotyczy problemów światopoglądowych Dostojewskiego. Gdybyśmy nie znali kontrowersyjnej książki Cata Mackiewicza, niezwykle głębokich analiz Ryszarda Przybylskiego, gdyby czytelnik polski wcześniej nie zapoznał się z pozycjami Bachtina i Grossmanna, wówczas tekst Kocznowa — być może — byłby rewelacją. Owszem jest evenementem, ale nie w najlepszym tego słowa znaczeniu. W krótkim szkicu krytyk chce załatwić wszystkie w zasadzie spory wokół Dostojewskiego. Wiadomo, iż w takiej sytuacji nietrudno popaść w banały, frazesy, niebezpieczne uogólnienia, od których aż się roi w tekście. Poza tym sprzeczność popędza sprzecznością. Jak na przykład możemy rozumieć taki ustęp: „Dostojewski nie mógł być zrozumiany przez swoich współczesnych, gdyż ci mentalność jego bohaterów przymierzali do praw, którymi rządzili się sami. W ich świecie decydującym czynnikiem była przemoc, silni krzywdzili słabych, a bogaci wyzyskiwali biednych. Dysproporcje między rzeczywistością a światem powieści Dostojewskiego drażniły krytyków literackich przez wiele dziesięcioleci." Niestety w tym tonie utrzymany jest cały szkic, w którym jednak znajdziemy jedno kapitalne zdanie: „Przymusowe dobro przestaje bowiem być dobrem."

Można dyskutować z omówieniem nowych zjawisk w literaturze radzieckiej (np. dość opaczna interpretacja głośnej książki Sołouchina). Czytelnik polski jest po prostu wychowany na innych tradycjach krytyki literackiej i oswojony jest z ostrożnością, wskazaną przy przenoszeniu zjawisk ze sfery czysto artystycznej do sfery ideowej. Odmienność bywa zawsze pożądana i w tym zakresie nawet druga część książki Kocznowa spełnia swoje zadanie, tym bardziej że zawiera wiele ciekawego materiału informacyjnego. Uważam jednak, iż penetracje Kocznowa winny zdążać w kierunku teorii wiersza i przekładu, bowiem w tej dziedzinie poeta zaprezentował całą gamę swoich twórczych możliwości i tego należy mu pogratulować.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Wasyl Kocznow, Utracona Inonia, Łódź 1976, Wydawnictwo Łódzkie, s. 222, nlb. 2.

Refleksja Wasyla Kocznowa biegnie po bardzo szerokich kręgach, zatrąca o bardzo różne problemy historyczno-literackie. Ale myślę, że w istocie dotyczy przede wszystkim jednego: roli tradycji dla współczesności. I to określonej tradycji, szczególnie fascynującej pisarza — słowiańskiej, identyfikującej się w jego rozumieniu przez wieki w kulturze ludowej i wyrosłej na jej glebie twórczości literackiej, tradycji przekraczającej wydarzeniową warstwę tak splątanej historii naszych narodów. W. Kocznow sięga do literackich pomników dawnej Rusi i folkloru, rewaloryzuje dorobek słowiańskiej folklorystyki z epoki O. Bodiańskiego, I. Sniegiriewa i D. Szeppinga w Rosji, zaś Z. Dołęgi-Chodakowskiego, K. W. Wójcickiego i tylu innych w Polsce. Tropi echa dawnych wątków mitologicznych we współczesnej polskiej i rosyjskiej poezji, budując swoisty pomost między dawnymi a nowymi laty.

Rosyjski pisarz polskiego języka — przedstawia W. Kocznow polskiemu czytelnikowi wyrastający z tradycji literatury swojej pierwszej ojczyzny styl całościowego myślenia, dla nas pod wieloma względami inny, skoro za sprawą badań z końca ubiegłego i początku naszego stulecia przywykliśmy już do daleko, może nawet — z perspektywy kamparatystycznej — zbyt daleko idącego sceptycyzmu wobec wszelkiego doszukiwania się w naszym folklorze pogłosów czasów najdawniejszych. Akademickiemu krytycyzmowi przeciwstawia W. Kocznow bogaty arsenał zestawień porównawczych, nieraz także etymologię zaskakującą swoją pomysłowością, choć w niejednym przecież dyskusyjną (jak w rozważaniach o kolendzie i łacińskiej „kalendzie", w znaczeniu przecież powszechnie stosowanej w polskim średniowieczu miary czasu, a nie innym). W pisarstwie eseistycznym jednak — bo teksty, zebrane przez W. Kocznowa w tomie „Utracona Inonia" (Wydawnictwo Łódzkie 1976) są tego właśnie gatunku — nie idzie o systematyczny wykład, ale o pomysł, myśl, ogólną koncepcję, której zarysowanie jest przede wszystkim celem autora. Czy po przesadnym akcentowaniu wynikających głównie z rozmaitych obrządków różnic, nie dojdziemy do ich... niedoceniania? Stale powtarza się pogląd, że kościół łaciński silniej i głębiej reformował dawną, słowiańską kulturę niż chrześcijaństwo, rozpowszechniane w ogólnie rozumianym języku narodowym, chociażby w shieratyzowanej postaci. Czy jest to jednak taka bezwzględna prawda, za jaką ją chcielibyśmy uważać? Wszak nawet historiografia kościelna przyznaje, że w ponad dwie setki lat po oficjalnej chrystianizacji istniały w Polsce silne relikty pogaństwa; że na Litwie w XVI w. były całe enklawy, do których nowa religia jeszcze nie dotarła...

Problematyką tradycji zajmuje się W. Kocznow nie tylko w tej, chciałoby się rzec historyczno-folklorystyczno-literackiej płaszczyźnie. Wiele uwagi poświęca bowiem zagadnieniom przekładu, co wiąże się zarówno z jego własną twórczością poetycką i translatorską, jak i działalnością wielu pisarzy, o których mówi w swej książce. Przeciwstawiając się niebezpieczeństwu, jak je zwie, „tłumaczy — poliglotów", przekładających wszystko ze wszystkiego, eseista konkluduje: „Myślę, że należy z większym szacunkiem odnosić się do tradycji kulturowych innych narodów, szczególnie narodów małych i nie pomniejszać wartości artystycznej ich sztuki literackiej". To, o co chodzi W. Kocznowowi, określiłbym mianem, ryzykownym co prawda, przekładu kultury i tradycji jednego narodu, na język kultury i tradycji drugiego. Postulat na pewno do ziszczenia niełatwy, kiedy życie nakazuje nam tłumaczyć szybko i wiele, w dodatku z coraz liczniejszych języków, zaś ludzi mogących temu podołać jest nie tylko u nas — przykłady podaje właśnie W. Kocznow — wciąż bardzo niewielu.

W esejach o literaturze rosyjskiej, o współczesnej literaturze radzieckiej W. Kocznow zmierza właśnie do przełożenia na polskie kategorie myślenia i odczuwania tych wartości, które przy innym podejściu autora musiałyby pozostać dla nas nieprzyswajalnymi. Nie ukrywa własnego, osobistego stosunku do podejmowanych przez tę literaturę problemów, niekiedy zaś wdaje się w ogólne rozważania nad podstawowymi problemami kultury naszych czasów. Dostrzega niewystarczalność tradycyjnego humanitaryzmu jednostek, niebezpieczeństwa wypływające z wszelkiej ograniczoności, stara się je interpretować. Chyba nie przypadkowo tytuł jego książki ewokuje Jesieninowską Inonię: eseista ma pełną świadomość tego, że słowiańska przeszłościowa utopia nie może być niczym innym, jak światem nieuchronnie minionym, nawet jeśli się przyznało mu tyle wartości, ile dojrzał w nim W. Kocznow.

ANDRZEJ F. GRABSKI

TEATR

AWARIA W TEATRZE NOWYM

Kazimierz Dejmek wystawił w Teatrze Nowym farsę. Gdyby zdanie to padło lat temu kilkanaście wywołałoby zdziwienie połączone z niedowierzaniem. Ale zdanie takie paść nie mogło, bowiem był to okres panowania innego modelu teatru, modelu, w którym taki typ farsy, jak AWARIA nie miał w teatrze dejmkowskim obywatelstwa. Dzisiaj, jak się okazuje, jest to możliwe. Tym bardziej że farsa w tradycji polskiego teatru przeżywała co jakiś czas swój renesans. Wystarczy choćby przejrzeć stary teatralny repertuar i księgi buchalteryjne, aby przekonać się o rozmiarach i stopniu popularności farsy, komedii, quodlibetu itd. Nikt, kto zna i działa we współczesnym teatrze, nie liczy na powrót świetności tego gatunku. Ale jeżeli mowa jest o ciągłej popularności farsy to oczekuje się tu nowych rozwiązań formalnych i nowych treści. Tym chyba była podyktowana decyzja podjęcia przez Kazimierza Dejmka reżyserii „Awarii" Haliny Dobrowolskiej. Czy decyzja ta była słuszną decyzją? Odpowiedź na to pytanie jest o tyle trudna, że niesie niebezpieczeństwo subiektywizacji. Aby tego uniknąć należy posłużyć się w miarę ostrymi kryteriami. Z jednej strony niech będzie to kryterium masowości, z drugiej zaś kryterium artystycznej obiektywizacji. Z punktu widzenia kryterium masowości „Awaria" została przyjęta znakomicie, trafia do szerokiego odbiorcy, jest komunikatywna niemal w estradowym i publicystycznym wymiarze. Ocenę tę potwierdza zainteresowanie publiczności, frekwencja.

Gorzej przedstawia się ocena z punktu widzenia estetyki wartościującej, która posługuje się kryterium artystycznej obiektywizacji. Trudno bowiem „Awarię" zaliczyć do sprawnie skonstruowanych utworów dramatycznych. Jest ona w miarę niespójna, słaba dialogowo, o szkicowych postaciach, karykaturalnie papierowych, aż trudno uwierzyć, że pisała to aktorka. Czy z chwilą zmiany jednej profesji traci się z pola widzenia interesy drugiej profesji? Co zrobiłaby ze swoimi postaciami Halina Dobrowolska — aktorka?

Na pytania te odpowiedzi udziela Kazimierz Dejmek w reżyserowanym przez siebie spektaklu, dając najznakomitszą obsadę; łatwo czytelną, realistyczną dekorację Marka Tomasika i skeczowy styl estradowej składanki. Aktorzy papierowe postacie obdarzyli własną osobowością, aby farsa się zwielokrotniła i osiągnęła także estradowy charakter. Bo tylko takie rozwiązanie ratowało sztukę Haliny Dobrowolskiej, dawało nośności aktualnościom publicystycznym. Nie zmienia to jednak obiektywnej oceny spektaklu i sztuki, która swoją miałkością uderza w model teatru dejmkowskiego. Współczesny polski repertuar za wszelką cenę — to chyba za wysoka cena.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Halina Dobrowolska „Awaria", reżyseria: Kazimierz Dejmek, scenografia: Marek Tomasik, kostiumy: Iwona Zaborowska.

TELEWIZJA

POTĘGA SZKLANEGO EKRANU

Możemy narzekać, żartować, irytować się — a jednak telewizja wciąż zaskakiwać nas będzie nowymi możliwościami. I chociaż czasem mi się zdaje, że już nic mnie nie zdziwi, to jednak... Oto **prof. Zin** oddał na licytację swoje dwie akwarele. Cel jest chwalebny — Centrum Zdrowia Dziecka, ale przecież nie o to chodzi, bo gdyby profesor nawet oświadczył, że zbiera w ten sposób na małego Fiata, też sytuacja byłaby taka sama.

Otóż akwarelka prof. Zina osiągnęła cenę... 26 tysięcy złotych. Ludzie! Za tę cenę można mieć obraz Juliana Fałata — najwybitniejszego akwarelisty wszystkich czasów w polskim malarstwie? Podejrzewam zresztą, że większość licytowała, nie mając pojęcia o kolorystyce obrazka, bo telewizorów kolorowych mało, a zresztą barwy z kineskopu i tak fałszują. Tak więc licytowano tylko „na nazwisko i telewizję".

Potęga szklanego ekranu jest imponująca. Najgorsza wydawnicza „cegła" znika z półek księgarskich nazajutrz po telewizyjnej reklamie. Najgłupszy dowcip usłyszany w telewizji powtarza nazajutrz cały kraj... Po obejrzeniu kolejnego odcinka serialu „Wojna i pokój" nikt już nie uwierzy, że bitwa pod Austerlitz odbywała się w grudniu. Przecież w angielskim filmie widzieliśmy łąki, drzewa, pełne liści i w ogóle inną porę roku. Niech teraz nauczyciel historii spróbuje uczniów przekonać, że bitwa pod Austerlitz była drugiego grudnia. Dzieciaki zwątpią w wiedzę nauczyciela, ale nie w telewizję.

Dowody swojej potęgi telewizja daje zresztą bezustannie. Nikomu w Polsce nie udało się sprowadzić szwedzkiej grupy „ABBA", która swój kalendarz ma ściśle wypełniony już na dwa lata naprzód. Ale telewizji się udało, co prawda wspólnie z „Pagartem". Tak więc zanim „Polskie Nagrania" wydadzą kolejną płytę „ABBA", wszyscy posiadacze magnetofonów będą już mieli pełny koncert szwedzkiego zespołu nagrany w wolną sobotę dzięki inicjatywie „Studia 2".

Po zespół „ABBA" poleciał do Sztokholmu specjalny czarterowy samolot PLL „LOT". Na pokładzie znajdowali się: **Bożena Walter, Edward Mikołajczyk i reżyser Dembiński.** Ponieważ szwedzcy piosenkarze mogli wpaść do Warszawy tylko na 24 godziny, ekipa Studia 2 na wszelki wypadek pilnowała, żeby samolotu z artystami nie porwał ktoś w drodze do Polski. Teoretycznie mogło się to zdarzyć, bowiem piosenkarzom towarzyszyła kilkudziesięcioosobowa ekipa dziennikarzy zagranicznych. A wiadomo — dziennikarze to ludzie nieodpowiedzialni. Zagraniczni, oczywiście. Tak więc red. Mikołajczyk terroryzował kolegów płynną wymową, a Bożena Walter uśmiechem. No i wszystko dobrze się skończyło — samolot nie poleciał do Paryża.

Telewizja dała sobie również radę z Witkacym. Panuje przecież przekonanie, że utwory tego pisarza są hermetyczne i mało czytelne dla masowego odbiorcy. Teatry, jeśli już wystawiają sztuki Witkacego, to raczej w różnych „Małych Salach" i na studyjnych scenach. A tu raptem Witkacy i wielomilionowa widownia.

No i udało się. „W małym dworku" było co prawda parodią rittnerowskiej sztuki „W małym domku" i deprecjacją realistycznej konwencji teatralnej. Czyli tej konwencji, którą tzw. masowy widz akceptuje bez reszty. A jednak — sądzę — masowy widz zaakceptował sztukę Witkacego w realizacji Ignacego Gogolewskiego.

Z „nowości powtórzeń" warto odnotować „Czterech pancernych i psa". Wyrosło już nowe pokolenie, które jeszcze się nie pasjonowało przygodami wojennymi Janka, Gustlika, Grigorija i kogoś tam jeszcze... **Janusz Gajos** utył nieco i zupełnie zmienił emploi aktorskie, podobnie **Roman Wilhelmi i Włodzimierz Press** (ten ostatni nie utył). Ale stworzone przez nich postacie ożywiają nadal dziecięcą wyobraźnię. No i dobrze. Wiele było wydziwiań na ten serial, ale dziś, po latach, można stwierdzić, że jest to zupełnie dobry film. A że upraszcza i mitologizuje! — mój Boże, toż to dobre prawo serialu przygodowego.

Tak więc i tym razem telewizja wyszła zwycięsko — „Czterej pancerni" oparli się upływowi czasu.

TELEMAN

SPORT

POWRÓT WŁODKA

W sportowych halach, na ringach, boiskach i stadionach dzieje się sporo różnych rzeczy, ale zdecydowanie na plan pierwszy wysuwa się piłka nożna i nasze w tej dyscyplinie międzynarodowe zmagania. A więc rywalizacja wrocławskiego Śląska i krakowskiej Wisły w pucharowych rozgrywkach no i oczywiście los polskiej reprezentacji w „naszej" grupie, gdzie jak wiadomo partnerami są piłkarze Cypru, Danii i Portugalii.

Najpierw więc Duńczycy spotkali się z drużyną Cypru, z którą — jak wiadomo — wygrali 5:0. Mecz ten wszyscy kibice oglądali z dużym zainteresowaniem, choć każdy zdawał sobie sprawę, że zdecydowanymi faworytami są Duńczycy, którzy już uprzednio pokonali drużynę Cypru 5:1. Chodziło jednak nam wszystkim o Duńczyków, kibic chciał poznać styl i piłkarskie możliwości najgroźniejszego przeciwnika w „naszej" grupie eliminacyjnej.

Po pierwszej połowie meczu mogło wydawać się, że Duńczycy zawiedli, że mecz zakończy się niskim wynikiem, że dopiero w drugiej połowie zawodnicy Danii zdołają przełamać obronę Cypryjczyków. Stało się tak rzeczywiście, ale też w tej drugiej połowie Duńczycy strzelili aż 5 bramek, w tym dwie z karnego. Czy był to wynik określonej taktyki tej drużyny? Czy chodziło o to, aby zmęczyć przeciwnika w pierwszej połowie i „rozłożyć" w drugiej? Czy też po prostu w drużynie zmontowanej z dużych piłkarskich indywidualności zabrakło skuteczności tam, gdzie potrzeba było większego zgrania, lepszego rozumienia się zawodników, pewnego doświadczenia w rozgrywaniu zespołowych akcji przez solistów?

Wielu sprawozdawców sportowych z wielkim zainteresowaniem oczekiwało na mecz Polska — Cypr, zdając sobie sprawę, że choć na Stadionie Dziesięciolecia nie będzie drużyny Danii, to i tak wszyscy będą ten mecz oglądali pod kątem pojedynku z Duńczykami. Ktoś nawet powiedział, że będzie to korespondencyjny pojedynek: kto więcej strzeli bramek?

Na Stadion Dziesięciolecia, w składzie polskiej reprezentacji wbiegł również Włodzimierz Lubański, którego publiczność serdecznie powitała, skandując: Włodek, Włodek! Przyznam, że byłam też ciekawa powrotu Włodzimierza Lubańskiego, który — jak pamiętam — był kiedyś gwiazdą polskiej reprezentacji. Z przyjemnością stwierdzam, że tym razem pokazał się na boisku doświadczony, mądry piłkarz, który całe swoje umiejętności podporządkował ogólnej taktyce zespołu i w moim przekonaniu rozegrał bardzo dobry mecz. A to, że akurat nie on strzelił bramkę, to już po prostu drobnostka.

Ktoś napisał przed meczem z Cyprem, że w ogóle zbytnio się tym meczem przejmowano, że za solidnie przygotowywano, bo mecz ten musi być wygrany i gdyby było inaczej, to lepiej już więcej do eliminacyjnych rozgrywek nie stawać. Nie byłabym tego taka pewna.

Bardzo mi się podobało to, że polska drużyna grała do końca tak, jakby ciągle jeszcze wynik nie był pewien, choć już było 5:0, a więc przynajmniej remis w korespondencyjnym pojedynku z Duńczykami. Ale była też gra zespołowa, widać było myśl w tej grze i choć zdarzały się drobne nieporozumienia i takie czy inne niedoróbki, to nie ma już powodów do obaw. Jeszcze nie tak dawno nie było drużyny polskiej i oto znów mamy drużynę. Co więcej jest to taka drużyna, w której można zmieniać składy, nie grając bezustannie tymi samymi zawodnikami, można w trakcie meczu wprowadzać nowych, gdyby była tego potrzeba. I akurat choroba Grzegorza Lato na dobre wyszła polskiemu zespołowi, pokazując, że i inni potrafią strzelać gole, jeśli nie muszą grać na coraz mniej skutecznego gwiazdora.

Po każdym ogłoszeniu polskiego składu, kibice, których latami przyzwyczajano do statyczności i niezmienności, reagują obawami i niepokojem. A tu okazuje się, że Jacek Gmoch wie co robi. Nawet Henryk Kasperczak ustawiony na tak nietypowej dla siebie pozycji spisuje się znakomicie i nieustannie zasługuje na pochwały. Z przyjemnością zauważam, że z meczu na mecz coraz lepiej w reprezentacji spisują się Stanisław Terlecki i Zbigniew Boniek, a i Kazimierz Deyna wydaje się powrócił do dawnej formy.

Wszystko to bardzo pięknie, ale jeszcze bez nadmiernego optymizmu patrzmy w przyszłość. Aby „nasza" grupa stała się naszą, potrzeba wiele jeszcze pracy.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH (2)

Rys. J. Szymański — Glanc

— Dość — mówi cicho Anna.

— ... i zdążyłam jeszcze zauważyć — czyta dalej chłopak — jak Kacperak bije w tę krew, a potem sędzia odesłał go do rogu i podniósł do góry rękę Jurka, ale tego już nie widziałam, ktoś wyniósł mnie z hali do szatni, położył na twardej, skórzanej otomanie... lekarz, krople... i zaraz było wszystko dobrze...

— Dość! — powtarza Anna. Wstaje od biurka gasząc papierosa na oszklonym blacie, bo w popielniczce nie ma już miejsca.

— ... przyszedł Jurek — rozbity, pokrwawiony, szczęśliwy, MISTRZ POLSKI, mówił, że przecież nic się nie stało, tylko łuk brwiowy, bagatela, ale we mnie coś pękło, nagle i ostatecznie, bo to nie była krew mojego męża, to już była krew ojca mojego dziecka, krew wiążąca nas troje, trwale, nieodwracalnie. Nigdy dotąd nie widziałam Jurka na ringu.

— Melodramat z tego zrobiłeś — mówi Anna.

— Wprost przeciwnie. Napisałem to z odrobiną talentu. Tak jak nigdy nie napisze żaden sportowy dziennikarz.

Składa papier i w tym momencie Anna rzuca się na niego, wyszarpuje mu papier z rąk, rozdziera, unosząc ręce nad głową. Chłopak też unosi ręce, walcząc o swoje notatki, które strzępami opadają na podłogę. A potem, wiedząc, że nie ma już o co walczyć, przytula nagle kobietę do piersi, i jest chwila ciszy, bezruchu, milczenia.

Rumbę grają w egzotycznym mieście. Jest to muzyka dyskretna, cieknąca z jakiegoś niewidocznego radioodbiornika. W takt tej muzyki, w brunatnym pyle placu, obok wysokiej palmy i najeżonych kolcami kaktusów, Pokiereszowana Twarz, otoczona kordonem ludzi w olimpijskich dresach, naciąga na siebie kolejno: podkoszulkę, sweter, drugi sweter, trzeci sweter, czwarty sweter, a w końcu, przy pomocy Spłaszczonego Nosa, gumowy, granatowy skafander, i nim bierze skakankę do rąk, już zaczyna się pocić.

Gabinet Anny. Siedzą naprzeciw siebie przedzieleni biurkiem. Palą.

Ona, patrząc na zegarek. (15,45): — Jeszcze tylko dwanaście godzin.

On, chowając do kieszeni długopis: — Jeszcze tylko trzy pytania.

Ona: — Prywatnie czy do druku?

On: — Do druku. Czy wasz syn będzie oglądał finały?

— Nie. Jest u babki i o dziesiątej położą go spać. Ale jeśli jutro powtórzą walkę z telerekordingu...

— No, tak. To będzie dopiero około czwartej nad ranem. Ale ty dotrwasz. Więc jak sądzisz: złoto czy srebro?

— Prywatnie czy do druku?

— Do druku. Przecież muszę z czegoś żyć.

— Więc ZŁOTO. Żona boksera nie ma prawa wątpić w obecności reporterów.

— A w obecności dobrych, starych, wypróbowanych kumpli? Tak prywatnie?...

— Bo ja wiem?... — Głos Anny wpada w cichy, szemrzący, beznamiętny monolog: — To był pechowy rok. Najprzód śmierć mojej siostry, później Waldek złamał rękę, trzeba było nastawiać operacyjnie, pod narkozą; jeszcze później ja zawędrowałam do szpitala i lekarz dziwił się: „dwadzieścia pięć lat i już stenokardia; trzeba rzucić palenie, żadnych wzruszeń". Wreszcie ten rozwalony samochód, z którego WYSZEDŁ cudem, te dwie blizny... No... i on nie ma już tego ciosu co w Tokio. Tej kondycji i szybkości. I konkurencja jest silniejsza. I sędziowie są dziwni. Boks siłowy kochają... Ale, czy ja wiem... Może na zakończenie kariery...

— Właśnie! Miałem cię o to zapytać.

— O co?

— Czy to zakończenie... no... cieszysz się?...

Rumbę grają w egzotycznym mieście. Głośniejsza już ta rumba, rytmiczniejsza, namolna, podzwaniająca marakasami, kastanietami, czynelami, tamburynami. Pokiereszowana Twarz opływa strugami potu, nogi krzyżując się co trzeci raz w kolanach — migają ponad sznurem skakanki. Mała grupka ludzi, nie tylko Polaków, śledzi te poczynania z chłodną uwagą. Wzrok jakiegoś gościa w tropikalnym ubraniu zderza się ze wzrokiem faceta o hiszpańskich rysach: obłe cygaro w kąciku ust; wąsik, panama. W chwili, kiedy Pokiereszowana Twarz kuca na ziemi, jakby chciał oddać stolec i na podobieństwo ryby łowi powietrze, walcząc o każdy oddech — ten z cygarem odwraca się plecami i odchodzi: tuman rdzawego kurzu spod nóg.

Rumba. Kilka decybeli więcej. Marakasy, kastaniety, czynele...

Gabinet Anny. Dwie twarze, dwa papierosy.

On: — Nie dasz się namówić?

Ona: — Nie.

— Nie będę cię podrywał...

— Och, podrywał... Nie o to chodzi... Idź już, Robert...

Chłopak wstaje. Jest teraz poważny, zatroskany, sympatyczny. — Dentysta po skończonym, bolesnym zabiegu, którego musiał, chcąc nie chcąc, dokonać. Całuje Annę w rękę.

— Do widzenia. Nie muszę chyba mówić, jak bardzo podzielam twoje nadzieje. Jak bardzo dzielą je wszyscy Polacy...

Rusza do wyjścia. Zawraca i, bez słowa, otwiera okno na ulicę, gdyż w pokoju jest czarno od dymu.

Potem wyrzuca jeszcze do kosza z blaszanej popielniczki. Cicho zamyka za sobą drzwi.

Anna wstaje zza biurka. Zamyślona, otwiera drugie okno, na sad — na widok przejrzałych drzew, na gwar rozmów z dworu, pisk opon, grzechot tramwajów.

Wraca za biurko, podnosząc z ziemi strzep papieru. Siedząc, wlepia oczy w ten strzęp papieru, odruchowo wyciągając z paczki papierosa. I nagle, choć nie ma nikogo w pokoju, znowu słyszy wymodulowany, ironiczny głos chłopaka: — Boks był dla Jerzego pasją życia. Więc był i moją pasją. Ale był także moim przekleństwem. Przez dwa tygodnie turnieju olimpijskiego straciłam sześć kilogramów żywej wagi i do cna stargałam nerwy, odmierzając czas nocami bezsennych oczekiwań. To nieprawda, że śledziłam turniej w telewizji. Nawet jak powtarzali z telerekordingu zwycięską walkę Jerzego z Kaidinem, siedziałam w drugim pokoju z kołdrą na głowie, żeby nic nie słyszeć i słyszałem tylko łomot serca. Nie umiałam także patrzeć na walki innych Polaków. Grudniowa umie — ja nie! Szlag! W ciągu ośmiu lat naszego małżeństwa tylko raz wyjechaliśmy razem na wczasy, które urwały się zresztą po sześciu dniach, gdyż Jerzy został wezwany na zgrupowanie. Dom był dla niego jak hotel. Na pół roku przed olimpiadą zupełnie się wyprowadził i wpadał tylko raz w miesiącu, na dwie-trzy godziny, po zmianę bielizny, żeby się z nami przywitać i pożegnać. Walka z cieniem. Długie, nie kończące się pasmo wyrzeczeń. Nie pamiętam, kiedy byliśmy razem w kinie, na obiedzie u rodziców, z dzieckiem w parku. Nie pamiętam kiedy... przecież ja jestem w końcu atrakcyjną kobietą, i wie pan co?... Nie ma mowy, żebym mogła wyjść wieczorem z domu, bo on jest strasznie zazdrosny i gdzie by nie był, ma nawyk, żeby wieczorami dzwonić — z Centniewa, z Rzymu, z Japonii. Jeśli broń Boże nie podniosę słuchawki, Juruś zaczyna się zadręczać, a to — jak mówią trenerzy: Sztam, Szydło, pięciu innych — bije mu na formę, na wynik. Więc siedzę w tym cholernym domu... pucuję gary, froteruję podłogi, ścieram kurze, kliniczna czystość, byle coś robić, z nudów. Kropli wódki wypić nie wolno, bo mogłaby przecież poczuć teściowa. Wódka u nas, to album pornograficznych zdjęć w kościele...

Anna wybucha nagle zdrowym, radosnym, dziewczynkowatym śmiechem.

Zbiera resztę strzępów z podłogi, drze, kładzie na blaszanej popielniczce, podpala gazową zapalniczką z pięcioma wygrawerowanymi olimpijskimi kółeczkami.

Rosną nagle te kółeczka, wielkie się robią, i widzimy znowu egzotyczne miasto. Znowu rumba — odrobinę głośniejsza, namolniejsza: marakasy, kastaniety, czynele. Zgraja młodych, gibkich chłopców kołysze się w biodrach, na placu pomiędzy drapaczami chmur i nagle przestaje się kołysać, przestaje tańczyć, gdyż ze sportowego, niskiego, czerwonego, opatrzonego olimpijskim godłem forda-mustanga wysiada czterech Murzynów i jeden z nich ma na sobie zjadliwo zielony szlafrok zamiast tropikalnego wdzianka, i na tym szlafroku pisze JACK PANADERO; szczerzy białe zęby, podnosi w górę dwie zaciśnięte pięści na użytek licznych fotoreporterów. Trzask aparatów, trochę wrzawy i ta rumba: kastaniety, marakasy...

A potem gabinet Anny i inna, nostalgiczna, prowadzona przez fortepian melodia.

Anna chowa do szuflady dokumenty i włącza telefon. W chwili, kiedy zamyka okno, rozlega się dzwonek. Podnosi słuchawkę, zapalając drugą ręką papierosa.

— Tak? — Jej twarz jest teraz samym znużeniem.

— Ania? — trzeszczy w membranie kobiecy głos.

— Nie — mówi Anna. — Pomyłka!

Odkłada słuchawkę i telefon znowu dzwoni, więc wychodzi szybko z pokoju zapinając po drodze płaszcz. Prześlizguje się chyłkiem na ulicę, obok portiera zaczytanego w sportowej gazecie. Wsiąka w tłum, który drży przeczuciem nadciągających emocji. Spacerujące dostojnie po chodniku gołębie niechętnie ustępują miejsca ludziom. Nim dociera do Marszałkowskiej, kilkanaście razy słyszy swoje nazwisko: KIDAS—SZEWIŃSKA—GRUDZIEŃ, GRUDZIEŃ—KIDAS—SZEWIŃSKA!

Przy tramwajowej zwrotnicy, w kurzu poszarzałej trawy, wysmotruchani chłopcy skaczą jeden przez drugiego w dal, wzwyż, ciskają kostropatymi kamieniami, naśladując pchnięcie kulą, rzut dyskiem. Dwóch walczy na pięści i ten wyższy, rozogniony na twarzy, waląc z góry zamaszystymi cepami i sam sobie komentując przebieg wydarzeń: Kidasz, prosze pajsztwa, Kidasz!" — chce zdaje się pokazać, jak łatwo Anny mąż rozprawi się najbliższej nocy ze swoim czarnoskórym przeciwnikiem. Anna podbiega i próbuje ich rodzielić, ale powstrzymuje ją człowiek w konduktorskim uniformie.

— Nic sobie nie zrobią, proszę pani — mówi i zaczyna się śmiać.

Anna patrzy w te szczere, życzliwe, dobre, rozumne konduktorskie oczy i też zaczyna się śmiać — nasamprzód cicho, później głośno, aż się za nią oglądają ludzie i kiedy skręca w szeroką ulicę zachodzącego słońca, wciąż jeszcze dusi ją śmiech, a towarzysząca temu, nostalgiczna, prowadzona przez fortepian melodyjka, ciągnie ją poprzez mrowiące się ożywionym tłumem chodniki w jakimś nieznanym kierunku.

W egzotycznym mieście to samo słońce osiągnęło dopiero jedną trzecią nieboskłonu. Rumba dzwoni teraz dużo silniej! kastaniety, marakasy, czynele... Stadion ogromny, stutysięczny, pokazuje kamera z góry. Bieżnia wokół zielonej murawy, drobne sylwetki biegaczy. Najazd na twarz długodystansowca, który zdąża samotnie do mety, wychudzony i brudny, jak przenajświętsze biedaczysko z Asyżu. Najazd na twarze kibiców, którzy, siedząc, uczestniczą przecież w tym wysiłku — zaciskają ręce na ławach, zagryzają wargi, dyszą. Pokiereszowana Twarz, otoczona potrójnym pierścieniem dresów z napisem POLSKA, podchodzi niechętnie, poważnie, wolno, do mikrofonu, a ten, co trzyma mikrofon, słusznego wzrostu radiowiec, dość poufale klepie Pokiereszowaną Twarz po ramieniu, nie zadając póki co żadnych pytań.

Warszawa. Nostalgiczna, prowadzona przez fortepian melodyjka. Anna, już bez uśmiechu, zadumana, wlecze się pod ścianą ulicy: co i raz, dla zabicia czasu, ogląda jakąś wystawę. Nie ma, rzecz jasna, pojęcia, że w odległości kilkunastu metrów podąża za nią chyłkiem chłopak w kraciastej marynarce i rozchełstanej pod szyją koszuli.

Ona przystaje — on przystaje.

Ona rusza — on rusza.

Ponad głowami tłumu trzyma ją na muszce jak rasowy szpicel.

Anna ginie w drzwiach narożnej kawiarni.

Chłopak wyciąga z kieszeni kilka zapełnionych nerwowym, nieczytelnym pismem karteluszków i, patrząc na zegarek, notuje: 19.05. Potem idzie zdecydowanym krokiem w stronę kawiarni, z której cieknie właśnie ta nostalgiczna, prowadzona przez fortepian melodia, i zderza się nagle w drzwiach z trzydziestoparoletnim, długowłosym playboyem.

— Szufla! — mówi radośnie playboy. Podają sobie ręce. — Z nieba mi spadłeś.

— Co jest?

— Dwie damy — cmoka playboy w palce. — Inteligentne, elokwentne, lewoskrętne.

— Nie mam...

— Masz, masz! — Chwyta chłopaka pod pachę i ciągnie, znowu cmokając w palce: — Mieszkanko, trzy tapczaniska, pół indyka w lodówce, cztery flachy. Popijemy, pogadamy, popalimy, pokochamy, a później obejrzymy sobie boks...,

— Nie — chłopak oswabadza ramię.

— Żartujesz? — Playboy wcale nie udaje zdziwienia. — Chory jesteś? — I nagle w jego oczach pojawia się cień zrozumienia: — Masz coś na rozkładzie? Ty, nie ma sprawy! Weźmiemy Mopsa i zrobimy kocioł w szóstkę.

— Kiedy indziej — śmieje się chłopak i klepiąc lekko playboya w plecy, wchodzi do kawiarni.

Playboy wzrusza ramionami i, pełen pogardy, odpływa z tłumem. W chwilę później zawraca i przystawia zaciekawioną twarz do kawiarnianego okna. I widzi przez szybę, jak chłopak w kraciastej marynarce pochyla się nad stolikiem, przy którym, paląc, siedzi Anna — zrazu pochmurna i odęta, po dłuższej chwili — uśmiechnięta, wpatrzona w poruszające się bezgłośnie usta chłopaka, w jego zmrużone, z lekka bezczelne oczy, w jego obnażony tors, w biodra spięte modnym, szerokim pasem... Playboy najwyraźniej docenia klasę dziewczyny; potrząsa głową, zwinnym jaszczurczym językiem zwilża wargi.

Kamera chwyta parę z innego kąta, tak, że oprócz Anny i chłopaka, który siedzi już przy stoliku, widać również małe podium dla orkiestry. Taper o posiwiałych skroniach i uduchowionych, nieobecnych oczach gra z uczuciem tę nostalgiczną melodyjkę, dwie kelnerki stoją bezczynnie przy bufecie, szatniarz, bezrobotny w ten pogodny wieczór, pochyla się nad tranzystorem, z którego słychać strzęp wywiadu: PROSZĘ PAŃSTWA — mówi podrasowanym, zawodowo optymistycznym głosem sprawozdawca sportowy — MAMY przed mikrofonem Jerzego Kidasa. No, co, panie Jurku? Jak samopoczucie?...

Anna spręża się, jakby chciała podskoczyć do radia, ono zaś emituje zażenowaną, refleksyjnie brzmiącą odpowiedź:

— Dobrze.

— Denerwuje się pan?

— Trochę.

— To normalne — rozpędza się spiker. — Wszyscy się denerwujemy: tu, za wielką wodą i tam, w kraju, gdzie czeka na pańską walkę kilkanaście milionów Polaków. Niech pan zespoli się z nimi w nadziejach. I niech pan powie nam, tak cichutko: ZŁOTO czy SREBRO?

Stadion w egzotycznym mieście. Wywiad spikera z Pokiereszowaną Twarzą toczy się za barierą obok bieżni. Słychać oczywiście rumbę: marakasy, kastaniety. Stanowisko radiowca otacza grupa mężczyzn w olimpijskich dresach z napisem POLSKA. Pokiereszowana Twarz odpowiada:

— Srebro już jest...

— No właśnie — podpowiada mu spiker. — Żeby zdobyć srebro, nie musi pan nawet wychodzić na ring. A przecież pan wyjdzie. Żeby wygrać!

(c.d.n.)

„SUPLEMENT"

Wielbicielom twórczości Stanisława Lema ani postać Ijona Tichego, ani pilota Pirxa nie są obce. Z obydwoma tymi bohaterami można się spotkać jeszcze raz, a przy okazji uzupełnić swoje zbiory dzieł wybranych tego popularnego pisarza. Wydawnictwo Literackie, które, ku zadowoleniu miłośników literatury fantastyczno-naukowej, patronowało serii „Dzieł wybranych" Stanisława Lema, opublikowało tom zatytułowany „Suplement". Tytuł tłumaczy się logicznie, bo też „Suplement" obejmuje utwory pochodzące ze zbiorów „Dzienniki gwiazdowe", „Cyberiada" i „Opowieści o pilocie Pirxie", które Stanisław Lem napisał po ukazaniu się wymienionych książek w „Dziełach".

Ze zbioru „Dzienniki gwiazdowe" zamieszczono w „Suplemencie" trzy podróże Ijona Tichego — osiemnasta, dwudziesta i dwudziesta pierwsza. Z tomu „Opowieści o pilocie Pirxie" pochodzi opowiadanie „Ananke" jedna z najciekawszych przygód Pirxa, wreszcie z „Cyberiady" opowieść o próbie stworzenia przez konstruktora Trurla „Kontemplatora Bytu Szczęsnego", opowieść noszącą tytuł „Kobyszcze".

„Suplement" ukazał się już jako dwudziesty pierwszy tom serii „Dzieł wybranych" Stanisława Lema.

Stanisław Lem „Suplement", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 208, cena zł 35.

„WIELKIE WYGRANE"

Julio Cortazar, jeden z najwybitniejszych współczesnych prozaików, należy do tej grupy pisarzy, których twórczość kojarzy się z tzw. „boomem iberoamerykańskim". Cortazar od wielu lat mieszka w Paryżu i ten fakt znajduje również odbicie w jego twórczości, określanej jako harmonijna symbioza europejskich kierunków artystycznych z argentyńskim podłożem. Za zjawisko przełomowe w prozie iberoamerykańskiej została uznana „Gra w klasy", powieść Cortazara która ukazała się w roku 1963. „Gra w klasy" to typ powieści „otwartej", w odbiorze której autor zakłada aktywny udział czytelnika. Od niego bowiem, od sposobu, w jaki będzie ją czytał, zależy jej ostateczny kształt i wymowa.

Ostatnio ukazała się w polskim przekładzie pierwsza, pochodząca z 1958 roku, powieść Julio Cortazara „Wielkie wygrane", nosząca już jednak wyraźne znamiona jego późniejszych poszukiwań nowych rozwiązań twórczych. Fabuła jest bardzo prosta, bowiem „Wielkie wygrane" to powieść o rejsie na statku pasażerskim, rejsie, który właśnie jest tytułową wielką wygraną w loterii zorganizowanej dla mieszkańców Buenos Aires. A jednak i ta prosta i realistyczna historia przedstawiona przez Cortazara, daje się odczytywać w sposób wieloznaczny. Mistrz podtekstów i niedomówień, jak często określa się Cortazara i tym razem proponuje czytelnikom lekturę, która zmusza do refleksji nad ludzkimi postawami. Skupiając swoich bohaterów na statku, stwarzając niecodzienną sytuację, zmusza ich do określenia swoich poglądów, do podjęcia decyzji, do wyboru postępowania. Ten swoisty test wypada tym ciekawiej, że bohaterowie „Wielkich wygranych" — to galeria postaci wielce interesujących.

Powieść ta ukazała się w czytelnikowskiej serii „Nike".

Julio Cortazar „Wielkie wygrane", przełożyła Z. Chadzyńska, Czytelnik, W-wa 1976, str. 588, cena zł 37.

NAUKA I GOSPODARKA

W roku 1973 — Roku Nauki Polskiej — Tadeusz Podwysocki, dziennikarz znany z łamów „Życia i Nowoczesności" oraz dr Bronisław Dostatni, pracownik naukowy Instytutu Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego, zaczęli badać zjawiska zachodzące „na styku" nauki i gospodarki w konkretnych dziedzinach działalności naukowej i gospodarczej. W tym celu autorzy zebrali obserwacje w ponad 40 placówkach naukowych i 100 różnorakich przedsiębiorstwach i organizacjach gospodarczych, przeprowadzili około 200 rozmów i wywiadów z osobami zajmującymi się badaniami naukowymi i ich gospodarczym zastosowaniem. W efekcie powstała książka, która może pod niezbyt atrakcyjnym tytułem: „Nauka gospodarce narodowej" kryje wielce ciekawe treści, jako że temat interesuje w tej chwili nie tylko ekonomistów i działaczy gospodarczych, ale i przeciętnego zjadacza chleba, któremu dalszy rozwój gospodarczy kraju nie jest obojętny. A że rozwój ten nie może się obyć bez ścisłej współpracy z nauką i bez nieustannego jej rozwoju, nikomu przecież udowadniać nie potrzeba.

Autorzy potraktowali swoją pracę w sposób możliwie szeroki. Wychodząc od takich zagadnień, jak: polityka naukowa i jej przemiany, miejsce nauki w rozwoju społeczno-gospodarczym kraju, nauka i edukacja w obliczu przyszłości gospodarki naukowej, omawiają w dalszych partiach książki następujące problemy: nauka dla przemysłu, nauka dla rozwoju społeczeństwa, nauka dla rolnictwa, transport i wreszcie nauka w trosce o środowisko człowieka.

W sumie jest to niezwykle pożyteczna i interesująca pozycja. Szkoda tylko, że do jej poziomu nie dorównali drukarze z Zakładów Graficznych w Katowicach. W naszym egzemplarzu brakuje kilkunastu stron.

Bronisław Dostatni, Tadeusz Podwysocki „Nauka gospodarce narodowej", Państwowe Wydawnictwo Naukowe, W-wa 1976, str. 359, cena zł 45.

„WIĘCEJ PAŃ NIŻ PANÓW"

Może się zdarzyć, że niektórzy czytelnicy sięgający po książkę zmarłej w roku 1969 angielskiej powieściopisarki, Ivy Compton—Burnett „Więcej pań niż panów", odłożą ją po przeczytaniu zaledwie pierwszych stron powieści. I choć Angus Wilson nazwał Compton—Burnett „nowoczesną w najnowszym tego słowa znaczeniu", niecierpliwy czytelnik może przecież sądzić, że trafił na książkę staroświecką o napuszonym stylu, wreszcie nieciekawą. Nic bardziej błędnego. Rzeczywiście Ivy Compton—Burnett osadzała swoje powieści, a napisała ich równo dwadzieścia, w epoce późnowiktoriańskiej, rzeczywiście jej bohaterowie posługują się dialogami sztucznie stylizowanymi, mogącymi dzisiaj drażnić, bo przecież nikt tak nie rozmawia, ale jeśli już czytelnik zgodzi się na konwencję zaproponowaną przez pisarkę, to wówczas może się łatwo przekonać, ileż trafnych obserwacji, ileż prawdy o człowieku, o jego pieczołowicie skrywanej prawdziwej naturze zawiera powieść.

Każda z powieści Compton—Burnett to właściwie ciąg dialogów bardzo rzadko przerywany krótkim opisem. Posługując się taką techniką autorka przekazuje jednak mnóstwo wiadomości o swoich bohaterach, pozornie tylko układnych i beznamiętnych, w rzeczywistości twardo, brutalnie i przy pomocy wszelkich środków walczących o miłość, władzę, swoje interesy. W powieściach tej angielskiej pisarki przedstawiona jest zawsze niewielka grupa bohaterów najczęściej połączonych więzami rodzinnymi. W powieści „Więcej pań niż panów" bohaterów łączy wspólny zawód, pracują w prywatnej szkole dla dziewcząt, w której przełożoną jest Józefina Napier. I choć to właśnie jej portret jest tutaj najbardziej wyrazisty, jest to bowiem portret bezwzględnego i okrutnego tyrana, to przecież i pozostali bohaterowie zasługują na uwagę, motywy ich postępowania składają się na interesujące studium o psychice człowieka.

„Więcej pań niż panów" to ponura książka nie tylko dlatego, że postępowanie Józefiny prowadzi w końcu do tragedii, nie tylko, że nie ponosi ona za to kary, ale przede wszystkim dlatego, że autorka bezwzględnie odsłania najczarniejsze cechy charakteru ludzkiego. Fałsz, obłuda, zimne wyrachowanie, kłamstwo — to oręż, jakim posługują się bohaterowie w codziennej walce z najbliższymi. Nie można pozostać obojętnym na tę powieść Ivy Compton—Burnett, zmusza ona do — niestety — niewesołych refleksji.

Ivy Compton—Burnett „Więcej pań niż panów", tłumaczyła: B. Bałutowa, Czytelnik, W-wa 1976, str. 397, cena 38 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

Herve Bazin „Świat się kończy...", Czytelnik, cena zł 32,
Max Frisch „Stiller", Czytelnik, cena zł 45,
Tadeusz Hołuj „Osoba", Czytelnik, cena zł 28,
Anna Łajming „Od dziś do jutra" Wyd. Morskie, cena zł 35,
Ola Obarska „Rozdawałam zwycięzcom kwiaty. Wspomnienia aktorki", MON, cena zł 20,
„Poezja Młodej Polski". Wybrał, wstępem i notami biograficznymi poprzedził Mieczysław Jastrun. WL, cena zł 50,
William Shakespeare „Stracone zachody miłości", PIW, cena zł 25,
Wisława Szymborska „Wielka liczba", Czytelnik, cena zł 17.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

IMIONA ULIC

Chyba piętnaście lat temu opublikowałem w „Polityce" felieton pod takim tytułem. Zawsze bowiem uważałem, że imiona ulic to sprawa niesłychanie ważna. Nazwiska na ulicznych tabliczkach trwalej zapadają w pamięć niż wyryte w granicie na tablicach pamiątkowych. Dlatego ludzi zasłużonych i godnych należy czcić nie tylko tablicami na domach, gdzie żyli, ale przede wszystkim na tablicach ulicznych, aby silniej wpisali się oni w pamięć przyszłych pokoleń.

Ileż to razy dopominałem się o ulicę **Witolda Wandurskiego** — pisarza, którego postać dla kultury Łodzi jest tak znacząca. Ma już dziś Wandurski swoją ulicę i chwała Radzie Narodowej. Ale pamiętam, że całe lata wołałem też o ulicę **Zygmunta Bartkiewicza** — autora „Złego miasta". Do dziś Bartkiwicz nie ma w Łodzi ulicy. W każdym razie nie ma takiej ulicy na najnowszym planie miasta, wydanym w 1976 roku.

Miałem więc nadzieję, że może jednak... Wszak niedawno nadano nowe nazwy nowym łódzkim ulicom. Niestety.

Za to dowiedziałem się, że „dotychczasową Kwiatową na odcinku od Aleksandrowskiej do Łanowej przemianowano na Bielicową". Teoretycznie słusznie, bo Kwiatowa istnieje na Złotnie od lat. Natomiast ten odcinek, o którym wyżej — nazywał się ostatnio... ulicą Ładną. Czemu ładną Ładną przemianowano na Bielicową — nie wiadomo. Nawiasem mówiąc ludzie i tak mówili na ten kawałek ulicy — Kwiatowa.

Już tylko ten przykład świadczy, że nazewnictwo ulic nie jest sprawą łatwą.

Przed laty pięciu pisałem: **„Szukałem na planie Łodzi. Pod „B" znalazłem m. in. Bułgarską i Białoruską — Bartkiewicza nie było. Pod „S" znalazłem m. in. Strzeleckiego (?) — Strzemińskiego nie było. Pod „W" znalazłem m. in. Wazów — Wandurskiego nie było. Pod „G" znalazłem apetyczny zestaw obiadowy w postaci Grochowej, Grzybowej, Gryczanej — Gliszczyńskiego nie było. A przecież wszyscy oni byli właśnie tu, w tym mieście, tu pisali, tu tworzyli. Wnieśli ogromnie dużo w tradycję i kulturę Łodzi. Należy im się nasza pamięć, należy uhonorowanie w postaci nowych ulic w nowych osiedlach".**

Pisałem to pięć lat temu. Wymieniłem wówczas — przykładowo — cztery nazwiska. Dziś zarówno Strzemiński jak i Wandurski mają swoje ulice. Nie śmiem przypuszczać, że jest w tym choćby cząstka mojego natręctwa na temat imion ulic. Ale nigdy nie zaszkodzi wiercić dziurę z brzuchu wysokiej komisji od nazewnictwa.

Więc raz jeszcze. **Dlaczego nie ma swojej ulicy pierwszy poeta, piewca robotniczej Łodzi? Autor głośnych wierszy „Z mroków i dymów", mówiący o trudzie łódzkiego robotnika? Czy nikt w komisji o tym nie słyszał? Niech więc przeczyta książkę dr Heleny Karwackiej, książkę o łódzkim poecie, wydaną w łódzkiej oficynie, napisaną przez łódzkiego naukowca.**

Fakt, że Artur Gliszczyński od trzydziestu lat nie może się doczekać w Łodzi ulicy swojego imienia, jest po prostu skandalem. Nie ma na to innego określenia i następny felieton w tej sprawie opublikuję już w prasie pozałódzkiej, która jest widać chętniej czytana niż lokalna.

Podobnie rzecz się ma z Zygmuntem Bartkiewiczem. Jego „Złe miasto" jest obrazem Łodzi z początków wieku i była to książka na owe czasy bardzo odkrywcza. Już tylko dla walorów poznawczych pisarstwa Bartkiewicza i symboliki jego książki, które wlecze się przez dzieje, należy się temu pisarzowi nasza pamięć.

A tu cóż! Jakąś ulicę nazwano... Alpejską. Fiołki alpejskie, psia krew!

Na koniec jednak mój ukłon w stronę Komisji. Jedną z ulic nazwano imieniem **Jana Augustyniaka**, człowieka, który dla rozwoju bibliotek i czytelnictwa w Łodzi zrobił ogromnie dużo. Wreszcie swoją ulicę otrzymał także **Julian Marchlewski**. Tak, tak — ten rewolucjonista i uczony nie miał w Łodzi dotąd ulicy. Też zresztą pisałem o tym przed laty.

A więc idzie ku lepszemu. Nie mam nic przeciwko nazywaniu łódzkich ulic imionami wielkich ludzi z całego świata. Tu komisja pracuje — rzec można — bezusterkowo. Ale warto też pamiętać o tradycji i historii, która działa się tutaj, w tych murach i na tych ulicach. Nawet trzeba.

WIDOK

LEWYM OKIEM

WYŁĄCZNIK NIE PRZEWLECZONY

Krążył kiedyś wśród ludzi taki dowcip, rodem zdaje się z któregoś z programów „Syreny", że zapałki powinny się nazywać „Jubileuszowe", bo zapala się co dziesiąta. Dowcip ten był konsekwencją powszechnego wówczas zjawiska złej jakości zapałek, być może też, że zdopingował poważną prasę do zajęcia się tą sprawą; ukazał się — nie pamiętam już, w którym piśmie — duży, zasadniczy artykuł, potem odpowiedź producenta i jeszcze parę artykułów. Dziś temat ten nie jest na szczęście aktualny, zapałki są dobre. Czy prasa coś w tym pomogła, trudno powiedzieć.

Na miano „Jubileuszowych" natomiast z analogicznych powodów zasługują ostatnio zwyczajne gwoździe. To już nie są gwoździe do wbijania w drzewo. W masło wchodzą bez oporu, ale kto by wbijał gwoździe w masło? A spróbujcie przybić nimi najgłupszą listewkę z najmiększej sośniny. Żeby nie wiem co, skrzywi się taki drań przy pierwszym uderzeniu. Przy drugim skrzywi się w drugą stronę jak paragraf. Przy próbie wyciągnięcia urwie się po prostu, zupełnie jak nitka — nie, jak nieboprzęd. Dwanaście takich pokręconych potworków leży na stołku, zanim wreszcie trzynasty wszedł w drzewo aż do łebka. Ale i ten nie załatwił sprawy, listewka się nie trzyma, gwoździk musiał się pogiąć gdzieś w środku. Rzucamy więc listewką o ścianę, młotkiem o podłogę, rezygnujemy z majsterkowania, które miało podnieść nasz prestiż w oczach domowników. Przykro.

Może uratujemy resztkę twarzy, doprowadzając nareszcie do stanu używalności efektowną lampę stojącą? Potrzeba do tego paru najprostszych drobiazgów, których całe stosy widywaliśmy zawsze w sklepach branży elektrycznej. Rozgałęźnik? — nie, nie mamy, odpowiada sprzedawczyni w trzecim już czy w czwartym sklepie. Gniazdko do przedłużacza? — mamy tylko takie. Z dodatkowym bolcem zabezpieczającym, który uniemożliwi korzystanie z normalnej wtyczki. — To proszę wtyczkę do takiego gniazdka! — Nie mamy. Cztery metry przewodu? — Nie mamy. Ojej... No, to wyłącznik przewlekany. — Proszę bardzo. Wracamy z wyłącznikiem, którego nie ma na co nawlec, ani nie ma po co, skoro brak przewodu, gniazdka, wtyczki i rozgałęźnika. Lampa stoi w kącie smutno i nie świeci. Prestiż zaradnego pana domu osiąga dno, z tendencją do dalszego spadania w dół.

Parę dni temu przeczytałem z prawdziwą satysfakcją, że Polskie Koleje Państwowe zwróciły komuś różnicę pomiędzy ceną biletu pośpiesznego i zwykłego, gdyż odnośny pociąg „pośpieszny" spóźnił się i był raczej zwolniony, niż przyśpieszony. Obie gazety łódzkie podały tę wiadomość jako ewenement, bo coś takiego zdarzyło się chyba pierwszy raz. Podano też w trybie pouczenia, jakich formalności należy dokonać, żeby w podobnej sytuacji uzyskać zwrot niesłusznie zapłaconej ceny. Po tym pouczeniu satysfakcja spadła w pobliże zera: formalności te odrealniają całą sprawę, zmuszając pasażera do udowodnienia, że pociąg się spóźnił.

W trzy dni po owym artykule jechałem z Warszawy do Łodzi tym pociągiem pośpiesznym, który z dworca Centralnego w Warszawie powinien odjechać o godz. 16.42, a odjechał o 17.20. Przychodzi on do Warszawy z Suwałk jako pociąg osobowy. W moim przedziale jechał też skromnie ubrany, starszy, spracowany człowiek. Przy sprawdzaniu biletów kontroler zainkasował od niego 148 złotych dopłaty.

Ja nie wiem, czy to było słuszne. Ten człowiek — wyglądający na robotnika leśnego — wsiadł w Sokółce z biletem osobowym i nikt mu nie powiedział, że ten sam pociąg na odcinku Warszawa—Łódź będzie nazywać się pośpiesznym. Był dwukrotnie kontrolowany przed przybyciem do Warszawy i żaden z kontrolerów biletu nie kwestionował. Za co liczyć dopłatę plus jeszcze 100 zł (sto złotych!) kary, zwłaszcza skoro już wiadomo, że pociąg wcale nie jest pośpieszny, że się spóźnił do Łodzi trzy kwadranse!! — że to właśnie PKP powinny zwracać różnicę cen biletów wszystkim pasażerom, zamiast żądać dopłaty z karą od tego jednego nieboraka?

Okazuje się więc, że płaci się za nazwę pociągu, nie za jego cechę pośpieszności. Płaci się także wtedy, kiedy już ewidentnie wiadomo, że cechy tej nie ma. Jak to pogodzić z informacją o możliwości egzekwowania praw pasażera w stosunku do potężnej, a nieugiętej w swych rygorach, instytucji?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

28 PAŹDZIERNIK - TADEUSZA

W czwartek, 28 października 1976 roku, było Tadeusza. Imieniny Tadeusza obchodzi się każdego 28 października i trzeba o tym pamiętać, aby wszystkim znajomym i krewnym Tadeuszom na czas złożyć odpowiednie, szczere i dobre życzenia. Jednakże 28 października 1976 roku imieniny musiał obchodzić maszynista pociągu nr 33002, który z Łodzi Fabrycznej powinien odejść o godzinie 7.00. O godzinie 7.27 pociąg pospieszny nr 33002 powinien już odchodzić z Koluszek w dalszą podróż do Warszawy, do której na Dworzec Centralny powinien dotrzeć o godzinie 8.56. Zgodnie z rozkładem jazdy.

Tadeusze są jednakże ludźmi towarzyskimi, uczynnymi, miłymi i sympatycznymi, toteż mają wielu przyjaciół i kiedy 28 października 1976 roku maszynista pociągu nr 33002 przyszedł na dworzec Łódź-Fabryczna, to koledzy i znajomi tak długo składali mu życzenia, aż pociąg ruszył ze swojej stacji wyjściowej z 20-minutowym opóźnieniem. Innego wytłumaczenia tego faktu nie potrafię znaleźć, tym bardziej że urzędnik PKP, a w tym wypadku konduktor pociągu nr 33002, który rankiem 28 października 1976 roku zmierzał do Warszawy, też nie potrafił tego zjawiska wyjaśnić.

W Warszawie na Dworcu Centralnym tego dnia udało mi się słyszeć zadziwiającą wypowiedź panienki, która o wszystkim wszystkich informuje. Otóż ta panienka poinformowała pasażerów jednego z pociągów wychodzących z Warszawy Zachodniej, że pociąg ten przybędzie do Warszawy Centralnej z opóźnieniem około 30 minut, i że to opóźnienie może się zwiększyć lub zmniejszyć. Oba te dworce dzieli odległość 4 km. Czyżby i w tym przypadku obchodzono Tadeusza?

Na liniach PKP opóźnienia powstają z zupełnie niewiadomych przyczyn i mogą się zwiększyć lub zmniejszyć, ale najczęściej się zwiększają. W myśl tej zasady i nasz pociąg nr 33002 w dniu 28 października 1976 roku zwiększył swoje opóźnienie i przybył do Warszawy o godzinie 10.15. PKP w takich przypadkach zwraca dopłatę do biletu pospiesznego. Ale ponieważ umówiony byłem w Warszawie — i to dość daleko od Dworca Centralnego — już na godzinę 9.30, a zatem w chwili wylądowania na Dworcu Centralnym miałem 45 minut opóźnienia z winy PKP, nie pobiegłem więc po adnotację, że pociąg nr 33002 spóźnił się nie z mojej winy, tylko pobiegłem czym prędzej szukać takiego środka lokomocji, który zawiózłby mnie na miejsce możliwie szybko. I w podobny sposób postąpiła większość pasażerów pociągu pospiesznego nr 33002, którzy — jak to powszechnie wiadomo — o tej porze nie jeżdżą do Warszawy dla własnej przyjemności a tylko w celach służbowych.

Opóźnienia pociągów stały się już czymś nagminnym i dziwimy się raczej, jak pociąg przyjdzie o czasie, lub zastanawiamy się, ile też ten pociąg się spóźni, czy tylko 15 minut, czy całą godzinę? Pisanie o tym nie ma już żadnego praktycznie znaczenia, gdyż w PKP czytuje się prawdopodobnie tylko własny organ, w którym wszystko jest cacy, i w którym występują jedynie trudności obiektywne, a więc od PKP niezależne i te trudności wszystkich kolejarzy usprawiedliwiają i rozgrzeszają.

Facet, który wymyślił trudności obiektywne powinien otrzymać nagrodę Nobla. Obawiam się jednak, że będą z tym niejakie trudności, okaże się bowiem, że kandydatów do nagrody Nobla za wymyślenie trudności obiektywnych będzie całe mnóstwo i jeszcze parę osób, które się do nich przyłączyły. Trzeba więc byłoby powołać do życia kilka komisji, które w ciągu kilku lat ustaliłyby niezbicie, że to wszystkiemu winien — powiedzmy — Zenobiusz Kowalski, ale to w żadnym wypadku nie usunęłoby obiektywnych trudności z pracy PKP. Ani też z innych dziedzin naszego życia. Lepiej więc ten czas przeznaczyć na solidną pracę przy przezwyciężaniu wszelkich trudności, a temu co wymyślił obiektywne niech pozostanie tylko świadomość, że należy mu się Nobel. I gratulacje!

Nam natomiast jest potrzebna świadomość szkodliwości zasłaniania się obiektywnymi trudnościami. Skłania nas to bowiem do koncentrowania uwagi na skutkach a nie na przyczynach występujących tu i ówdzie niedomagań. A jak wiadomo usuwanie skutków bez usuwania przyczyn jest pracą syzyfową i zapewniającą zatrudnienie na długie lata. A przecież wcale nie o to chodzi.

Zwracamy ostatnio tyle uwagi na jakość produkcji, na jakość pracy. Problem nie pojawił się wczoraj. Buble w magazynach gromadziły się od dłuższego już czasu. Czy odbywało się to bez wiedzy i kontroli jednostek nadrzędnych? Czy trzeba było dopiero publicznego pytania „dlaczego?", aby załogi tych czy innych fabryk uświadomiły sobie, że jest źle z jakością ich produkcji? Przecież pytanie „dlaczego?" nie narodziło się z penetracji detektywów, a z materiałów oficjalnej polskiej instytucji. Cóż wobec tego robiła ta instytucja, czy czekała aż zastąpi ją kto inny? I pytanie najważniejsze: dlaczego fabrykom opłacało się robić źle, produkować buble? Bez odpowiedzi na to pytanie cała walka o dobrą jakość będzie tylko częściowa, niepełna.

I tu pytanie przez analogię, dlaczego PKP opłaca się bałagan i niedbalstwo? Z Warszawy do Łodzi 28 października 1976 roku też wróciłem z opóźnieniem.

MARCIN RODAK

magazyn

SATYRA RADZIECKA

MICHAIŁ ZOSZCZENKO

HUMORESKI

PSI WĘCH

Kupcowi Jeremiejowi Babkinowi świśnięto szopową szubę.

Zawył kupiec Jeremiej Babkin. Żal mu, widzicie, szuby.

— Szuba-ż — powiada — więcej niż dobra, obywatele. Żal. Pieniędzy nie poszczędzę, ale już znajdę przestępcę. Plunę mu w pysk.

I oto wezwał Jeremiej Babkin milicyjnego psa-tropiciela. Zjawił się taki człowiek w cyklistówce, w owijaczkach, a z nim pies. Takie nawet psisko — brązowe, z ostrą i niesympatyczną mordą.

Naprowadził ten człowiek psinę swoją na ślad obok drzwi, rzekł „ps" i odstąpił. Powąchał pies powietrze, powiódł wzrokiem po tłumie (oczywiście, zgromadził się naród) i nagle do babki Fekli, spod numeru piątego, podchodzi obwąchując jej podołek.

Babka w tłum. Pies za spódnicę. Babka w bok — a pies za nią. Złapał babkę za spódnicę i nie puszcza.

Runęła babka na kolana przed agentem.

— Tak — powiada — wpadłam. Nie będę się zapierać. I, mówi, pięć wiader zaczynu — to rzeczywiście. I aparatura — to całkowita prawda. Wszystko, powiada, znajduje się w łazience. Prowadźcie mnie na milicję.

Ale ludziska, oczywiście, zakrzyknęli.

— A szuba? — pytają.

— O szubie — powiada — nic nie wiem i nic wiedzieć nie chcę, a pozostałe — to rzeczywiście. Prowadźcie mnie, ukarzcie.

Więc odprowadzili babkę.

Znowu wziął agent swoją psinę, znów naprowadził jej nos na ślad, rzekł „ps" i odstąpił.

Powiodła psina wzrokiem powąchała puste powietrze i nagle do obywatela administratora podchodzi.

Pobladł administrator, padł na wznak.

— Wiążcie — powiada — mnie, dobrzy ludzie, świadomi obywatele. Ja, powiada, za wodę pieniądze zebrałem, a te pieniądze na zachcianki swoje przetraciłem.

No, oczywiście, mieszkańcy zwalili się na administratora, zaczęli wiązać. A psisko w tym czasie podchodzi do obywatela spod siódmego numeru i szarpie go za spodnie.

Pobladł obywatel, zwalił się przed gromadą.

— Zawiniłem — powiada — zawiniłem. Ja, powiada, w książeczce pracy rok podrobiłem. Ja, powiada, rozpłodowiec, w armii powinienem służyć i bronić ojczyzny, a mieszkam pod siódmym numerem i korzystam z energii elektrycznej i z innych usług komunalnych. Bierzcie mnie.

Zakłopotali się ludziska.

„Cóż to — myślą — za zdumiewający pies?"

A kupiec Jeremiej Babkin zamrugał oczami, rozejrzał się dokoła, wyciągnął pieniądze i podaje agentowi.

— Odprowadź — powiada — swoje psisko do świńskich psów. Niechaj, powiada, przepadnie szopowa szuba. Pies z nią...

A psisko już tutaj. Stoi przed kupcem i ogonem wierci.

Skonfundował się kupiec Jeremiej Babkin, odszedł na bok, a pies za nim. Podchodzi do niego i jego kalosze obwąchuje.

Spłowiał kupiec, pobladł.

— No — powiada — Bóg prawdę widzi, jeśli już tak. Ja powiada — rzeczywiście jestem sukinkot i szubrawiec. A szuba-ż, powiada, bracia, nie moja. Szubę-ż, powiada, przywłaszczyłem sobie od brata swojego. Płaczę i szlocham!

Rzucili się wówczas ludzie w rozsypkę. A psisko nawet powietrza nie potrzebuje wąchać, schwytało dwóch czy trzech — kto się nawinął i trzyma.

Zaczęli się tamci kajać. Jeden państwowe pieniążki w karty przegrał, inny małżonkę swoją żelazkiem tknął, trzeci powiedział coś takiego, że nawet przekazać niezręcznie.

Rozbiegli się ludziska. Opustoszało podwórko. Zostali tylko pies i agent.

I oto pies podchodzi nagle do agenta i ogonem wywija.

Pobladł agent, padł przed psem.

— Gryź — powiada — mnie, obywatelko. Ja, powiada, na twoje psie żarcie trzy czerwońce dostaję, a dwa biorę dla siebie...

Co było dalej — nie wiadomo. Ze wstydu zmyłem się czym prędzej.

ARYSTOKRATKA

Grigorij Iwanowicz głośno westchnął, otarł podbródek rękawem i zaczął opowiadać:

— Braciszkowie moi, nie lubię bab pod kapeluszem. Jeżeli baba w kapeluszu, jeżeli ma fildekosowe pończochy, jeśli nosi mopsika na ręku, albo ma złoty ząb, to taka arystokratka nie jest nawet dla mnie babą, tylko gładkim miejscem.

A swego czasu, oczywiście, zajmowała mnie pewna arystoratka. Spacerowałem z nią i do teatru prowadzałem. W teatrze toż się wydało. Właśnie w teatrze rozwinęła swoją ideologię w całej rozciągłości.

A spotkałem się z nią na podwórku domu. Na zebraniu. Spoglądam, stoi taka modnisia, Pończochy ma, ząb złocony.

— Skąd to — powiadam — obywatelka? Spod którego numeru?

— Ja — mówi — spod siódmego.

— Proszę — mówię — niech pani sobie mieszka.

I od razu jakoś okrutnie mi się spodobała. Zacząłem u niej bywać. Pod numerem siódmym. Bywało, zajdę, jako osoba oficjalna. Że to niby, jak tam u was, obywatelko, pod względem zepsucia wodociągu i klozetu? Działają?

— Tak — odpowiada — działają.

A sama zawija się w bajeczną chustę, i ani mru-mru więcej. Tylko oczkami strzyże. I ząb błyszczy w ustach. Pochodziłem do niej z miesiąc — przywykła. Zaczęła dokładniej odpowiadać. Że to niby działa wodociąg, dziękuję wam, Grigoriju Iwanowiczu.

Dalej — więcej, zaczęliśmy razem spacerować po ulicach. Wyjdziemy na ulicę, a ona życzy sobie, żeby ją wziąć pod rękę. Biorę ją pod rękę i zalecam się niczym szczupak. A co mówić, nie wiem, i przed ludziskami wstyd.

No, aż raz powiedziała mi:

— Czemu pan — powiada — wciąż mnie po ulicach ciągnie? Aż się w głowie kręci. Pan by — mówi — jak kawaler na stanowisku, zaprowadził mnie tak, na przykład, do teatru.

— Można — mówię.

I akurat na drugi dzień organizacja partyjna przysłała bilety do opery. Jeden bilet dostałem ja, a drugi odżałował mi Waśka, ślusarz.

Na bilety nie popatrzyłem, a były różne. Ten, co mój, na parter, a ten Waśki, aż na samą galerię.

No więc poszliśmy. Siedliśmy w teatrze. Ona usiadła na mój bilet, a ja na Waśki. Siedzę w najwyższym rzędzie i dokumentnie nic nie widzę. Ale jeśli wychylę się przez poręcz, widzę przynajmniej ją. Chociaż słabo.

Potęskniłem, potęskniłem, zszedłem na dół. Patrzę — antrakt. A podczas antraktu ona chodzi.

— Dzień dobry — mówię.

— Dzień dobry.

— Ciekawe — mówię — czy też działa tu wodociąg.

— Nie wiem — mówi.

A sama do bufetu. Ja za nią. Chodzi sobie w bufecie i na gablotę spoziera. A w gablocie półmisek. Na półmisku ciastka.

A ze mnie taki numer, taki burżuj niechrzczony, snuję się wokół niej i proponuję:

— Jeżeli — mówię — ma pani chęć schrupać jedno ciastko, to bez krępacji. Zapłacę.

— Merci — mówi.

I nagle za kolejnym nawrotem podchodzi do półmiska i łaps, z kremem, i żre.

A pieniędzy mam tyle, co kot napłakał. Z górą na trzy ciastka.

Ona zajada, a ja niespokojnie gmeram po kieszeniach, wymacuję ręką, ile mam pieniędzy. A pieniędzy, że skichnąć się można.

Zjadła z kremem, cap — drugie. Aż krzyknąłem. I milczę. Ogarnęła mnie taka burżuazyjna wstydliwość. Niby że to kawaler, a bez pieniędzy.

Chodzę wokół niej jak kogut, a ona śmieje się i komplementów się doprasza.

Mówię:

— Czy nie pora już usiąść na widowni? Dzwonili, zdaje się.

A ona mówi:

— Nie.

I bierze trzecie.

Mówię:

— Nie za wiele, tak na czczo? Można zwymiotować.

A ona:

— Nie — mówi — przyzwyczajeni.

I bierze czwarte.

Wtedy krew uderzyła mi do głowy.

— Kładź — mówię z powrotem.

A ona wystraszyła się. Otworzyła usta, a w ustach ząb błyszczy.

Czuję się jakby mi lejce na ogon spadły. Wszystko jedno, myślę, teraz nie jesteśmy na spacerze.

— Kładź — mówię — do wszystkich diabłów.

Położyła z powrotem. A ja mówię do ajenta:

— Ile się od nas należy za trzy zjedzone ciastka?

A ajent zachowuje się indyferentnie — głupiego odstawia.

— Za zjedzenie czterech — mówi — należy się tyle.

— Jak to — mówię za cztery? Skoro czwarte jest na półmisku.

— Nie — odpowiada — chociaż ono nawet leży na półmisku, ale jest nadgryzione i wgniecione palcem.

— Jakże to — mówię — nadgryzione, zmiłujcie się. To pańskie śmieszne wymysły.

A ajent zachowuje się indyferentnie — wierci rękami po gębie.

No, ludzie się, oczywiście, zebrali. Eksperci. Jeden mówi: nadgryzione, drugi — przeciwnie.

A ja wywróciłem kieszenie, całe, oczywiście, barachło, wywaliło się na podłogę, ludziska chichoczą. A mnie nie jest wesoło. Pieniądze liczę.

Policzyłem pieniądze — ledwie na cztery sztuki. Nie potrzebnie, mamo kochana, się kłóciłem.

Zapłaciłem. Zwracam się do damy:

— Proszę dojeść — mówię. — Zapłacone.

A dama nie rusza się. I wstydzi się dojeść. Aż tu się jakiś wujek zjawił.

— Dawaj — powiada — ja dojem.

I dojadł, swołocz. Za moje pieniądze.

Siedliśmy na widowni. Obejrzeli do końca operę. I do domu.

A przed domem ona mi jeszcze mówi swoim burżujskim tonem:

— Wielkie świństwo z pańskiej strony. Jak się nie ma pieniędzy, nie jeździ się z damą.

A ja mówię:

— Nie w pieniądzach jest szczęście. Przepraszam, jeśli się wyraziłem.

I tak się z nią rozszedłem.

Nie podobają mi się arystokratki.

KOT i LUDZIE

Mam bardzo kiepski piec. Z tego powodu cała moja rodzina jest wiecznie zaczadzona. A diabelna administracja odmawia przeprowadzenia remontu. Oszczędza. Na kolejne marnotrawstwo.

Niedawno oglądali ten mój piec. Szyber sprawdzali. Nurkowali głową we wnętrzu.

— Nic — mówią — żyć można.

— Towarzysze — powiadam jak nie wstyd głosić takie słowa: żyć można. Jesteśmy bez przerwy zaczadzeni przez ten wasz piec. Nawet kot niedawno zaczadział. Niedawno mdliło go nad wiadrem. A wy mówicie: można żyć.

Diabelna administracja przemówiła.

— W takim razie — mówi — przeprowadzimy teraz doświadczenie i zobaczymy, czy można zaczadzieć od pańskiego pieca. Jeżeli my teraz po rozpaleniu zaczadziejemy — to pańskie szczęście, przebudujemy. Ale jeśli nie zaczadziejemy, przepraszamy za ogrzewanie.

Rozpaliliśmy w piecu. Rozlokowaliśmy się dookoła.

Siedzimy. Wąchamy.

W ten sposób, przed szybrem, siadł przewodniczący, tak — sekretarz Grybojedow, a tak, na moim łóżku — skarbnik.

Zaraz, oczywiście, zaczął się rozchodzić po pokoju czad.

Przewodniczący powąchał i mówi:

— Nie. Niczego nie wyczuwam. Bije tylko ciepło, i tyle.

Skarbnik, ropucha, mówi:

— W pełni zadowalająca atmosfera. Można w niej oddychać. Głowa z tego powodu nie osłabnie. W moim mieszkaniu, powiada, atmosfera gorzej pachnie, a ja, powiada, nie skomlę po próżnicy. A tutaj promieniowanie jest całkowicie równe.

Mówię:

— Jakie ono, zlitujcie się, równe. Oto jak się gaz wydziela.

Przewodniczący mówi:

— Dawajcie kota. Jeżeli kot będzie siedział spokojnie, to znaczy, że nie ma tu nawet brudu za paznokciem. Stworzenie jest zawsze bezinteresowne w takich wypadkach. Nie to co człowiek. Na nich można polegać.

Przyszedł kot. Wyciągnął się na łóżku. Siedzi cicho. Jasne, dlaczego cicho, nieco się przyzwyczaił.

— Nie — mówi przewodniczący — proszę nam wybaczyć.

Nagle skarbnik zachwiał się na łóżku.

— Muszę, widzicie, śpiesznie wracać do zajęć.

A sam stoi pozieleniały i wprost chwije się na nogach.

Przewodniczący mówi:

— Zaraz wszyscy pójdziemy.

A sam podchodzi do okna i oddycha przez szczelinę.

Odciągnąłem go od okna.

— Nie wolno tak, powiadam, przeprowadzać ekspertyzy.

On mówi:

— Proszę. Mogę odstąpić. Dla mnie pańskie powietrze jest w pełni zdrowe, naturalne powietrze, korzystne dla zdrowia. Remontu nie mogę wam przeprowadzić. Piec nie jest zepsuty.

A po upływie pół godziny, gdy tego samego przewodniczącego kładziono na nosze a potem zaniesiono te nosze do karetki pogotowia, znowu z nim rozmawiałem.

Mówię:

— No, jak?

— To nic, powiada, nie będzie remontu. Żyć można.

I w ten sposób nie naprawili.

No, cóż robić. Przyzwyczajam się. Człowiek nie pchła — do wszystkiego może przywyknąć.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

Sukcesy „TRUBADURA"

Gdy na XVI MFP podczas towarzyszącego koncertu w muszli u wejścia na sopockie molo, ktoś — w ramach specjalnie wydzielonych na ten cel dwóch minut — zadał Krzysztofowi Krawczykowi pytanie, od jak dawna śpiewa — ten odparł, że od dwudziestu dziewięciu lat, od samego początku. Istotnie, Krawczyk zetknął się z muzyką bardzo wcześnie, bowiem przyszedł na świat w rodzinie tenora operowego. Już jako kilkunastoletni chłopak próbował śpiewać i muzykować w swoim rodzinnym mieście, w Łodzi.

Jak głosi legenda, w czasie wakacji spędzanych wspólnie w Międzyzdrojach, w 1964 roku, Krzysztof Krawczyk wraz ze swym przyjacielem Sławomirem Kowalewskim, który był twórcą nazwy postanowili założyć zespół instrumentalno-wokalny „Trubadurzy". Pozyskali do współpracy gitarzystę Jerzego Krzemińskiego i perkusistę Mariana Lichtmana. W tym składzie rozpoczęli występy, dokonali pierwszych nagrań i wylansowali pierwsze piosenki (np. „Słoneczniki").

Jesienią 1967 roku, po zmianach profilu i personalnych (grupę wzmocnił wówczas Ryszard Poznakowski), „Trubadurzy" zaczynają odnosić coraz większe sukcesy. Krzysztof Krawczyk — wokalista wiodący zespołu — nagrywa pierwsze piosenki, które określić można mianem solowych: „Byłaś tu", „Kim jesteś" i inne. W ciągu kilku lat Krawczyk wraz z „Trubadurami" przemierzył całą prawie Europę wschodnią, wielokrotnie gościł w Związku Radzieckim, występował nawet w dalekiej Mongolii. Razem z zespołem nagrał kilka płyt długogrających (trzy pierwsze z nich zostały „Złotymi Płytami") i kilkanaście singli. Wiele ich piosenek (niekiedy także kompozycji Krzysztofa) stało się przebojami, a na festiwalach opolskim i kołobrzeskim — wielokrotnie honorowano „Trubadurów" nagrodami.

Koncerty w Monachium (RFN) z okazji odbywających się tam w 1972 roku Igrzysk Olimpijskich były jednymi z ostatnich występów Krzysztofa Krawczyka jako członka zespołu „Trubadurzy". Wspólnie z Haliną Żytkowiak (notabene: żoną piosenkarza) postanowili spróbować karier solowych. Na początku przygotowali spektakl estradowy pn. „Kochałem Panią", na który złożyły się poezje Aleksandra Puszkina i stare pieśni-romanse rosyjskie. Program ten mógł się podobać nawet wytrawnym znawcom przedmiotu, a Iwan Rebroff po jego obejrzeniu zaprosił Krawczyka na wspólne tournée po RFN. Warto dodać, że fragmenty tego widowiska zarejestrowała Telewizja Polska.

Z kolei Krzysztof Krawczyk zwraca się ponownie ku typowej muzyce rozrywkowej. Zakłada zespół akompaniujący „Fair", z którym koncertuje po kraju. Nawiązuje współpracę z dawnym przyjacielem — Ryszardem Poznakowskim: razem komponują i nagrywają kilka udanych piosenek („Hej, dziewczyno, powiedz mi", „Hallo, co ty o tym wiesz"), przygotowują wspólnie pierwszy solowy longplay Krzysztofa, opracowują wreszcie interesujący show estradowy.

W listopadzie 1974 roku, po półtorarocznej przerwie Krawczyk bierze udział we wspólnym z „Trubadurami" programie z okazji jubileuszu dziesięciolecia istnienia grupy. Wkrótce po tym ukazuje się album „Byłaś mi nadzieją", a szereg utworów z tej płyty trafia na listy przebojów (oprócz już wymienionych: „Hej Barbara", „Nim zgaśnie dzień" i inne). Niemal równocześnie popularnością cieszą się kompozycje Krawczyka w wykonaniu Haliny Żytkowiak („Jestem tylko dziewczyną" i nieco później „Nie znam ciebie").

Niezwykle udanym dla Krzysztofa Krawczyka okazuje się rok 1975. Obok wzbudzających uznanie krytyków i publiczności koncertów estradowych i występów telewizyjnych, łódzki „Trubadur" bierze także z powodzeniem udział w kilku festiwalach. W Rostocku (NRD) na Festiwalu Szlagierów Krajów Nadbałtyckich Krawczyk otrzymuje specjalną nagrodę fachowego pisma „Melodie und Rhythmus". Zaś na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu wykonując utwór „Czym dla wojska jest piosenka" zdobywa „Złoty Pierścień" w kategorii piosenek marszowych. Znakomicie przyjęto również występy pozakonkursowe Krawczyka podczas ubiegłorocznych festiwali w Opolu i Sopocie. Nic tedy dziwnego, że w ankiecie publicystów muzycznych właśnie Krzysztofa okrzyknięto „piosenkarzem roku 1975".

Z początkiem bieżącego roku piosenkarz ponownie związał się z zespołem, w którym stawiał swoje pierwsze kroki na estradzie. Występują znowu razem jako: Krzysztof Krawczyk i „Trubadurzy". W lutym nagrali też wspólnie nową płytę długogrającą z kilkoma nowymi piosenkami oraz przygotowali pełnospektaklowy show estradowy w rozszerzonym składzie (uległ on pewnym zmianom po sierpniowej reorganizacji zespołu). A wracając do wspomnianej płyty, to wydaje się ona jedną z ciekawszych na naszym rynku muzycznym i lada dzień powinna się pojawić w sprzedaży.

To wszystko nie znaczy jednakowoż, że Krzysztof Krawczyk zaniechał kontynuowania kariery solowej. Wprost przeciwnie — związał się on z najmłodszą polską firmą płytową „Tonpress" Krajowej Agencji Wydawniczej i — z towarzyszeniem Orkiestry Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach pod dyrekcją Jerzego Miliana — nagrał dla niej wiele udanych piosenek (głównie — własnej kompozycji): „Rysunek na szkle", „Parostatek", „W przemijaniu dni", „Pogubiłem drogi" i inne. Zostały one wydane w singlach, a także w specjalnym albumie Krawczyka przygotowanym przez „Tonpress" na „Sopot-76". Podczas XVI Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie, Krzysztof Krawczyk reprezentował właśnie „Tonpress" i — mimo, iż jury nie dostrzegło go w nieco krzywdzący sposób — uzyskał aż trzy nagrody: publiczności, dziennikarzy i redakcji „Głosu Wybrzeża".

Jakie są najbliższe plany piosenkarza? Poza wyjazdem w polskiej „drużynie" na piosenkarski Coupe d'Europe do Villach (Austria) dłuższe tournée po Kraju Rad (listopad, grudzień). Ale przedtem — sesja nagraniowa; Krawczyk przy współpracy Poznakowskiego przygotowuje longlaya z nowymi utworami, a także drugą płytę, która ma zawierać wiersze Sergiusza Jesienina w oryginale i w tłumaczeniach, z oryginalną muzyką rosyjską. Można przypuszczać, że łódzki artysta odniesie jeszcze wiele nie tylko estradowych sukcesów.

DOBROSŁAW KLIMECKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2236. R-11.